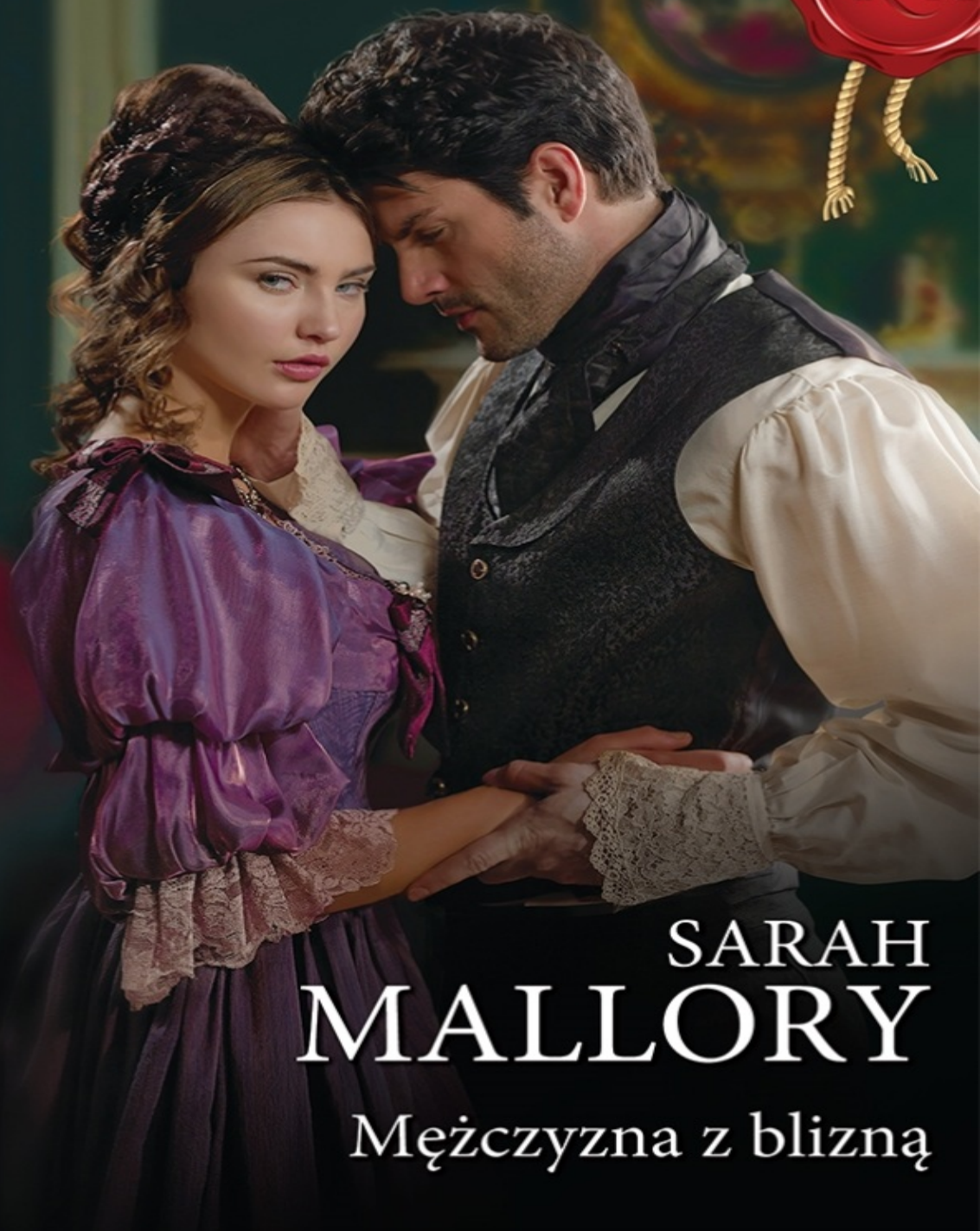


 HARLEQUIN®

ROMANS  
HISTORYCZNY



SARAH  
MALLORY

Mężczyzna z blizną

**Sarah Mallory**

**Mężczyzna z blizną**

*Tłumaczenie:*

*Małgorzata Hesko-Kołodzińska*

# PROLOG

*Kornwalia, 1808 rok*

W pokoju panowała całkowita cisza. Umilkły krzyki, które wypełniały pomieszczenie przez ostatnie godziny. Zakrwawioną odzież i pościel wyniesiono, podobnie jak zwłoki maleńkiego dziecka. Jedynym źródłem światła był ogień płonący w kominku.

Na nocnym niebie za oknem migotała samotna gwiazda, na którą patrzyła zboląta matka. Miała wrażenie, że jej ciało odlano z ołowiu. Po porodzie całkiem opadła z sił. Zastanawiała się, dlaczego jeszcze żyje – byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby umarła razem z dzieckiem.

Kiedy drzwi cicho zaskrzypiały, zamknęła oczy. Nie miała ochoty wysłuchiwać rzeczowych porad akuszerki ani znosić współczucia ciotki.

- Biedne jagniątko - powiedziała z westchnieniem ciotka Wilson. - Myśli pani, że przeżyje?

- A jakże, przeżyje, mocna z niej sztuka. - Akuszerka stanęła u stóp łóżka i wytarła dłonie w zakrwawiony fartuch. - Choć może

i lepiej by było, jakby nie dała rady.

- Och, proszę tak nie mówić! -  
zaprotestowała łamiącym się głosem ciotka. -  
To stworzenie boże, choć zgrzeszyła.

Akuszerka pociągnęła nosem.

- No to szkoda, że Bóg lepiej nie pilnował tej  
biedaczyny, bo jej życie już nie jest warte funta  
kłaków, ot co - oznajmiła. - Żaden mężczyzna  
nie zechce jej za żonę.

- Będzie musiała znaleźć jakieś zajęcie. Nie  
mogę trzymać jej w nieskończoność, a mój  
biedny brat i jego żona doprawdy mają  
niewiele. Parafia Cardinham jest jedną  
z najbiedniejszych w Kornwalii.

- Marny byłby z niej pożytek w kopalni -  
orzekła akuszerka po chwili milczenia.

- Miałaby pracować pod ziemią?! - obruszyła  
się pani Wilson. - Nigdy! Jest szlachetnie  
urodzona.

- Coś nie pamiętała o swojej szlachetności,  
jak przed chłopem nogi rozkładała...

Ciotka wstrzymała oddech z oburzenia, po  
czym oświadczyła wyniośle:

- Powiedziała pani wystarczająco dużo, pani  
Nore. Odtąd sama zadbam o bratanicę.  
Proszę na dół, zapłacę za pomoc.

Zaszeleściły suknie, szcęknęły drzwi  
i ponownie zapadła cisza. Wreszcie została

sama.

Żale, że nie umarła wraz z dzieckiem, były jałowe. Skoro żyła, stawia czoło rzeczywistości. W ramach kary za miłość czekały ją ciężka praca i skromne życie. Doszła do wniosku, że nigdy więcej nie zaufa mężczyźnie. Otworzyła szeroko oczy, kierując spojrzenie na maleńką, rozmigotaną gwiazdkę.

- Będiesz moim świadkiem - wyszeptała spierzchniętymi wargami, choć słowa boleśnie raniły jej wyschnięte gardło. - Żaden mężczyzna już mi tego nie zrobi.

Opuściła powieki. Gwiazda na wieczornym niebie na zawsze miała jej przypominać utracone dziecko.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Exmoor, 1811 rok*

- Nicky, Nicky! Zaczekaj na mnie! Och!

Zirytowana Zela krzyknęła cicho, gdy rąbek sukni zaczepił o gałęzie kolczastego krzewu. Zmuszona była zaprzestać pogoni za niesfornym siostrzeńcem, żeby oswobodzić się z pułapki. Teraz żałowała, że nie włożyła starej sukni - zamierzała jednak zapewnić Nicky'emu rozrywkę w ogrodzie, a nie ścigać go po lesie. Co jednak miała robić, skoro piastunka przekazała jej, że nie wolno im tak hałasować, gdyż jasnie pani usiłuje się zdrzemnąć, nim niemowlę ponownie zacznie domagać się karmienia.

Próbując ostrożnie wyplątać bladożółty muślin z gęstwiny kolców, Zela zastanawiała się nad determinacją siostry, która postanowiła samodzielnie wykarmić dziecko. Naturalnie, dało się to zrozumieć: pierwsza żona Reginalda zmarła podczas porodu, więc dla Nicky'ego zatrudniano kolejne mamki, jednak każda następna okazywała się jeszcze bardziej nieodpowiedzialna niż poprzednia. Aż dziw brał, że chłopczykowi udało się przeżyć.

Na myśl o Nickym Zela uśmiechnęła się z czułością. Nie dość, że przetrwał koszmarne mamki, to jeszcze wyrósł na nader energicznego ośmiolatka, który bez trudu każdego wodził za nos.

Zgodziła się, by zabrał ją na, jak to określił, „wyprawę” przez las na północnym krańcu West Barton, i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że to był błąd. Nicky doskonale znał zarośnięte dukty, a na dodatek żadna przeklęta suknia nie krępowała jego ruchów.

Zela uwolniła się wreszcie z potrzasku, złapała fałdy muślinu i wyruszyła na poszukiwania siostrzeńca. Po zaledwie kilku krokach usłyszała jego pełen bólu okrzyk i z nagłym przestraszeniem puściła się biegiem w kierunku, z którego dobiegał.

Na widok przebijającej spomiędzy drzew jasności zrozumiała, że zbliża się do polany. Precisnęła się między niskimi gałęziami i nagle stanęła nad stromym zboczem. U jego podnóża dostrzegła naturalną nieckę o dnie porośniętym drzewkami oraz wczesnowiosennym kwieciem. Piękno krajobrazu nie urzekło jednak Zeli, gdyż jej uwagę przyciągnął widok leżącego nieruchomo Nicky’ego, który stoczył się na samo dno zagłębienia. Jedna noga chłopca była

czerwona od krwi, a nad jego bezwładnym ciałem pochylało się jakieś stworzenie.

W pierwszej chwili przeszło jej przez myśl, że Nicky'ego zaatakowało zwierzę. Dopiero po kilku sekundach zorientowała się, że to mężczyzna o gęstej czarnej brodzie i rozczochranych włosach, które opadały na ramiona wyświechtanego czarnego surduta. Na ziemi u stóp nieznanego leżała siekiera o długim trzonku i groźnie lśniącem ostrzu.

Zela nie wahała się ani przez moment. Od razu ruszyła w dół zbocza.

- Zostaw go! - krzyknęła.

Mężczyzna się wyprostował. Ujrzała paskudną bliznę ciągnącą się przez jego lewą brew i policzek. Odruchowo podniosła ułamaną gałąź.

- Odsuń się od niego, ty bestio!

- Bestio, powiadasz? .

- Ciociu... - pisnął chłopiec.

- Bez obaw, Nicky, już nic ci nie grozi - wycedziła ze wzrokiem wbitym w nieznanego. - Jak śmiesz atakować niewinne dziecko, potworze!

- Bestia, potwór... - Pod gęstym zarostem błysnęły białą zęby.

Mężczyzna przeszedł nad chłopcem i chwiejnym krokiem zbliżał się do Zeli.



Uniosła gałąź, lecz nieznajomy tylko zaśmiał się chrapliwie, a następnie bez najmniejszego trudu odebrał jej broń. Cisnąwszy gałąź na bok, złapał Zelę za nadgarstki, gdy rzuciła się na niego z pięściami. Usiłowała walczyć i nawet kopnęła napastnika w goleń na tyle mocno, że syknął z bólu.

- Na litość boską! Nie jestem żadnym łotrem. Chłopak zwyczajnie potknął się i upadł.

Zmełł w ustach przekleństwo, stanowczym ruchem opuścił ręce Zeli i przytrzymał je za jej plecami, przez co przywarła do jego ciała i otarła się policzkiem o szorstką wełnę surduta. Nagle zakręciło jej się w głowie od wyrazistej woni. Nie był to zapach kwaśnego potu i brudu, jak się spodziewała, lecz mieszanina aromatu wełny, drewna sandałowego i cytrusowych korzeni, połączona z ziemistym zapachem męskiej skóry. Ta kombinacja okazała się zaskakująco upojna.

Gdy przemówił ponownie, jego tubalny głos przeniknął ją aż do głębi, gdyż nadal była mocno przyciśnięta do szerokiego torsu.

- Potknął się i upadł - powtórzył z naciskiem.  
- Rozumiesz, co mówię?

Przemawia do mnie jak do imbecylki, pomyślała z oburzeniem i dopiero wtedy dotarł

do niej sens jego słów. Popatrzyła nieznajomemu w oczy i przestała się szamotać.

- Teraz lepiej. - Rozluźnił żelazny chwyt, ale nie odrywał wzroku od jej twarzy. - Może więc rzucimy okiem na chłopca?

Zela cofnęła się o krok, niepewna, czy może zaufać obcemu na tyle, aby się odwrócić do niego plecami. Przyciszony jęk Nicky'ego przesądził jednak sprawę. Natychmiast uklękała.

- Moje słońko, co się stało? - szepnęła.

Przyłożyła dłoń do czoła chłopca tuż przy okropnym czerwonym krwaku na skroni. Miał rozpaloną skórę i szklisty, trochę nieprzytomny wzrok.

Mężczyzna przykucnął obok Zeli.

- Przerzedzamy las, więc tu i tam zostają pniaki - wyjaśnił. - Pewnie zahaczył nogą o ostrą krawędź i zleciał ze wzniesienia. Skaleczenie wygląda kiepsko, ale nie sądzę, żeby doszło do złamania.

- A pan niby skąd to wie? - najeżyła się Zela, ostrożnie unosząc strzęp spodni, spod którego wyłoniło się rozharatane ciało.

- Służyłem w wojsku na tyle długo, żeby wiedzieć, jak się obchodzić z ranami. - Rozwiązał fular. - Posłałem gajowego po

pomoc. Nogę przewiążę, a potem przetransportujemy małego na noszach do domu

- Do czyjzego domu? - zapytała podejrzliwie.  
- Powinien trafić do West Barton.

- Z całym szacunkiem, ale wiem lepiej, co trzeba zrobić.

- Proszę nie zwracać się do mnie jak do dziecka! - obruszyła się. - Sama potrafię podejmować decyzje.

Zmarszczył brwi, przez co szrama na jego czole jeszcze bardziej rzuciła się w oczy. Wyglądał groźnie, ale Zela postanowiła nie dać się zastraszyć i buńczucznie popatrzyła mu w oczy. Po chwili mężczyzna uniósł rękę i wskazał wąską ścieżkę między drzewami.

- Rooks Tower znajduje się osiemset metrów w tamtą stronę, a West Barton najmarniej osiem kilometrów powozem - zauważył. - Gdybyście wrócili ścieżką, którą tu przyszedliście, dystans skróciłby się do trzech kilometrów.

Zela przygryzła wargę. Nie dałoby się nieść Nicky'ego przez gęste zarośla leśne, nie przysparzając mu dodatkowego bólu. Chłopiec poruszył się niespokojnie, więc wzięła go za rękę.

- Boli! - poskarżył się płaczliwie. - Już nie

mogę!

Z rozdartym sercem patrzyła na jego mokrą od łez buzię.

- W takim razie niech to będzie Rooks Tower  
- przystała z westchnieniem. - Oby tylko pańscy ludzie szybko tu dotarli.

- Zjawia się jak najprędzej. - Ściągnął z szyi muślinowy fular. - Muszę powstrzymać krwawienie. - Spojrzał wymownie na Zelę. - Uwaga, poruszę jego nogą.

Skinęła głową i złapała Nicky'ego za rękę.

- Musisz być dzielny, słonko, teraz założymy opatrunek - szepnęła. - Wytrzymasz?

- Postaram się, ciociu.

- To jest twoja ciotka, Nicky? - zdziwił się mężczyzna. - Moim zdaniem istna z niej Amazonka.

- Tak naprawdę to nie jest moja ciocia, panie majorze - wyjaśnił z powagą Nicky. - Jest siostrą mojej macochy, ale ja nazywam ją ciocią, a ona mnie siostrzeńcem.

Zela zamrugwała ze zdumieniem.

- Znacie się? - spytała zdezorientowana.

Mężczyzna popatrzył na nią z ironią.

- Naturalnie - potwierdził. - Myśli pani, że pozwoliłbym obcym bachorom biegać po moich lasach? Nicky, przedstaw nas sobie.

- To jest pan major Coale. - Głos chłopca

załamał się na moment, kiedy major owinął ranę fularem. - A to moja ciocia Zela, panie majorze.

- Cela?

- Ze-la - poprawiła go wyniośle. - Dla pana jestem panną Pentewan.

- Dobry Boże, Nicholasie, trzeba było mnie uprzedzić, że twoja ciotunia to smoczyca w ludzkiej skórze.

Blizna na jego brwi sprawiała, że wydawał się zachmurzony, lecz w głosie pobrzmiwało rozbawienie. Nicky, nadal uczepiony ręki Zeli, zachichotał.

- I już, gotowe. - Major odchylił się i położył dłoń na ramieniu chłopca. - Byłeś bardzo mężny, mój mały.

- Mężny jak żołnierz, panie majorze?

- Mężniejszy. Znałem mężczyzn, którzy tracili zimną krew na widok najmniejszego zadrapania.

Zela wpatrywała się w potarganego obszarpańca. Przemawiał tonem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów, ale czy pod słowiałym surdudem i nadmiarem włosów naprawdę skrywał się żołnierz? Naraz uświadomiła sobie, że major ją obserwuje i pośpiesznie przeniósł wzrok na siostrzeńca.

- Co się stało, skarbie? - zapytała z troską

w głosie. - Jak upadłeś?

- Potknąłem się na szczycie skarpy, ciociu. Tam na ziemi leży dużo gałęzi.

- To prawda. Sam je zostawiam, żeby wieśniacy mieli czym palić w piecach - wyjaśnił major. - Porządkowaliśmy zarośla.

- Najwyższy czas. O te lasy nikt nie dba.

- Pokornie proszę o wybaczenie. - Pochylił głowę.

Czyżby się z niej naigrywał? Zdawał się obojętny, ale broda częściowo ukrywała jego twarz.

- Słowa mojej krytyki nie są wymierzone w pana majora - oświadczyła ostrożnie. - O ile wiem, Rooks Tower zmienił właściciela zaledwie ostatniej zimy.

- W istocie. Dlatego nie miałem jeszcze dość czasu, aby wprowadzić wszystkie zmiany, na których mi zależy.

- Jest pan właścicielem Rooks Tower?

Nie udało się jej ukryć zdumienia. Przecież ten niechluj nie mógł mieć dość pieniędzy, aby kupić taką posiadłość.

- A jakże - potwierdził. - Pozory mylą, proszę pani.

Zarumieniła się, świadoma, że chłód w jego głosie jest jak najbardziej uzasadniony.

- Bardzo przepraszam, chciałam tylko...

Wiem, że czeka pana dużo zajęć.

- I owszem. Jednym z moich pierwszych zadań jest naprawa drogi. Chcę, aby ponownie stała się przejezdna dla powozów. Skierowałem już ludzi do pracy, lecz na razie trzeba wszystko transportować końmi jucznymi.

- Książki pana majora przyjechały konno - wtrącił Nicky. - Dziesiątki pudeł. Ciocia lubi książki - wyjaśnił majorowi, który pytająco uniósł prawą brew.

- Mamy w domu obszerną bibliotekę - dodała Zela.

- W domu, czyli gdzie?

- W Kornwalii.

- Tego się domyśliłem z pani imienia. Gdzie dokładnie w Kornwalii?

Uśmiechnęła się półgębkiem, ale odparła całkiem poważnie:

- Mój ojciec jest pastorem w Cardinham, nieopodal Bodmin.

W tej samej chwili zauważyła gromadkę zbliżających się mężczyzn, niosących wiklinowe nosze.

Pośpiesznie wstała i cofnęła się o krok. Major wręczył siekiere jednemu ze swoich ludzi, aby pokierować delikatną operacją przeniesienia chłopca na nosze. Gdy wyruszali

w drogę, Zela postanowiła iść obok Coale'a, który niezgrabnie kuśtykał za noszami.

- Widzę, że ma pan doświadczenie w wydawaniu rozkazów - zagadnęła.

- Kilkuletnia służba w wojsku zrobiła swoje.

Zela popatrzyła na niego z boku. Szedł z lewej strony traktu, aby widziała wyłącznie jego prawy profil. Trudno było ocenić, czy chroni w ten sposób jej wrażliwość, czy własną dumę.

- A teraz planuje pan zamieszkać w Rooks Tower?

- Owszem.

- To nieco odosobnione miejsce - zauważyła.

- Jeszcze bardziej niż West Barton.

- Właśnie dlatego je kupiłem. Nie zależy mi na towarzystwie.

Umilkła. Szorstki ton majora dobitnie świadczył o braku chęci do konwersacji. Bardzo dobrze, pomyślała, bo wcale nie miałam zamiaru ingerować w jego prywatność.

Postanowiła nie odzywać się do niego, chyba że będzie to absolutnie konieczne.

W końcu wyłonili się z lasu i Zela po raz pierwszy zobaczyła Rooks Tower. Przed domem rozpościerała się rozległa połać



trawnika otoczona przez porośnięty chwastami podjazd. W głębi posiadłości stała nieduża oranżeria, która po latach zaniedbywania pilnie wymagała remontu i wstawienia wielu szyb. Zela skupiła uwagę na głównym budynku. Centralnym elementem był stary kamienny gmach o imponującym, łukowo sklepionym wejściu. Boczne skrzydła i dodatkowe elementy wzniesiono z cegieł i kamienia, niewątpliwie znacznie później. Dom liczył sobie tylko dwie kondygnacje, a jedyną wyższą konstrukcją była strzelista wieża z kamienia, wznosząca się w południowo-wschodnim rogu.

- Okropieństwo, nieprawdaż? - zauważył major. - Dom przebudowano w czasach Tudorów i wtedy właściciel postawił wieżę, od której wzięła nazwę cała posiadłość. Chodziło o to, by goście mogli z wysoka obserwować przebieg polowania. Na szczycie mieści się platforma widokowa, lecz z niej nie korzystamy.

Zela ponownie przyjrzała się budynkowi. Na przestrzeni lat wiele w nim zmieniono, ale zachował szyby z ołowiowego szkła i kamienne słupki w dzielonych oknach. Posiadłości brakowało porządku i symetrii, lecz nie sposób było odmówić jej uroku.

- Widoki z wieży z pewnością zapierają dech w piersiach. - Zerknęła niespokojnie na majora. - Chyba nie zamierza jej pan przebudować?

Roześmiał się chrapliwie.

- Och, bynajmniej - odparł. - Jest tak samo zdeformowana jak ja.

Usłyszała gorycz w jego głosie, lecz nie przyszła jej do głowy żadna stosowna odpowiedź. Wkrótce ścieżka się rozszerzyła i Zela mogła iść obok Nicky'ego. Gdy dla pokrzepienia chłopca wzięła go za rękę, zorientowała się, że jest lepki od potu i rozpalony. Z trudem ukryła niepokój.

- Jesteśmy prawie na miejscu, skarbie - zapewniła go. - Wkrótce odpoczniesz.

Major ruszył przodem i wprowadził wszystkich do rozległego holu, gdzie czekała na nich kobieta w czarnej sukni. Na widok właściciela domu uprzejmie dygnęła.

- Przygotowałam żółty pokój dla rannego młodzieńca, jaśnie panie, i wsunęłam ciepłą cegłę do pościeli.

- Dziękuję, pani Graddon - odparł bez zatrzymywania się i wszedł na schody wznoszące się w głębi holu. - Tędy! - odezwał się z półpiętra. - Tylko uważajcie, by nie przechylić noszy!

Dominic zaczekał, aż chłopiec trafi do łóżka, a następnie energicznie przeszedł do swojego apartamentu, aby się przebrać. Obcy ludzie w domu byli utrapieniem, lecz ranny chłopiec potrzebował pomocy. Cóż miał więc robić?

Wkrótce należało spodziewać się przybycia lekarza i dodatkowego zamieszania. Westchnął i postanowił pozostawić kwestię chłopca i panny Zeli służbie.

Na myśl o niej uśmiechnął się mimowolnie. Nie charakteryzowała się konwencjonalną urodą – była drobna i bardzo szczupła, miała brązowe włosy i brązowe oczy. Trochę przypominała wróbla i nie mogłaby bardziej się różnić od znanych mu kształtnych dorodnych piękności. Przypomniawszy sobie, jak usiłowała z nim walczyć w obronie siostrzeńca... Cóż, nie brakowało jej temperamentu, a przecież sięgała mu ledwie do ramienia.

Umył i osuszył twarz, wyczuwając pod miękkim ręcznikiem chropowatą, nierówną bliznę na lewym policzku. Pamiętał, jak panna Zela patrzyła na niego wyzywająco i ani na moment nie oderwała wzroku od jego oszpeconego oblicza. Była dzielna, lecz nie zamierzał ponownie narażać jej na tak odpychający widok. Postanowił zniknąć z domu

na kilka dni.

- Rana jest już oczyszczona i zabandażowana - oznajmił doktor Pannell. - Teraz pozostało nam czekać. Podałem chłopcu lekarstwo na sen. Powinien przespać całą noc. Potem zmuszona będzie pani utrzymać go w łóżku, żeby rana odpowiednio się goiła. Za kilka tygodni będzie jak nowo narodzony.

- Dziękuję, panie doktorze.

Zela popatrzyła na pogrążonego we śnie chłopca. Nicky stracił przytomność, gdy tylko lekarz dotknął rany, a teraz wyglądał tak krucho i słabo, że łyzy same cisnęły się jej do oczu.

- No już, już, panno Pentewan, nie trzeba - pocieszył ją medyk. - Chłopiec jest silny i poradzi sobie. Kto jak kto, ale ja wiem to najlepiej. Przecież znam go, odkąd przyszedł na świat jako chuchro, któremu nikt nie dawał szans na przeżycie. Mam nadzieję, że siniak na jego głowie to nic poważnego. Krwi mu nie puszczałem, lecz jeśli wda się gorączka, zrobię to jutro. Na razie proszę zapewnić mu spokój i wypoczynek. Rankiem zjawię się ponownie.

Zela była wzruszona dobrocią i życzliwością lekarza.

- Dziękuję, panie doktorze - powtórzyła. - Co mam zrobić, jeśli obudzi się z bólem?

- Odrobina laudanum z wodą na pewno mu nie zaszkodzi.

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała gospodyni.

- Panie doktorze, przybył ojciec młodzieńca - powiedziała.

Nie zdążyła jednak dodać nic więcej, gdyż w tej samej chwili minął ją wyraźnie zaniepokojony Reginald Buckland, trzymając w dłoniach kapelusz, rękawiczki i szpicrutę - Zjawiłem się niezwłocznie - oświadczył na powitanie. - Jak on się miewa?

Medyk powtórzył diagnozę.

- Można go przewieźć? - spytał Reginald, nie odrywając wzroku od chłopca. - Chciałbym zabrać syna do domu.

- Stanowczo odradzam. Rana jest dość głęboka i jakiegokolwiek wstrząsy na tym etapie spowodowałyby ponowne krwawienie.

- Ależ chłopak nie może zostać w domu praktycznie nieznanego człowieka! - zaprotestował Reginald

Doktor Pannell ściągnął krzaczaste brwi.

- Sądziłem, że pan major jest pańskim odległym krewnym - powiedział.

Reginald wzruszył ramionami.

- Bardzo odległym - podkreślił. - Przyznaję, że dzięki moim listom do jednego z kuzynów dowiedział się o możliwości zakupu Rooks Tower, lecz poznałem go dopiero wtedy, gdy się tu wprowadził. Od tamtej pory zamieniliśmy zaledwie kilka słów. Ani razu nie zajechał do West Barton.

Na ustach lekarza pojawił się niewesoły uśmiech.

- W istocie, major Coale jeszcze nie miał okazji zapoznać się z sąsiadami - przyznał.

- Reginaldzie, jestem zdania, że Nicky powinien tu zostać - wtrąciła Zela. - Pan major wielkodusznie oddał nam dom i służbę do dyspozycji.

- Tak jest, chłopiec musi leżeć, dopóki rana nie zacznie się goić - podkreślił się doktor Pannell i sięgnął po kapelusz. - Na mnie pora. Jak nadmieniałem, jutro wrócę sprawdzić stan pacjenta.

Reginald pozostał przy łóżku, wpatrzony w syna i zarazem dziedzica.

- Gdybym tylko wiedział, co robić - rzekł z westchnieniem i potarł brodę. - Gdyby tylko jego matka mogła przy nim być...

- To wykluczone, przecież zajmuje się małym Reginaldem - przypomniała mu Zela.

- To może piastunka.

- Tak, piastunka byłaby idealna - zgodziła się. - Tyle że moja siostra i niemowlę jej potrzebują. Reginaldzie, rozważyłam wszystkie możliwości i myślę, że pozostało nam jedno. Musisz powierzyć chłopca mojej pieczy.

- Wykluczone! - zaprotestował Reginald. - Nie mogę cię tu zostawić.

- A ja nie mogę pozostawić Nicky'ego.

- Zatem najlepiej będzie, jeśli i ja się tu zatrzymam.

- I po cóż miałybyś to robić? - spytała z rozbawieniem Zela. - Nie masz bladego pojęcia o pielęgnacji chorych. Poza tym, co zrobi biedna Maria, jeżeli oboje znikniemy z domu? Wiem, że moja siostra odchodzi od zmysłów, gdy zbyt długo czuje się osamotniona.

- Co prawda, to prawda - przyznał Reginald. Niezdecydowany, przez chwilę krążył po pokoju.

- Jedź do domu, Reginaldzie. To zamieszanie tylko niepokoi Nicky'ego.

- Ależ gospodarz jest kawalerem!

- Niefortunny zbieg okoliczności, nic na to nie poradzimy. - Zela zanurzyła ściereczkę w misce wody lawendowej i delikatnie przetarła czoło chłopca. - Być może pocieszy

cię to, Reginaldzie, że major Coale poinformował mnie za pośrednictwem swojej gospodyni, iż na czas naszej obecności w ogóle nie będzie zaglądał do tego skrzydła domu. Dodam, że poszedł sobie, gdy tylko Nicky trafił do łóżka. Przedtem zalecił gospodyni, by zaopatrzyła nas we wszystko, co niezbędne. Będę sypiać tutaj, aby zająć się Nickym, gdyby obudził się w nocy. Tu również zamierzam jadać, więc sam widzisz, że nie ma mowy o żadnych nieprzystojnych zachowaniach.

Reginald nie wydawał się przekonany.

- Czy mam przysłać pokojówkę? - spytał.

- Raz, że byłoby to niepotrzebne, dwa, uraziłbyś panią Graddon. - Zela uśmiechnęła się do szwagra. - Wierz mi, będzie nam tu jak u Pana Boga za piecem. Wystarczy, że przysłesz kilka sztuk odzieży. Byłoby nie od rzeczy, gdybyś zajrzał jutro i przywiózł parę gier dla Nicky'ego. Tyle wystarczy, poradzimy sobie sami.

- Ależ tak nie można! Jesteś szlachetnie urodzoną młodą damą.

- Wkrótce zostanę guwernantką i powinnam się nauczyć radzić sobie w takich sytuacjach. - Uścisnęła jego rękę. - Zaufaj mi, Reginaldzie. Nicky musi tu pozostać, a ja wraz z nim, aby miał należytą opiekę. A teraz jedź zapewnić



Marię, że wszystko w porządku.

Reginald w końcu posłuchał, a Zela została w pokoju jedynie z Nickym, który spał jak kamień. Nudząc się niemiłosiernie, doczekała kolacji, którą zjadła przy łóżku siostrzeńca. Zupa przyniesiona przez gospodynię dla chłopca pozostała jednak nietknięta.

- Biedne jagniątko, sen to dla niego najlepsze lekarstwo - orzekła pani Graddon, kiedy przyszła po naczynia. - Jutro przygotuję mu galaretkę cytrynową na apetyt. Wiem, że za nią przepada.

- Doprawdy? - Zela popatrzyła na gospodynię. - Czyżby mój siostrzeniec miał zwyczaj wpadać tu z wizytą?

- A jakże. Poczciwą ma chłopiec duszyczkę, nie powiem. Co znajdzie w lesie ranne zwierzę albo ptaka, w te pędy przynosi go tutaj, do pana majora na leczenie, a nim pójdzie, zawsze zagląda do mnie do kuchni.

- Naprawdę nie powinien naprzykrzać się ani panu majorowi, ani pani - zauważyła z zakłopotaniem Zela.

- Ależ proszę się nie przejmować, panienko, nie wchodzi nikomu w paradę - zapewniła ją pani Graddon. - Powiem więcej, po mojemu jego wizyty dobrze robią jasnie panu

majorowi. Pewnie panienka zauważyła, że jaśnie pan stroni od ludzi. Wszystko przez to. – Przejechała palcem po lewej skroni. – Ta szrama się ciągnie przez całą pierś. Chwała Bogu, że narządy wewnętrzne całe. Cięcie sięgnęło uda, ale medyk pozszywał jaśnie pana, nim ten wrócił do domu, więc jego noga jest teraz jak nowa.

– Ale przecież kiedy chodzi...

Gospodyni zacmokała i przygłodziła fartuch.

– Kuśtyka? – domyśliła się. – Najlepsi doktorowie go oglądali i żaden nie znalazł problemu z nogą. Ponoć to siedzi w głowie. I to prawda, bo często widzę, że jaśnie pan major nie kuleje. – Westchnęła. – Zanim pojechał na wojnę i wrócił z tą okropną blizną, chętnie bawił na salonach razem z bratem. Bliźniacy, a obaj tacy przystojni, że nie sposób zliczyć, ile serc zdobyli!

– Od dawna zna pani tę rodzinę?

– A jakże, panienko, zaczynałam jako pokojówka w Markham, bo tam jest dom rodzinny jaśnie pana i tam mieszka teraz jego brat, wicehrabia. Potem, kiedy jaśnie pan postanowił przeprowadzić się tutaj, Graddon i ja przenieśliśmy się razem z nim. Ale jaśnie pan nikogo tu nie zaprasza. Ja to rozumiem, bo sama widziałam, że jak kto się już spotka

z jaśnie panem majorem, ciągle patrzy gdziekolwiek, byle nie na twarz, a to przykrość dla jaśnie pana, sama panienska rozumie. Za to panicz Nick traktuje jaśnie pana jak każdego innego człowieka.

Zela milczała, odtwarzając w myślach przebieg spotkania z majorem. Czy unikała spoglądania na jego okaleczoną twarz? Chyba nie, ale kiedy ujrzała go po raz pierwszy, sądziła, że atakuje Nicky'ego, więc nie była w nastroju na prawienie uprzejmości.

Gospodyni odeszła, a Zela usiadła wygodniej, żeby czuwać nad małym pacjentem.

Minęło kilka godzin i w domu zapadła cisza. Zela nagle zatęskniła za towarzystwem i nabrała ochoty, by zejść do kuchni, gdzie miała szansę spotkać gospodynię czy choćby pomoc kuchenną. Naturalnie, nie mogła tego zrobić, więc tylko rozmyślała, czym by się tu zająć, kiedy ktoś zapukał do drzwi i do pokoju weszła pani Graddon.

- Jaśnie pan major poprosił mnie, żebym przyniosła to panience, bo ponoć panienska lubi czytać. - Uniosła koszyk z książkami. - Jaśnie pan prosi o wybaczenie, ale to wszystko, czym w tej chwili może służyć. Większość książek nadal jest w skrzyniach, w których je tutaj

przywieziono, lecz jaśnie pan myśli, że znajdzie tu panienka coś dla siebie.

Zela przyjęła koszyk i wróciła na fotel przy kominku, gdzie po kolei wyjmowała i oglądała książki. Richardson, Smollett, Defoe, nawet Ann Radcliffe. Uśmiechnęła się, gdyż major okazał jej życzliwość i troskę. Dzięki temu poczuła się o wiele mniej samotna.

Minęła północ, Nicky poruszył się niespokojnie. Zela leżała już w swoim łóżku, gdy nagle usłyszała jęk chłopca. Natychmiast do niego podbiegła, przyłożyła mu dłoń do czoła i spróbowała wlać odrobinę wody pomiędzy spierzchnięte wargi. Nicky odsunął jednak jej dłoń i odwrócił głowę, mamrocząc coś gniewnie. Sprawdziła opatrunek. Bandaże były na swoim miejscu, ale wiedziała, że jeśli chłopiec nie przestanie się kręcić i rzucać w pościeli, rana ponownie się otworzy i dojdzie do krwotoku.

Teraz żałowała, że odmówiła, gdy pani Graddon zaproponowała przyszykowanie dodatkowego łóżka dla pokojówki, ale zamiast załamywać ręce, postanowiła wziąć świecę i wyruszyć na poszukiwanie pomocy.

Od przybycia ani na moment nie opuściła przygotowanego dla nich pomieszczenia.

Teraz powróciła do holu tą samą drogą, którą przyszła do pokoju, a gdy pod jednymi z drzwi zauważyła światło, bez wahania podeszła i zapukała cicho przed wejściem.

Po chwili znalazła się w gabinecie majora Coale'a. Gospodarz siedział w fotelu przed dogasającym ogniem w kominku, przy zapalonych świecach, i czytał książkę.

- Najmocniej przepraszam, ale muszę znaleźć panią Graddon - powiedziała. - Chodzi o Nicky'ego...

Major odłożył lekturę i wstał, nim Zela zdążyła dokończyć zdanie. Tym razem nie miał na sobie surduta i wydawał się jeszcze większy, niż zapamiętała.

- Co z nim? - spytał.

- Gorączkuje, a nie jestem w stanie go zmusić, żeby leżał nieruchomo - wyjaśniła.

- Pójdę sprawdzić. Na wojnie nieraz opiekowałem się rannymi - wyjaśnił na widok jej wahania.

Zela skinęła głową. Chciała jak najszybciej wrócić do Nicky'ego, więc od razu ruszyła z powrotem po schodach. Major kuśtykał i przy każdym kroku szorował butem o podłogę. Nerwowe krzyki dało się słyszeć już z daleka; Zela ruszyła biegiem do pokoju.

- Już dobrze, Nicky - uspokajała chłopca. -

Nie ruszaj się, kochanie, bo noga rozboli cię jeszcze bardziej.

- Ale tak bardzo boli! - chlipnął. - Chcę do mamy!

Major przyłożył mu dłoń do czoła.

- Mama opiekuje się teraz twoim młodszym bratem - odparł łagodnie. - Jest tutaj twoja ciocia, no i ja. Oboje się tobą zajmiemy.

Major rzucił okiem na butelki na stoliku przy łóżku i nalał kilka kropli laudanum do szklanki wody.

Spokojny męski głos podziałał na chłopca kojąco. Nicky zamrugał powiekami i skierował spojrzenie na Zelę, która uśmiechnęła się do niego życzliwie.

- Jesteś gościem w domu pana majora, Nicky - powiedziała.

- Och. - Zacisnął palce na jej dłoni. - Ty też tu zostaniesz, ciociu Zelo?

- Jak najbardziej - oznajmił major. - Ciocia będzie tak długo, jak zechcesz. A teraz pomogę ci usiąść, żebyś mógł wypić lekarstwo.

- Nie, nie. Boli, jak się ruszam.

- Podniesiemy cię bardzo delikatnie - zapewniła go Zela.

- Nie chcę...

- Wypij, przyjacielu, to tylko odrobina, a ból zniknie bez śladu - przerwał mu major.

Objął chłopca, po czym przybliżył szklanke do jego ust. Nicky wypił mały łyk i się wzdrygnął.

- Najlepiej wypić duszkiem - poradził mu major.

Chłopiec skrzywił się z niesmakiem.

- A pan to pił, jak był ranny?

- Całymi beczkami - oświadczył z rozbawieniem major. - No już, raz-dwa. - Bezlitośnie wlał dziecku całą porcję lekarstwa do ust. Nicky przełknął i natychmiast się wzdrygnął. - O, i po strachu. Byłeś bardzo dzielny, za moment poczujesz się znacznie lepiej. A teraz ciocia poprawi pościel.

- A pan zostanie, dopóki nie zasnę? - spytał z niepokojem Nicky.

- Jest przecież ciocia.

- Ale proszę...

Zela skinęła głową, gdy major popatrzył na nią i uniósł brwi pytająco.

- No dobrze. - Przysiadł na łóżku i wziął chłopca za rękę.

- Opowiedzieć ci bajkę? - zaproponowała Zela.

Nicky nawet na nią nie spojrzał. Ani na moment nie spuszczał wzroku z majora.

- Niech mi pan opowie, skąd pan ma bliźnę - zażądał.

Zela wstrzymała oddech, ale major nie wydawał się urażony.

- Opowiadałem ci to kilkanaście razy. Na pewno masz ochotę ponownie wysłuchać tej samej historii?

- Ale chcę, naprawdę, proszę pana.

- No dobrze.

Major przysunął fotel do łóżka, a Zela dyskretnie ukryła się w cieniu.

- Pierwszego dnia tysiąc osiemset dziewiętego roku pokonywaliśmy góry w drodze powrotnej do La Coruñi, z depczącymi nam po piętach Francuzami. Pogoda była paskudna. Za dnia drogi przypominały rzeki błota, nocami zamarzały na kość. Gdy dotarliśmy do Cacabelos...

- Zapomniał pan o jegomościu z warkoczykiem - przerwał mu Nicky.

- A, racja. - Major Coale popatrzył na niego z rozbawieniem.

Zela uśmiechnęła się pod nosem. Przeczytała Nicky'emu wystarczająco dużo bajek, aby wiedzieć, że nie wolno niczego pomijać ani zmieniać.

- Pewien Szkot obudził się i zauważył, że nie może wstać, bowiem pudrowany warkocz przymarzył mu do ziemi - ciągnął major. - Parę dni później dotarliśmy do wsi Cacabelos i do



kamiennego mostku na rzece Cúa. Podczas długotrwałego odwrotu do La Coruña dyscyplina wśród żołnierzy zaczęła szwankować, więc generał Edward Paget był zmuszony do przykładowego ukarania winnych rabunku. Już miał powiesić dwóch podkomendnych, kiedy usłyszał, że Francuzi lada chwila przypuszczą szturm. Generał był niesłychanie poirytowany i wyrzuciwszy z siebie stek przekleństw, zwrócił się do żołnierzy: „Jeśli daruję życie tym dwóm, czy dacie mi słowo honoru, że się poprawicie?”. „Tak!” – odkrzyknęli zgodnie wszyscy żołnierze, a wtedy skazańców odcięto.

- Hura! – wykrzyknął Nicky i ziewnął.

- W samą porę – ciągnął major – bo wróg był już w zasięgu wzroku. Zaatakowali nas w liczbie dwóch pułków i wszyscy runęli na mostek. Zapanował zamęt. Nasi nie mogli się wycofać, bo droga była zablokowana przez walczących ludzi i konie. Na szczęście szaserzy wroga popadli w rozsypkę i dali sygnał do odwrotu, aby się przegrupować. W ten sposób zyskałszy czas na przeprawę. Z bagnetami na broni zaczęliśmy przy sześciu armatach artylerii konnej, które otworzyły ogień, gdy tylko Francuzi ponownie natarli. W krzyżowym ogniu zabiliśmy dwóch

nieprzyjacielskich generałów i niezliczonych żołnierzy, ale ciągle pojawiali się nowi.

Major umilkł ze zmarszczonymi brwiami, ale znów zaczął mówić, gdy Nicky poruszył się na łóżku.

- Utkwiłem między dwoma szaserami. Jednego udało mi się zranić, jednak drugi przypuścił zajadły atak i ciął szablą, trafiając mnie w głowę i w pierś. Sam nie wiem, jak udało mi się go wysadzić z siodła i powalić na ziemię. Niestety, zdążył jeszcze zranić mnie w nogę, ale nim straciłem przytomność, z satysfakcją patrzyłem, jak moi ludzie biorą go do niewoli i przepędzają jego kamratów, gdzie pieprz rośnie.

- Niech pan nie przerywa - wymamrotał sennie Nicky.

- Połatali mnie i załadowali na wóz bagażowy. Na szczęście nie miałem poważnych obrażeń wewnętrznych, bo niechybnie wyzionąłbym ducha podczas jazdy, tak bardzo mną trzęsło i rzucało w drodze do Villafranca. Niewiele pamiętam z drogi do Anglii. Ktoś zawiadomił mojego brata, który przyjechał do Falmouth, żeby zabrać mnie do domu. Miałem tam najlepszych lekarzy, ale niestety nowej twarzy nie da się kupić za żadne pieniądze...

Nicky spał już mocno z rączką w uścisku długich, smukłych palców majora. Zapadła cisza. Major dopiero po chwili przypomniał sobie o obecności Zeli i odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Wtedy zorientowała się, że po jej policzkach spływają łzy.

- Najmocniej przepraszam... - Szybko odwróciła głowę i sięgnęła po chusteczkę. - Jest pan bardzo życzliwy, panie majorze. - Otarła oczy, usiłując mówić normalnie. - Nicky już śpi. Nie musimy dłużej kłopotać pana majora.

- A co pani zamierza?

- Posiedzę przy nim.

Pokręcił głową.

- Nie może pani czuwać całą noc. Ja go popilnuję przez kilka godzin, a pani się zdrzemnie.

Zela się zawahała. Była ogromnie zmęczona, ale nie chciała pogłębiać długu wdzięczności.

Major westchnął ciężko.

- Proszę iść do łóżka - rozkazał jej. - Nie będzie pani w stanie zajmować się chłopcem rano, jeśli teraz nie pójdzie pani spać.

Zela nie mogła odmówić mu słuszności. Przeszła do sporego przedpokoju z oknem. Nie rozebrała się, tylko zrzuciła trzewiki i wyciągnęła się na łóżku, przykrywając

kocem.

Obudziło ją pianie koguta. Było już jasno, lecz słońce jeszcze nie wzeszło. Popatrzyła na nieznane otoczenie, a gdy przypomniała sobie, gdzie jest i co tutaj robi, wstała z łóżka i zakradła do sąsiedniego pokoju. Nicky wciąż smacznie spał, major zaś siedział pochylony przy łóżku, podpierając rękami rozczochraną głowę.

Ogień w kominku wygasł, a że ranek był bardzo chłodny, bezszelestnie przeszła przez pokój i ukłękła obok paleniska.

- Co pani wyprawia?

Tubalny głos majora sprawił, że podskoczyła.

- Muszę dorzucić do ognia - odparła.

- O nie, wykluczone. Przyślę sługę, żeby się tym zajął.

Stanął nad nią i wyciągnął rękę. Zela przyjęła pomoc, usiłując zignorować przyjemny dreszczyk, który przebiegł jej po ciele.

Przestraszyła się własnej reakcji na jego bliskość. Odsunęła się i nerwowo szukała w myślach tematu do rozmowy, aby przerwać krępujące milczenie.

- Jeśli chodzi o pańską historię... - zaczęła - tę, którą opowiedział pan Nicky'emu, o swoich ranach... Była bardzo brutalna, jak dla małego

chłopca, niemniej wydawał się z nią zaznajomiony.

- W istocie - przyznał major. - Spytał mnie o twarz już przy naszym pierwszym spotkaniu, a potem bardzo często prosił, żebym opowiedział mu wszystko po raz kolejny. - Uśmiech na ustach majora był ledwie widoczny spod gęstej czarnej brody. - Pracowałem w lesie, kiedy się pojawił i zaproponował, że pomoże mi dokończyć pasztecik, który pani Graddon zapakowała mi do torby, bym jakoś dotrwał do końca dnia.

Zela oblała się rumieńcem

- Z pewnością uznał pan jego zachowanie za wyjątkowo impertynenckie - zauważyła.

- Ani trochę - odrzekł natychmiast. - Jego szczerość była dla mnie niczym powiew świeżości. Większość ludzi odwraca wzrok, zażenowana moją... deformacją.

- Och, najmocniej przepraszam. Mam nadzieję, że pan nie pomyślał, że ja...

Major uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Pani wydawała się zdecydowana dodatkowo mnie zdeformować - zauważył.

Rozbawienie w jego oczach wywołało na twarzy Zeli mimowolny uśmiech.

- Muszę przyznać, że wygląda pan na... złowrogiego nieokrzeszańca, choć wiem, jak

bardzo jest pan życzliwy – dodała pośpiesznie, świadoma, że jeszcze bardziej się czerwieni. – Siedział pan tutaj przez całą noc i z pewnością potrzeba panu snu. Co do mnie, doskonale poradzę sobie sama, więc dziękuję, może pan

...

– Och, dobrze wiem, że na mnie czas. Przyślę tu kogoś, by napalił w kominku, i każę pani Graddon przynieść śniadanie.

– Dziękuję.

Uklonił się zdawkowo i odwrócił do drzwi.

– Panie majorze! – zawołała za nim. – A co do tego szasera, który pana zranił... Czy naprawdę trafił do niewoli?

Major zatrzymał się i popatrzył na nią uważnie.

– Owszem, tak. – Zmrużył oczy. – Może i wyglądam jak potwór, moja panno, ale gwarantuję, że nim nie jestem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nicky był senny i marudny, kiedy w końcu się przebudził, jednak przybyły później doktor Pannell zapewnił Zelę, że stan chłopca nie budzi obaw.

- Można oczekiwać lekkiej gorączki, ale poza tym dziecko jest w niezłej formie - oświadczył lekarz. - Myślę, że utrzymanie go nieruchomo w łóżku będzie pani największym problemem.

Była tego samego zdania, więc z ulgą powitała Reginalda, który przybył z wielkim koszem zabawek i gier.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła. - Major Coale uzna, że zamierzamy pozostać tu przez miesiąc.

Reginald uśmiechnął się szeroko.

- Pozwoliłem piastunce wybrać to, co spodoba się chłopcu - wyznał. - Obawiam się, że była nieco zbyt łaskawa. Sama nie może przybyć, więc postarała się zrekompensować małemu swoją nieobecność.

- A co powiedział nasz gospodarz na widok tego ogromnego kosza?

- Nie spotkałem go, ale ktoś ze służby

uprzedził, że pan major jest zajęty i nie będzie go przez cały dzień. – Reginald zerknął na Nicky’ego, który beztrząsło przetrząsał zawartość kosza. Następnie przeszedł z Zelą do przedpokoju. – Mam poczucie, że major nakazał służbę powiadomić mnie o tym, a także dodać, że wydał pokojówce polecenie czuwania nocą przy chłopcu. Major najwyraźniej chce mnie uspokoić i zapewnić, że nie narzuca ci się pod moją nieobecność.

– Pan major okazuje nam ogromną życzliwość.

– Szkoda tylko, że taki z niego rozczochraniec. Cóż, zapewne maskuje w ten sposób bliznę. – Reginald wzruszył ramionami.

– Maria prosiła, bym ci coś przekazał, ale moim zdaniem nie ma się czym przejmować.

– W czym rzecz?

Reginald zawahał się, zanim odparł:

– Maria jest zaniepokojona. Coale miał przed wojną opinię hulaki, a jego nazwisko nieustannie gościło na stronach towarzyskich w gazetach. Jest przecież młodszym synem wicehrabiego, a stary lord Markham również miał na swoim koncie niejednego skandal. Co oczywiste, brat Coale’a odziedziczył tytuł, a z tego, co mi wiadomo, hulaka z niego pierwszej wody. Mówię tylko to, co słyszałem –



dodał pośpiesznie. – Nigdy nie miałem wiele wspólnego z tą częścią rodziny, ale to teraz nieistotne. Martwimy się, że major może zdobyć... twoje względy, gdyż, jakkolwiek patrzeć, jesteśmy jego dłużnikami. Maria niepokoi się o twoje... zamiary względem majora.

– Zamiary, Reginaldzie?

– Cóż, tak – potwierdził z zakłopotaniem. – Maria powiada, że kobiece współczucie względem rannego może przerodzić się w...

Zela zaśmiała się z przymusem, przerywając szwagrowi.

– W takim razie koniecznie uspokój moją siostrę – odparła. – Gdy myślę o majorze, mam jedynie chęć go uczesać.

Reginald bawił z wizytą przez godzinę lub nieco dłużej. Potem zjawiała się Hanna, pokojówka wyznaczona do pomocy przy Nickym. Zanim podano kolację, było już jasne, że Hanna doskonale poradzi sobie w roli opiekunki, a Zela uświadomiła sobie, że problemem może być nie tyle nuda chłopca, ile jej własna.

Czuwały nocą na przemian, lecz gorączka nie powróciła. Następnego ranka przybył doktor Pannell i po badaniu oznajmił

z satysfakcją, że pod koniec tygodnia chłopiec będzie mógł wrócić do domu.

- Zjrzę ponownie w piątek - zapowiedział. - Jeśli do tego czasu nie dojdzie do krwawienia, powrót do West Barton będzie jak najbardziej wskazany. Pierwsza wypróbuje pani nowy podjazd pana majora.

- Och, droga jest już ukończona? - ożywiła się Zela. - Widziałam pracujących, ale nie wiem, jak wygląda za bramą.

- Zamieniłem słowo z robotnikami, którzy zapewnili mnie, że do jutra skończą. Jej budowa jest zbawieniem dla Lesserton, wielu ludzi znalazło zatrudnienie. Problemy związane z prawem do wypasu bardzo utrudniają części z nich wyżywienie rodzin.

- Czy chodzi o spór z nowym właścicielem Lydcombe Park? Coś mi się obilo o uszy.

- W istocie, sir Oswald Evanshaw wprowadził się w marcu i teraz odbiera chłopom ziemię. - Lekarz pokręcił głową. - Naturalnie, ma swoje racje. W ostatnich latach dom kilkakrotnie zmieniał właściciela, ale nikt tam nie mieszkał, więc miejscowi przywykli do traktowania wszystkiego jak swoją własność. Zatarły się granice między gruntami Lydcombe a ziemią wieśniaków. Sir Oswald zabronił im także chodzić do Prickett

Wood, więc nie mogą zbierać chrustu, jak to dotąd czynili. Zarządca sir Oswalda jest gotowy użyć siły przeciwko każdemu, kto spróbuje wejść do lasu. Do tego wypłoszył wszystkie jelenie, które teraz wyjadają trawę krowom wieśniaków. - Lekarz zamyślił się na moment, a potem uśmiechnął do Zeli. - Na szczęście major Coale jest ulepiony z zupełnie innej gliny i pozwala, by ludzie zbierali chrust w jego lesie. Dobrze się stało, że Nicky nie zranił się w Lydcombe, tylko na ziemiach majora.

Zela przyznała doktorowi rację. Z biegiem dnia zaczęła się zastanawiać, czy będzie miała okazję podziękować gospodarzowi za gościnę. Hanna dbała o chłopca, więc Zela nudziła się coraz bardziej, przesiadując w pokoju chorego.

Gdy następnego ranka zjawiała się Hanna, Zela spytała ją od niechcenia, czy major jest w domu.

- Och, nie, panienko - zaprzeczyła pokojówka. - Wyjechał bladym świtem, a pan Graddon powiedział, co by nie spodziewać się jaśnie pana majora przed kolacją.

Dygnęła i usiadła przy łóżku Nicky'ego, żeby pograć z nim w bierki. Z braku lepszego zajęcia Zela sięgnęła po koszyk z robótkami

i zabrała się do haftowania. Był piękny wiosenny dzień, a w oddali rozbrzmiewało kukanie kukułki.

Gdy słońce wspięło się wysoko nad horyzont, Zela odłożyła tamborek i trochę poczytała chłopcu, podczas gdy Hanna cicho sprzątała pokój. *Robinson Crusoe* należał do ulubionych lektur Nicky'ego, ale w miarę upływu czasu coraz bardziej kleiły się mu oczy, aż w końcu spokojnie zasnął.

- To dla niego najlepsze - zauważyła półgłosem Hanna. - Uroczy maluch. Może panienka też sobie odpocznie? Ja tu posiedzę i go przypilnuję.

Zela westchnęła i wyjrzała przez otwarte okno.

- Właściwie mam ochotę na spacer - oznajmiła.

- To niech panienka idzie, nikt panienki nie zaczepi. Może panienka pochodzić po ogrodzie, a jak chłopiec się obudzi, zawołam przez okno.

Zela wahała się tylko przez chwilę. Wiosenny dzień był zbyt piękny, aby go marnować, więc podziękowała pokojówce, zbiegła po schodach i wyszła z domu. Odetchnąwszy świeżym powietrzem, rozejrzała się i z aprobatą zauważyła, że wokoło panuje porządek.

Większość chwastów wycięto, trawniki przystrzyżono, a w ogródku warzywnym pojawiły się zaczątki ładu.

Spacerowała może przez dziesięć minut, gdy nagle dobiegł ją stukot końskich kopyt na podejździe.

Major Coale jechał na wielkim siwym koniu.

Niewiele myśląc, Zela nieco uniosła spódnicę i podbiegła do żywopłotu, głośno wołając majora, który przystanął i wbił w nią zdumione spojrzenie.

- Nie powinna pani czuwać przy chłopcu? - spytał zaskoczony.

W odpowiedzi zrobiła wielkie oczy i wysapała zadyszana:

- Zgolił pan brodę.

- Gratuluję spostrzegawczości. Nie odpowiedziała pani jednak na moje pytanie.

- Hanna zajęła się Nickym. Dzień jest taki piękny, że po prostu musiałam na moment wyjść.

Mówiła spokojnie, niezrażona szorstkim tonem majora, co okazało się celne, bo znacznie łagodniej spytał ją o zdrowie dziecka.

- Czuje się coraz lepiej - odparła. - Jutro rano przyjdzie doktor Pannell, żeby go zbadać. Jeśli uzna, że chłopiec jest już dostatecznie silny, to zabiorę go z powrotem do West

Barton.

Major skinął głową i chciał popędzić konia, lecz Zela uniosła rękę.

- Proszę, niech pan jeszcze nie odjeżdża - powstrzymała go. - Chciałam panu podziękować za wszystko, co pan dla nas zrobił.

- To nie jest konieczne.

- Moim zdaniem jest. - Uśmiechnęła się szczerze. - Myślę, że gdybym teraz pana nie zatrzymała, nie mielibyśmy okazji do ponownego spotkania przed moim wyjazdem.

Major popatrzył na nią z góry. Nie uśmiechał się, a jego szare oczy wydawały się zimne jak lód.

- Służba otrzymała polecenie zaopiekowania się panią i chłopcem - oświadczył chłodno. - Nie ma potrzeby, by pani się ze mną widziała.

- Ale ja chcę... - Speszona Zela opuściła głowę. - Okazał nam pan wielką życzliwość...

Nie odrywała wzroku od czubka trzewika, ale wyczuwała na sobie świdrujące spojrzenie majora.

- Doskonale - odparł wreszcie. - Podziękowała mi pani. Na tym koniec.

Dotknął obcasami boków konia, który posłusznie ruszył przed siebie.

- Żałuję, że w ogóle się odezwałam -

burknęła Zela, poirytowana swoim zakłopotaniem. - Jak mogłam sądzić, że ten człowiek złagodnieje, kiedy mu okażę wdzięczność? Pospolity gbur.

Ledwie wypowiedziała te słowa, przyszło jej do głowy, że major Coale może być po prostu samotny. Pani Graddon wspominała, że niegdyś chętnie bawił na salonach. Opryskliwość i niechlujny wygląd służą mu zapewne do odstraszenia ludzi, pomyślała.

- Skoro tak, to nie moja sprawa - powiedziała Zela do pobliskiego krzewu rozmarynu. - Każdy niesie swój krzyż, a nie wszyscy mogą odciąć się od świata i w odosobnieniu pławić w swoim nieszczęściu.

Doktor Pannell zjawił się następnego dnia. W trakcie badania Nicky'ego Zela spytała, czy mogą wracać do domu.

- Obawiam się, że nie, moja droga - odparł z westchnieniem lekarz.

- A mówił pan, że w piątek - przypomniała Zela z rozczarowaniem w głosie. - Matka Nicky'ego bardzo się martwi.

- Sądziłem, że droga budowana przez majora będzie gotowa. Teraz powiedziano mi, że dopiero jutro ukończą prace. Cierpliwości, moja droga. Major Coale obiecał, że jego

ludzie będą harowali do późnej nocy.

Musiała się tym zadowolić. Nick zaś wydawał się całkiem ucieszony przedłużającym się pobytem w Rooks Tower.

Po lekkim obiedzie Zela zostawiła chłopca z Hanną i książką, sama zaś wyruszyła na poszukiwania pani Graddon, by zaoferować jej pomoc. Okazało się jednak, że pocziwa gospodyni wyjechała do Lesserton po zapasy. Nie chcąc jeszcze wracać do pokoju dziecka, Zela zarzuciła chustę na ramiona i udała się na spacer.

Tym razem postanowiła przejść na front domu i zwiedzić wybudowaną w klasycznym stylu oranżerię. Duże okna były rozdzielone gustownymi kolumnami zwieńczonymi eleganckim frontonem. Pośrodku znajdowały się przeszklone podwójne drzwi. Choć kamienna konstrukcja wydawała się solidna, drewniane elementy były mocno zużyte, a kilka rozbitych szyb należało wymienić.

Zela ze zdumieniem przekonała się, że drzwi są otwarte. Zaintrygowana, ostrożnie weszła do środka i rozejrzała się. Oranżeria była jednak całkiem pusta.

Nagle dostrzegła na ścianie cień i się odwróciła.

- Hm - dobiegło ją znajome mruknięcie.



Domyśliła się, że major Coale właśnie wrócił z konnej przejażdżki. Oficerki uwalane były błotem, na brązowym długim zakiecie widniała warstwa pyłu. Nie zdjął kapelusza o szerokim rondzie, a ponieważ stał tyłem do słońca, nie dostrzegła jego miny. Niezobowiązująco machnęła ręką.

- Chyba... nie ma pan nic przeciwko temu? - zapytała.

- A z jakiego powodu? - Wszedł do oranżerii, a Zela nagle odniosła wrażenie, że przestrzeń wokół niej się skurczyła. - Dostrzegłem uchylone drzwi i postanowiłem sprawdzić, kto tu myszkuje. I cóż pani myśli o oranżerii?

- Należałoby ją nieco wyremontować... - zaczęła ostrożnie.

- Zamierzam ją zburzyć - oznajmił bez ogródek.

- O, nie! - Przyłożyła dłoń do ust. - Najmocniej przepraszam - dodała sztywno. - Naturalnie, tylko pan może zdecydować o losach tego budynku.

- W rzeczy samej, jednak jestem ciekaw pani opinii. Co zrobiłaby pani na moim miejscu?

- Zamówiłabym nowe okna i drzwi - odparła bez wahania - i zaczęłabym wykorzystywać ów budynek zgodnie z jego przeznaczeniem.

- Na wszystko ma pani gotową odpowiedź -

zauważył z przekąsem.

Zela wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Powinnam wracać.

- Odprowadzę panią.

Pośpiesznie wyszła z oranżerii. Major po chwili zrównał z nią krok.

- Jutro nas pani opuści - zauważył. - Wiem o tym od doktora Pannella, którego spotkałem na drodze. Z pewnością chętnie wróci pani do West Barton.

- Owszem - przyznała i odetchnęła głęboko.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, okazał nam pan mnóstwo życzliwości, a służba pana spełniała wszystkie nasze życzenia.

- Ale?

Poprawiła chustę.

- Cieszę się, że ponownie znajdę się w dorosłym towarzystwie - wyjawiała i natychmiast pożałowała, że nie ugryzła się w język. - Proszę nie myśleć, że się uskarżam. Czuję się odpowiedzialna za Nicky'ego i nie mogłabym zostawić go tutaj samego.

- Niemniej zatęskniła pani za inteligentną rozmową?

- Otóż to - przytaknęła zadowolona, że major ją rozumie. - Gdy mieszkałam w domu w Cardinham, prowadziłam z papą

wielogodzinne dysputy.

- Na jakie tematy?

- Och, dowolne! Gawędziliśmy o polityce, muzyce, książkach. W West Barton jest podobnie, choć moją siostrę pochłoneła obecnie opieka nad niemowlęciem. Jednak gdy Reginald przebywa w domu, chętnie wdajemy się w ożywione dyskusje. - Zarumieniła się. - Przepraszam, oczywiście jestem panu dozgonnie wdzięczna za wszystko, co pan dla nas uczynił.

- Tak, wiem, już to pani mówiła. Niemniej wygląda na to, że zaniedbuję obowiązki gospodarza. - Zatrzymał się przed drzwiami wejściowymi. - Może zechciałaby pani zjeść dzisiaj kolację w moim towarzystwie?

Propozycja była tak nieoczekiwana, że Zela zaniemówiła.

- Naturalnie, to nie wchodzi w grę - odpowiedział sam sobie major. - Proszę zapomnieć...

- Ależ oczywiście - przerwała mu pośpiesznie. - Z ogromną chęcią zjem kolację w pańskim towarzystwie.

Nie mogła uwierzyć, że się zgodziła. Najwyraźniej postradałam rozum, pomyślała. Przez krótką chwilę jednak, zamiast chłodu i niechęci, dostrzegła w oczach majora

tęsknotę i głębokie pragnienie.

- Nie będzie przyzwoitki - uprzedził major i pytająco uniósł brwi.

- W domu jest przecież Nicky, a także pańska gospodyni.

Przez moment wpatrywał się w nią surowo.

- Zatem doskonale. Zobaczymy się na kolacji.

Dotknął kapelusza, obrócił się na pięcie i odmaszerował ku stajniom.

Zela posępnie przyjrzała się sukniom, które leżały na łóżku. Ktoś, kto spakował jej odzież, najwyraźniej założył, że spędzi cały czas przy potrzebującym opieki dziecku. Nie miała stroju odpowiedniego na kolację z majorem. Ostatecznie postanowiła zadowolić się żółtą muślinową suknią z zieloną przepaską w talii i szalem do kompletu.

Przez kilka ostatnich godzin zastanawiała się, dlaczego major zaprosił ją na wspólny posiłek. Ostatecznie doszła do wniosku, że są dwa powody: po pierwsze, uprzejmość, po drugie, doskwierająca mu samotność. Gdyby choć przez moment sądziła, że wpadła majorowi w oko, z pewnością odrzuciłaby zaproszenie.

Zela nie żywiła złudzeń. W lustrze wyraźnie

widziała nieszczerólnie urodziwą osobę - zbyt szczupłą, o brązowych włosach, które nie były ani modnie ciemne, ani atrakcyjnie jasne. Co więcej, w wieku dwudziestu dwóch lat miała pełne prawo uważać się za starą pannę.

Czasem powracała myślami do pogodnej, roześmianej młódki z iskrą w oku, jaką była, mając osiemnaście lat. U progu dorosłego życia była zakochana i widziała przed sobą tylko szczęście. Rok później wszystko się zmieniło. Utraciła miłość, szczęśliwą przyszłość i radość życia. Gdy teraz patrzyła na siebie, nie widziała niczego, co mogłoby pociągać mężczyzn.

Pięć minut przed ustaloną godziną Zela pokazała się Nicky'emu.

- I jak? - spytała. - Ujdzie?

Chłopiec zmarszczył nos.

- Chciałbym z tobą iść, ciociu - powiedział z westchnieniem.

- Też bym tego chciała, słonko - odparła szczerze.

Była coraz bardziej zdenerwowana.

- Po kolacji ułożymy układankę - odezwała się rozpromieniona Hanna. - A panienka niech idzie i miło spędzi czas. O nas proszę się nie martwić, znajdziemy sobie zajęcie.

Zela z ciężkim sercem zeszła na parter. Nie miała pojęcia, gdzie szukać salonu, więc stanęła pośrodku holu. Nie musiała długo czekać, gdyż niemal natychmiast zjawił się Graddon.

- Tędy, jaśnie panienko, za pozwoleniem - powiedział i poprowadził ją do pokoju sąsiadującego z gabinetem majora. Otworzył drzwi i Zela ujrzała dość ciemne pomieszczenie. Kiedy się zorientowała, że jest sama, rozejrzała się dookoła. Pokój był długi, z wysokim sufitem, a na purpurowych ścianach wisiały wielkie obrazy, przedstawiające mężczyzn i kobiety w jasnych perukach oraz strojach z ubiegłego stulecia. Wyróżniało się tylko jedno dzieło: zawieszony nad kominkiem portret młodej damy o gęstych włosach, które spływały jej na ramiona. Zela podeszła bliżej. Nieznajoma miała zdecydowane, nieustraszone spojrzenie i stanowczo zaciskała pełne wargi. Wydawała się dziwnie znajoma.

- To moja siostra Serena.

Drgnęła, odwróciła się i zobaczyła stojącego za sobą majora.

- Och, nie usłyszałam pana... - Zdążyła ugryźć się w język, nim dodała: „szurania”. Zarumieniona, pośpiesznie odwróciła się do

obrazu. - Moim zdaniem ogromnie pana przypomina.

Major zaśmiał się chrapliwie.

- Być może dawniej tak było - rzekł. - Ja i Jasper wołaliśmy na nią Sally. Trzeba przyznać, że była dzikuską i uparciuchem jakich mało. Potem wyszła za męża i obecnie jest ucieleśnieniem szacowności.

- A czy jest szczęśliwa?

- Niebywale.

Zela spojrzała na gospodarza. Choć już widziała go bez brody, gładko ogolona twarz nadal ją zaskakiwała. Gęste ciemne włosy przyczesał i przewiązał wstążką, więc blizna była teraz widoczna w całej rozciągłości. Biegła od lewej skroni przez brew i kość policzkową aż do brody.

Major spoglądał nieco wyzywająco na Zelę. Uświadomiła sobie, że najwyraźniej spodziewał się, że odwróci się z obrzydzeniem. Jednak nie zamierzała tego robić. Nie wiedząc, jak się zachować, uśmiechnęła się uprzejmie.

- Wygląda pan szalenie elegancko - oświadczyła.

Nieufne spojrzenie majora znikło.

- Dziękuję pani. - Lekko pochylił głowę. - Jak miemam, to typowy strój, w jakim zasiada się

do kolacji.

Oboje wiedzieli, że Zela nie miała na myśli fraka ze śnieżnobiałą kamizelką ani bryczesów do kolan. Niemniej uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Pańskie ubranie w niczym nie przypomina tego, które miał pan na sobie przy okazji naszego pierwszego spotkania - zauważyła.

- To strój do pracy w lesie. Surdut jest luźny w ramionach, więc mogę wygodnie brać zamach siekierą. - Umiłkł na moment. - Od pani Graddon wiem, że w kuchni doszło do pewnego zamieszania, i musimy poczekać na kolację. - Uśmiechnął się kącikiem ust. - Pani Graddon to wspaniała osoba, ale jak sądzę, świadomość, że w kolacji będzie uczestniczył gość, doprowadziła do zwarzenia się sosu.

- Trudno przygotować prawdziwie udany sos - skomentowała ostrożnie Zela.

- Może zaczekamy na tarasie? - zaproponował major.

Skinęła głową i dała się zaprowadzić na drugi koniec pokoju, do przeszklonych drzwi znajdujących się między wysokimi oknami.

- Jak pani widzi, dom jest cokolwiek zaniedbany - powiedział z westchnieniem major, przepuszczając ją przodem.

Sam również wyszedł i niemal natychmiast



pochylił się, żeby wyrwać chwast wyrosły między płytami chodnikowym.

- Ogród różany zachował się w całkiem niezłej kondycji - zauważyła Zela. - Wystarczy poświęcić mu trochę czasu, aby nabrał znośnego wyglądu.

- Czyżby? - zdumiał się. - Gdy zaglądałem tam ostatnio, rośliny były zupełnie zapuszczone.

- Wymagają jedynie przycięcia. Nawet krzewy da się odratować, jak mniemam. Na przyszły rok będą niemal bez zarzutu.

- Szkoda, że z ludźmi tak nie bywa.

Te gorzkie słowa wyrwały Zelę z pogodnych rozmyślań o zadbanym ogrodzie.

Zadrżała, gdy nagle powiał chłodny wiatr. Major Coale zmarszczył brwi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - To zbyt wczesna pora roku, aby spędzać czas na świeżym powietrzu.

Wyciągnął rękę ku Zeli, aby pomóc jej poprawić szal.

Czy jego dłoń spoczęła na moim ramieniu odrobinę dłużej, niż powinna, czy też wyobraźnia spletała mi figla? - zadała sobie w duchu pytanie Zela.

- Może powinniśmy wejść do środka - zaproponował major.

Niemal podskoczyła, gdy ujął ją za łokieć. Najwyraźniej wyczuł jej napięcie, gdyż natychmiast cofnął dłoń i lekko odwrócił głowę, niewątpliwie chcąc ukryć pokiereszowaną część twarzy. Zela zganiła się w myślach. Major Coale zachowywał się jak dżentelmen, ona zaś była skrępowana niczym pensjonarka. Nie tak powinna odpłacić gospodarzowi za gościnę.

Poprowadził ją do jadalni, gdzie spostrzegła stół nakryty u szczytu i tuż obok, z prawej strony. Zela odkaszlnęła niespokojnie.

- Panie majorze, czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybyśmy nieco zmodyfikowali układ miejsc? - zapytała.

Zarumieniła się, gdy spojrzał na nią badawczo i po chwili wzruszył ramionami.

- Wedle pani życzenia.

Wydała służbie stosowne polecenia, dzięki czemu nakrycie u szczytu w krótkim czasie znalazło się z lewej strony, tak aby mogli zasiąść naprzeciwko siebie. Zela niepewnie zerknęła na majora.

- Uważa pani, że będzie bezpieczniejsza, gdy rozdzieli nas półtora metra mahoniowego drewna? - spytał.

- Tak się wydaje... stosowniej - odparła ostrożnie.

- Stosowniej! - prychnął. - Jeśli ta kwestia spędza pani sen z powiek, możemy zawezwać panią Graddon, by do nas dołączyła.

Oczy Zeli załśniły gniewnie.

- Zgodziłam się zasiąść z panem do kolacji, ale nie podejrzewałam, że będziemy jedli tak blisko siebie.

- Tak, tak, w istocie, byłoby to wielce niestosowne - orzekł zgryźliwie major. - Dajmy już temu pokój i usiadźmy, na litość boską, nim pojawią się dania.

Pokuśtykał do jej krzesła, wysunął je, a gdy usiadła, sam zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

- Proszę o wybaczenie, panie majorze - odezwała się cicho Zela. - Nie zamierzałam narażać pana na tyle zachodu.

Gałązka oliwna najwyraźniej odegrała swoją rolę, bo Coale zerknął ze skrucą na Zelę.

- A ja przepraszam, że straciłem panowanie nad sobą. Zapomniałem o dobrych manierach.

Drzwi się otworzyły i służący wnieśli półmiski.

Po tak zniechęcającym początku Zelę dręczył niepokój, że rozmowa będzie trudna, lecz jej obawy okazały się przedwczesne. Major dowiódł, jak dobrym jest gospodarzem, i ani na moment nie zaniedbał towarzyszki. Przekonał

ją, by skosztowała każdej potrawy, regularnie uzupełniał jej kieliszek i zabawiał ją anegdotami. Nic dziwnego, że w końcu zapomniała o zdenerwowaniu i poczuła się swobodnie.

Rozmawiali o muzyce i sztuce, o teatrze i polityce. Na koniec posiłku Zela wymieniała się uwagami z majorem tak, jakby byli starymi przyjaciółmi. Służba uprzątnęła nakrycia, a major spytał o Nicky'ego. Chętnie opowiedziała, jak spędzają dni.

- Hanna jest po prostu nieoceniona - dodała na zakończenie. - Ogromnie dziękuję, że przysłał mi ją pan do pomocy.

- Zrobiłem to na sugestię pani Graddon, która wiedziała, że dziewczyna pochodzi z licznej rodziny - odparł.

- Nicky przepada za Hanną i wolałby grać z nią w bierki, niż uczestniczyć w lekcjach.

Major uniósł brwi.

- Chyba nie dręczy go pani nauką podczas rekonwalescencji?

- Nie, skąd - zaprzeczyła ze śmiechem - ale słucham, jak codziennie czyta przez kilka minut. Oprócz tego pisze krótkie liściki do mamy. Nicky niezbyt chętnie angażuje się z własnej woli, ale wystarcza mu odrobina zachęty. Poza tym uważam to za bardzo dobre

ćwiczenia dla siebie.

- Ćwiczenia? - powtórzył.

- Tak, ponieważ planuję zostać guwernantką.

Raczyła się ciastkiem, gdy kamerdyner podszedł, aby napęcić jej kieliszek.

- Dziękuję, Graddon, to wszystko. - Major odprawił go machnięciem ręki. - Zostaw maderę, sam będę obsługiwał pannę Pentewan. - Kamerdyner uklonił się, wyszedł i dopiero wtedy major dodał: - Proszę mi wybaczyć impertynencję, ale wydaje się pani za młoda na guwernantkę.

Zela wyprostowała się dumnie.

- Mam dwadzieścia dwa lata, panie majorze - oświadczyła z powagą. - Inna rzecz, że to nie pańska sprawa. - Przygryzła wargę. - Proszę o wybaczenie. Jestem gościem w pańskim domu...

- Do diabła! - zaklął ostro. - Nie ma powodu, by znosiła pani moje nieokrzesanie. Jako gość w tych progach nie powinna pani być obciążana żadnymi obowiązkami.

Zachichotała, a jej gniew przeminął równie szybko, jak się pojawił.

- Ależ naturalnie, że ciążą na mnie obowiązki względem pana - zauważyła. - Dołożył pan wszelkich starań, abyśmy dobrze się czuli w pańskim domu. Poza tym, jakże miałabym

panu nie wybaczyć, skoro wygłosił pan pod moim adresem nie lada komplement?

Major uśmiechnął się i napełnił oba kieliszki.

- Niech mi pani powie, dlaczego pragnie zostać guwernantką - poprosił. - Czyżby Buckland niełożył na pani utrzymanie?

- Dlaczegoż miałyby to robić, skoro sama mogę na siebie zapracować?

- Ja bym nie pozwolił, żeby moja siostra została guwernantką.

- Pański ojciec był wicehrabią - zauważyła. - Reginald to mój szwagier, poza tym musi dbać przede wszystkim o własną rodzinę. Nie zamierzam być mu ciężarem.

Uniosła kieliszek i upiła odrobinę trunku. Nigdy jeszcze nie próbowała madery, ale delikatny orzechowy smak przypadł jej do gustu.

Major poprawił się na krześle.

- Być może powinna pani poszukać kandydata na męża - oznajmił.

- Nie!

Ten stanowczy sprzeciw zastanowił majora.

- Nie mam posagu i trudno mnie zadowolić, więc odnalezienie odpowiedniej osoby mogłoby się okazać niezwykle trudne - wyjaśniła Zela z pozorną beztroską. - Doskonałe wino, tak na marginesie. Czy

dżentelmeni zwyczajowo raczą się nim na koniec posiłku? Wiem, że Reginald bardziej ceni sobie brandy.

Ku jej uldze major zmienił temat i rozmowa skoncentrowała się na neutralnych zagadnieniach. Zela wypila jeszcze jeden kieliszek madery i uznała, że na tym koniec, gdyż zaczynało się jej kręcić w głowie. Nie wstawali jednak od stołu, tyle mieli sobie do powiedzenia.

Gdy major odwrócił się, aby zamienić parę słów z Graddonem, który ponownie zjawił się w jadalni, Zela skorzystała z okazji i dyskretnie przyjrzała się profilowi gospodarza. Musiał być niesłychanie przystojnym mężczyzną, nim otrzymał uderzenie francuską szablą. Ta myśl przepełniła Zelę smutkiem.

- Jest pani bardzo milcząca.

Otrząsnęła się z zadumy i zarumieniła, nie wiedząc, co powiedzieć. Ostatecznie wybrała szczerość.

- Rozmyślałam o pańskiej twarzy - przyznała.

- Właśnie dlatego chciałem, by zasiadła pani po mojej prawicy. Pragnąłem oszczędzić pani tego ohydneho widoku.

Zela pokręciła głową.

- Nie uważam tego widoku za ohydny -  
zapewniła majora.

- Nie powinienem był golić brody.

- Przeciwnie, dobrze się stało, bo wygląda  
pan o wiele lepiej, niemniej...

- Tak? Co takiego?! - Oстрыm tonem zdawał  
się ją ostrzegać, lecz nie zamierzała się  
wycofywać.

- Pańskie włosy - oświadczyła - Dziwi mnie,  
że pokojowiec nie zasugerował ich przycięcia.

- Nie mam pokojowca. Graddon zajmuje się  
wszystkim, co konieczne.

- Sądziłam, że jest kamerdynerem.

- Robi, co trzeba - podkreślił z naciskiem  
major. - Był ze mną w Hiszpanii i sprowadził  
mnie z powrotem do Anglii. Został przy mnie,  
pomógł mi odnaleźć się w nowym życiu.

- A pani Graddon? - zainteresowała się Zela.

- Była gospodynią w Markham. Postanowiła  
wyjść za Graddona i przyjechać z nim tutaj,  
kiedy się przeprowadziłem. - Major uniósł  
kieliszek i krzywo się uśmiechnął. - Jak pani  
widzi, moje nieszczęście okazało się dla nich  
korzystnym zrzędzeniem losu.

Zela zmarszczyła brwi.

- Proszę nie deprecjonować ich  
zaangażowania - powiedziała z urazą w głosie.

- Są panu bardzo oddani.



- To prawda - zgodził się po chwili. - Proszę mi wybaczyć tę złośliwą uwagę.

- Moim zdaniem wyglądałby pan nieporównanie lepiej z krótko przyciętymi włosami - ciągnęła. - Zgodnie z obecną modą.

Pochylił się i popatrzył wyzywająco na Zełę.

- Chcę, aby były długie - wycedził. - Dzięki temu mogę ukryć tę odrażającą deformację. - Rozplątał wstążkę i potrząsnął głową, aby zasłonić twarz włosami. - Lepiej, nieprawdaż? Nie chciałbym budzić grozy u dam i dzieci.

- Nicky się pana nie boi - zauważyła łagodnie. - Mnie również pan nie przeraża.

Przez długą chwilę spoglądała mu w oczy, licząc na to, że major dostrzeże w jej spojrzeniu zrozumienie. Z ulgą zauważyła, że złość zniknęła z jego oblicza.

- Czyżby oczekiwała pani, że oddam się w ręce wiejskiego balwierza? - spytał z niezadowoleniem. - Raczej tego nie zrobię. Może o tym pomyślę, kiedy następnym razem wybiorę się do Londynu.

- Sama mogę pana ostrzyć - oznajmiła, zdumiona własną śmiałością. - Znakomicie sprawdzam się w roli cyrulika, choć nie mam pojęcia, skąd u mnie ta umiejętność. Strzygłam ojca, a od przyjazdu do West Barton strzygę także Nicky'ego. Jestem pewna, że żaden

cyrulik nie poradziłby sobie lepiej.

Major spoglądał na nią chmurnie i Zela doszła do wniosku, że posunęła się za daleko. Wino sprawiło, że straciła zahamowania i rozwiązał się jej język. Tymczasem Coale zerwał się z miejsca i zwrócił się do kamerdynera:

- Graddon, zechciej przynieść nożyczki oraz grzebień.

Spojrzał na Zelę z błyskiem w oku.

- Doskonale, panno Pentewan. W takim razie sprawdzimy, na co panią stać.

- Co takiego? - spytała zaskoczona. - Jest pan pewien?

- Czyżbym zbił panią z pantałyku?

Zela właśnie tak się poczuła. Uznawszy jednak, że major rzucił jej wyzwanie, zebrała się na odwagę, zdecydowana przekroczyć kolejną granicę konwenansu.

- Ani trochę - odparła buńczucznie. - Do dzieła!

Wkrótce major siedział na krześle przy stole, a Zela stała za nim z grzebieniem w dłoni. Wcześniej poprzestawiali świeczniki w taki sposób, aby uzyskać jak najlepsze oświetlenie, i teraz czarne niczym heban loki majora lśniły, spływając mu na ramiona. Zela miała wrażenie, że wyzwanie, którego się podjęła,

wyraźnie ją przerasta. Najwyraźniej major wyczuł jej wahanie, bo machnął ręką i powiedział:

- Tak. Może zmienię zdanie, gdy wytrzeźwieję. Jak na razie jestem zdecydowany. Proszę zaczynać.

Zela odetchnęła głęboko. Oboje się zgadzali, że jest już za późno, aby się wycofać. Sięgnęła po nożyczki i przysunęła się tak blisko, że suknią muskała jego ramię. Czuła się niepewnie, jakby stała nad śpiącym tygrysem.

Odsunęła od siebie te osobliwe myśli, mocniej zacisnęła palce na nożyczkach i zabrała się do pracy. Cięła i czesała włosy majora, kształtując fryzurę w modnym w wyższych sferach stylu à la Brutus. W pewnym momencie przypadkiem musnęła palcami bliznę, co spowodowało, że major się wzdrygnął. Zela natychmiast się cofnęła.

- Czyżbym pana skaleczyła? - zapytała.

- Nie. Proszę kontynuować.

Starannie dokończyła pracę, a ostatnie poprawki sprawiły, że uśmiechnęła się z satysfakcją i raz jeszcze przeczesła palcami gęste loki.

- Już, gotowe - oznajmiła.

- Doskonale, Dalilo. Teraz się przekonamy, coś uczyniła - zażartował major.

Podniósł jeden ze świeczników i podszedł do lustra. Zela wstrzymała oddech, gdy się przeglądał. W blasku świec szrama nadal była widoczna, ale przy nowej fryzurze nie rzucała się tak bardzo w oczy. Czarne loki nad szerokimi brwiami doskonale podkreślały mocne rysy twarzy.

- Cóż, panno Pentewan, muszę pani pogratulować - powiedział w końcu. - Może jednak nie powinna pani ubiegać się o stanowisko guwernantki, a raczej rozejrzeć się za posadą cyrulika.

Zaśmiała się z nieskrywaną ulgą.

- Wygląda pan bardzo przystojnie - zauważyła śmiało.

Major odwrócił się od lustra i odkaszlnął.

- No dobrze, chyba już pora zakończyć wieczór - oświadczył. - Niedługo będzie pani musiała wstać.

- Tak, naturalnie. - Spłoszona, zerknęła na zegar. - Biedna Hanna już od wielu godzin czuwa przy Nickym. Dobranoc, panie majorze. Mam nadzieję, że spotkamy się rano, zanim wyjadę.

Ponownie odkaszlnął i odwrócił wzrok.

- Niewykluczone. Dobranoc, panno Pentewan. - Uścisnął jej wyciągniętą dłoń. - Dziękuję pani.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego ranka Reginald przyjechał powozem, który Maria kazała wypełnić wałkami oraz poduszkami, by ochronić Nicky'ego podczas długiej podróży do domu. Chłopiec rozejrzał się z ciekawością, kiedy ojciec ostrożnie wynosił go z domu.

- Papo, dlaczego nie ma pana majora? - zapytał.

- Pan major kazał przeprosić panicza. Musi nadzorować sadzenie żywopłotów na łąkach - odezwał się ojcowskim tonem Graddon.

- Ale ja tak chciałem się z nim pożegnać!

Rozczarowanie brzmiące w głosie Nicky'ego sprawiło, że i Zela poczuła ukłucie zawodu. Ona również chętnie spotkałaby się z majorem. Na szczęście pokrzepiły ją słowa Reginalda.

- Twoja mama już napisała list do pana majora - zakomunikował. - Nie tylko dała mu przyzwolenie na złożenie wizyty, ale także zaprosiła go na kolację. Po powrocie do domu, Nicholasie, sam będziesz mógł napisać do pana majora podziękowania za troskliwą opiekę.

- Tak, i napiszę jeszcze, żeby mnie odwiedził  
- zgodził się Nicky i nagle zmarszczył brwi. -  
Ale przyjedzie, prawda? Napiszę, żeby  
koniecznie przyjechał.

- Nie wyobrażam sobie, jak mógłby  
odmówić. - Reginald uśmiechnął się do Zeli. -  
Chyba powinienem uprzedzić służbę, aby nie  
posłała go do kuchni. Kiedy ostatni raz go  
widziałem, taki był z niego obdartus, że  
z łatwością mógłby uchodzić za żebraka.

- Myślę, że się zdziwisz - odparła  
z uśmiechem Zela.

Z łatwością pokonali dystans ośmiu  
kilometrów dzielący ich od West Barton  
i wkrótce wszyscy domownicy zgotowali im  
gorące powitanie. Maria przytuliła pasierba  
i zalała się łzami, żałując, że nie mogła go  
odwiedzić, niania zaś obiecała mu mnóstwo  
smakołyków, aby mu wynagrodzić przykrości.

- Mam nadzieję, że po pobycie w domu  
tamtego człowieka nie będziesz miał  
koszmarów - powiedziała niania, gdy Nicky  
leżał już w łóżku. - Podobno wygląda  
odrażająco.

Zela poczuła gniew, ale nie dała nic po sobie  
poznać.

- Absurd - oznajmiła. - Major Coale ma

bliznę na twarzy i nic ponadto.

- Tak, i wcale mi ona nie przeszkadza! - wykrzyknął Nicky. - Pan major umie świetnie strzelać.

- Naturalnie, skarbie - zgodziła się niania natychmiast, żeby go nie drażnić. - A teraz musisz wypocząć po długiej podróży.

Wkrótce wszyscy opuścili pokój, pozostawiając piastunkę samą z chłopcem.

- Nie podoba mi się, że Nicky jest niesforny - odezwał się Reginald, gdy przeszli do salonu. - Coale powiedział mi, że mały biegał beztrudnie po terenie wokół Rooks Tower.

- Major Coale i jego służba nie mają nic przeciwko obecności chłopca - zapewniła go Zela. - Wszyscy tutaj są zajęci niemowlęciem, więc Nicky sam organizuje sobie wolny czas.

Po jej słowach zapadła krótka cisza, przerwana westchnieniem Marii.

- To prawda - zgodziła się ze smutkiem. - Piastunka skupiła całą uwagę na mnie i małym Reginaldzie, więc cieszyliśmy się, że Nicky dobrze się bawi sam w ogrodzie. - Z lekkim wyrzutem popatrzyła na męża. - Ostatnio spędzasz mnóstwo czasu poza domem.

- Usiłowałem pomóc wieśniakom - odparł ze skruchą Reginald. - Przecież nie mogłem wszędzie jeździć z dzieckiem. Nigdy bym nie

pomyślał... Nicky wydawał się całkiem zadowolony. – Uśmiechnął się blado do Zeli. – Nic dziwnego, że tak się do ciebie przywiązał, chociaż nie przyjechałaś tu po to, aby się nim zajmować. Moja biedna szwagierko, spędziłaś z nami zaledwie kilka tygodni, a my zdążyliśmy zrobić z ciebie opiekunkę do dziecka.

– Ależ ja chętnie pomagam, o czym doskonale wiecie. Tyle że Nicky potrzebuje przyjaciół w swoim wieku, a przynajmniej guwernera.

Maria złączyła dłonie i skinęła głową.

– Chyba powinnam przestać myśleć o nim jak o niemowlęciu. – Zamilkła, by po chwili się ożywić. – Przecież poszukujesz pracy guwernantki. Mogłabyś zacząć od Nicky’ego. Zapłacilibyśmy ci...

– Droga siostrzo, to bardzo miło z twojej strony, ale co innego miałam na myśli – przerwała jej Zela. – Poza tym nie mogłabym pobierać od was wynagrodzenia. Stałam się wystarczającym obciążeniem.

– Rozumiem – powiedział Reginald. – O ile mi wiadomo, pan Netherby udziela lekcji kilku chłopcom. Zapytam o to dzisiaj po południu, kiedy pojedę do Lesserton.

Maria wyciągnęła do niego ręce.

– Czy naprawdę musisz jechać? – zapytała ze smutkiem. – Przecież Nicky dopiero co wrócił



do domu...

Uściskał jej palce.

- Obawiam się, że to konieczność.

- Co to za sprawa każe ci udawać się tam tak często, Reginaldzie? - zainteresowała się Zela. - Czy ma to coś wspólnego z Lydcombe Park? Pamiętam, jak wspominałeś, że nowy właściciel sprawia trudności.

- I owszem - przytaknął. - Nosi się z zamiarem otwarcia kopalni na swojej ziemi.

- Przecież nie ma w tym nim złego - odezwała się zdziwiona Maria. - Zapewni ludziom pracę i...

- Nic podobnego - przerwał jej mąż. - Evanshaw ściągnie własnych inżynierów i górników. Poza tym ziemia, na której chce prowadzić eksploatację, jest gruntem spornym. Wieśniacy twierdzą, że stanowi ich własność na mocy dawnego prawa, i korzystają z tych terenów od lat, wypasając zwierzęta na wzgórzu i polując w Prickett Wood. Sir Oswald zagarnął cały obszar niczym swoją własność i zatrudnił zarządcę, Williama Millera. Ten naprawdę paskudny typ patroluje okolicę wraz ze swoją obstawą.

- I nic nie da się na to poradzić? - Maria wydawała się szczerze zmartwiona.

- Ci, których wysiedlono, są zbyt biedni, aby

się przeciwstawić. Staram się im pomagać, jak tylko mogę. Wysłaliśmy już petycję i zebraliśmy fundusze na opłacenie prawnika, który pojedzie do Lesserton i załatwi sprawę raz na zawsze.

- A nie możesz porozmawiać z samym sir Oswaldem? - zasugerowała Zela. - Z pewnością nie chce pozostawać w złych relacjach z sąsiadami.

Reginald wzruszył ramionami.

- Odwiedziłem go, gdy przejął dom w Dniu Zwiastowania, ale nie okazał się gościnny - odparł. - Nie sądzę, aby zamieszkał w Lydcombe. Dom jest praktycznie spustoszony. Wyprzedano z niego wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Sir Oswald poinformował mnie, że zamierza sprzedać drewno ze swojej ziemi, a po wyeksploatowaniu złóż zatopić kopalnię. Ludzie zupełnie go nie interesują.

- Zatem musisz walczyć! - wykrzyknęła z zapalem Zela. - Teraz rozumiem, dlaczego jesteś taki zajęty. Proszę, nie zaprzataj sobie głowy Nickym, przynajmniej na razie. Chętnie się nim zajmę.

Zela poszła na górę, aby zastąpić piastunkę. Była zadowolona, że Maria i Reginald rozwiążą problem samotności Nicky'ego.

Lekcje powinny zapełnić mu dzień i zagwarantować towarzystwo innych chłopców. Na razie zamierzała zapewniać mu rozrywkę w trakcie rekonwalescencji.

Pomimo pięknej wiosennej pogody Zela nie wychodziła z domu. Była zbyt zajęta, dzieliła bowiem dzień między Nicky'ego a Marię, którą ogromnie cieszyło jej towarzystwo. Z tego powodu minęły trzy długie dni, nim w końcu znalazła czas, aby cieszyć się promieniami słońca.

Włożyła słomkowy kapelusik-budkę i przewiązała go wstążką. Następnie opuściwszy dom bocznymi drzwiami, ruszyła szybkim krokiem przez trawnik. Przyjemnie było ponownie zażyć świeżego powietrza i cieszyć się słońcem. Szła energicznie, wykorzystując chwilę spokoju na cichą refleksję.

Bawiła w West Barton już od kilku tygodni, lecz nie zdołała poczynić żadnych postępów w sprawie znalezienia pracy. Mogła szukać usprawiedliwień, rzecz jasna. Maria podkreślała, jak dobrze jest mieć ją przy sobie, ale Zela nie miała ochoty wcielać się w rolę ulubionej ciotuni, gotowej pomagać i służyć wszystkim z wdzięczności za

możliwość mieszkania przy rodzinie.

- Ty niewdzięcznico - powiedziała na głos. - Praca guwernantki nie byłaby wcale komfortowa, a tak możesz robić coś więcej, niż tylko zarabiać na utrzymanie. - Wdrapała się na przełaz i lekko zeskoczyła po drugiej stronie płotu. - Ale jako guwernantka dostawałabym pieniądze! - wykrzyknęła.

W tym momencie przypomniały się jej słowa majora Coale'a: „Być może powinna pani poszukać męża”.

Mąż. Jego znalezienie było ambicją większości młodych dam, ale nie Zeli. Zresztą i tak nikt by się z nią nie ożenił ze względu na jej dawne przeżycia, a nawet przez myśl jej nie przeszło, aby nie wyjawić prawdy przyszłemu towarzyszowi życia.

Doszła do wniosku, że ma dwa wyjścia: pozostać w West Barton, kochana i ceniona, ale skazana na los kłopotliwej starej panny, lub przynajmniej spróbować zapewnić sobie niezależność.

- Wybieram niezależność - zwróciła się do krowy, która złowrogo łypała na nią z pobliskiego pastwiska. - A teraz wróć i napiszę ogłoszenie do gazety.

Przeszła przez pole na drugą stronę ogrodzenia, gdzie biegła ścieżka do West

Barton. Gdy tylko na niej stanęła, dostrzegła jeźdźca, który zbliżał się od strony Lesserton. Był to major Coale. Ogarnięta nagłą paniką, chciała się cofnąć po przełazie, ale było już za późno, bo ją zauważył.

- Dzień dobry, panno Pentewan.

Major uchylił kapelusza. Poczowała dumę na widok jego krótkich włosów. Policzki nadal miał gładko ogolone i nic nie wskazywało na to, aby nosił się z zamiarem powrotu do poprzedniego wizerunku.

- Właśnie jadę do państwa, by zapytać, co słyhać u młodego panicza Bucklanda.

- Miwa się doskonale, panie majorze, dziękuję - odparła. - Doktor orzekł, że jutro Nicky może wstać z łóżka.

Twierdził, że nie lubi towarzystwa, więc liczyła na to, że usatysfakcjonowany tym krótkim podsumowaniem ukłoni się i odjedzie.

- Miło mi to słyszeć. - Wysunął stopy ze strzemion i zeskoczył. - Czy wraca pani teraz do domu? Mógłbym pani towarzyszyć?

- Ależ... tak, naturalnie.

Zaczekała, aż Coale do niej dołączy, a następnie powoli ruszyła przed siebie. Siwa klacz leniwie podążała za nimi. Po kilku metrach major przystanął.

- Czy to jest pani zwyczajowe tempo, panno

Pentewan? - zapytał. - Aż dziw bierze, że w ogóle udaje się pani dokądkolwiek dotrzeć.

- Tak... To znaczy nie. Chodzi o to... - Umilkła i spojrzała wymownie na jego buty. - Myślałam, że pańska noga...

- Nie jestem inwalidą, proszę pani.

Przypomniały się jej słowa pani Graddon, a także chwila, w której ona zaproponowała strzyżenie. Kiedy wówczas wstał, ani przez chwilę nie kuśtykał.

- Czy dawna rana panu nie doskwiera?

- Ani trochę, w przeciwieństwie do tego ślimaczego tempa - odrzekł.

- Zechce pan wybaczyć - odparła z irytacją.

- Staralam się jedynie okazać zrozumienie.

Surowe spojrzenie majora dobitnie świadczyło o tym, że nie docenił jej wysiłków. Zela dumnie uniosła brodę.

- Rana się zagoiła i nie odczuwa pan bólu. Dlaczego więc pan kuleje? - spytała śmiało.

- Z przyzwyczajenia, jak mniemam. - Wzruszył ramionami. - Jakie to ma znaczenie? Nie bywam w towarzystwie.

- To może się zmienić.

- Śmiem wątpić - burknął.

Zela zrezygnowała z dalszej polemiki i nieco przyśpieszyła. Uśmiechnęła się dyskretnie, gdy major bez trudu ją dogonił. Szli teraz

energicznym krokiem i choć na twarzy majora malowało się zdumienie, nie kuśtykał ani trochę.

- Jak przebiegła podróż powrotna? - spytał w pewnej chwili. - Czy dała się Nicky'emu we znaki?

- Ani trochę. Nowa droga jest bardzo gładka. - Wskazała dłonią dróżkę. - W porównaniu z nią nasza ścieżka jest fatalnie zaniedbana.

- Mój inżynier wykorzystał nową metodę budowy dróg. Użył drobniejszych kamieni, które ciasno ubił. Póki co wszystko wydaje się w porządku, ale zobaczymy, co pokaże czas. - Major popatrzył na suknię Zeli i wilgotny rąbek tkaniny. - Jak mniemam, nie trzymała się pani drogi?

- Nie - odparła ze śmiechem. - Przemierzyłam dwa bardzo błotniste pola. Dzień jest tak piękny, że nie mogłam dłużej tkwić w domu.

- Nicky zapewne wymaga mnóstwa uwagi, przez co pani nie może dysponować własnym czasem.

Zdumiała ją jego troska.

- Proszę nie myśleć, że ja czy Maria skąpimy małemu swojego czasu. Czasami każdy potrzebuje chwili dla siebie. Ja już z niej

skorzystałam - dodała pośpiesznie, wyczuwając jego wahanie. - Ostatni fragment drogi jest najmniej interesujący i zawsze się cieszę, gdy ktoś mi towarzyszy.

Wkrótce dotarli na miejsce. Pomocnik ogrodnika zabrał konia majora do stajni, a Zela wprowadziła gościa do domu i posłała lokaja po Marię.

- Zapraszam do salonu, panie majorze. - Uśmiechnęła się. - Mój szwagier jest poza domem i z pewnością będzie ubolewał, że stracił sposobność spotkania z panem. Za to siostra zjawi się tu lada moment.

Major zmarszczył brwi.

- Naprawdę muszę się z nią spotkać? - spytał. - Wolałbym od razu iść do chłopca.

- Dobrze pan wie, że tak nie wypada. Poza tym siostra pragnęłaby podziękować panu osobiście.

Major lekko wydał usta, ale za sprawą blizny cała jego twarz wykrzywiła się w grymasie obrzydzenia.

- Niepotrzebne mi podziękowania - wymamrotał z irytacją.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Można odnieść wrażenie, że przemawia przez pana nadąsany uczeń, panie majorze. - Słyszając skrzypnięcie otwieranych drzwi,



obejrzała się za siebie. - Mario, pan major Coale przyjechał w odwiedziny do Nicky'ego, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Maria zawahała się w drzwiach, a potem uśmiechnęła i podeszła bliżej.

- Panie majorze, ogromnie się cieszę, że wreszcie mam okazję pana poznać - powiedziała. - Wiele o panu słyszałam od mojego syna i bardzo pragnęłam osobiście podziękować panu za opiekę.

Coale ujął jej wyciągniętą dłoń i ukłonił się z szacunkiem, a Zela poczuła ukłucie zazdrości. Dlaczego nigdy nie zachował się tak w stosunku do niej?

- Mąż przebywa obecnie w Lesserton, panie majorze, i z pewnością będzie mu przykro, że nie mógł pana powitać. Cieszy się jednak na naszą wspólną kolację w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że otrzymał pan moje zaproszenie.

- W istocie, otrzymałem, i zjawię się z przyjemnością.

- Reginald musiał pojechać na zebranie - wyjaśniła Zela. - Trwa spór o granice między ziemiami wieśniaków a gruntami Lydcombe Park. Może zna pan sprawę?

- Owszem - odparł obojętnie. - Pamiętam, że Netherby wspominał mi o tym, kiedy

przyjechał z wizytą.

- Nie powiedział panu o zebraniu? - zdziwiła się.

- Napomknął, lecz to nie moja sprawa.

Powiedział to tak stanowczym tonem, że Maria pośpiesznie zmieniła temat.

- Mój Boże, ależ ten czas szybko biegnie! Jestem pewna, że Nicky chciałby spotkać się z panem jak najszybciej. Zelo, moja droga, zechcesz zaprowadzić pana majora na górę?

- Och, właśnie zamierzałam się przebrać. Suknia ubłocila się podczas spaceru.

- Moja droga, pan major już ją widział, a Nicky'ego to nic a nic nie obejdzie - zapewniła ją ze śmiechem Maria. - Muszę iść i zastąpić piastunkę, bo mały Reginald wkrótce się obudzi i będzie chciał jeść. - Popatrzyła pogodnie na majora. - Pozwoli pan, że się pożegnam. Proszę mi wierzyć, nie mogę się doczekać przyszłotygodniowej kolacji.

Zela w milczeniu poprowadziła majora na piętro. Nie uszło jej uwagi, że ponownie zaczął kuśtykać, ale nie wiedziała, czy ma to związek z wysiłkiem fizycznym, czy też z zakłopotaniem towarzyszącym spotkaniu z gospodynią. Nie zamierzała go o to pytać.

Nicky szeroko otworzył oczy na widok majora.

- Wiedziałem, że pan przyjdzie! - powitał go entuzjastycznie.

- Napisałeś do mnie tak uprzejmy list, że nie mogłem się nie zjawić.

- To był pomysł Zeli - wyznał chłopiec. - Pomogła mi pisać.

- Ale chęci były Nicky'ego - dodała pośpiesznie Zela.

Major odwrócił się do niej z niewątpliwym rozbawieniem w oczach.

- Czy także zaproszenie wymyślił Nicky? - spytał. - Jeśli tak, jestem w rozpaczce.

Zela się zarumieniała, ale szczęśliwie w tym samym momencie chłopiec zauważył pudełko wystające z kieszeni surduta majora.

- To prezent dla mnie?

- W istocie, drogi chłopcze. To podróźny tryktrak z Rooks Tower. Wiem, że się nim bawiłeś, i doszedłem do wniosku, że na pewno chciałbyś go mieć. Przy okazji przekazuję serdeczne pozdrowienia od Hanny.

Nicky zapiszczał z radości i natychmiast zażądał, żeby major z nim zagrał.

- Och - zaoponowała Zela - pan major jest z pewnością zbyt zajęty i...

- Pan major ma trochę czasu na zbyciu - wpadł jej w słowo Coale. - A poza tym Nicky rzucił mi wyzwanie, więc honor nie pozwala mi

na rejteradę. Może pani bezpiecznie zostawić chłopca ze mną na godzinę, panno Pentewan, i zmienić w tym czasie suknię.

- ...i spędził z Nickym dwie godziny, grając z nim w tryktraka. Zachował się wyjątkowo miło. Dzięki temu mogłam spokojnie zająć się niemowlęciem, a Zela poszła pisać listy.

Rodzina zasiadła do kolacji, a Maria opowiadała mężowi o wizycie majora Coale'a.

- Muszę przyznać, że wydał mi się dżentelmenem w każdym calu, kiedy mijaliśmy go na drodze - oświadczył Reginald. - To ogromna zmiana w porównaniu do tego, jak wyglądał przy okazji naszego pierwszego spotkania. Wówczas prezentował się jak dzikus, teraz jest eleganckim jegomościem. - Zerknął z rozbawieniem na Zelę. - Twoja obecność w Rooks Tower okazała się dla niego zbawiennie cywilizująca.

- Nie przesadzałabym - zaproponowała. - Rozmawiając z nim, napomknęłam o twoim sprzeciwie wobec planów sir Oswalda, związanych z Prickett Wood, lecz major nie wydawał się ani trochę zainteresowany wsparciem twojej sprawy.

Maria była skłonna odnieść się ze zrozumieniem dla stanowiska majora.

- Trudno winić biedaka - zauważyła. - Jest tak oszpecony, że pokazywanie się publiczne musi mu przychodzić z trudnością.

Reginald zastanawiał się przez chwilę, po czym spytał:

- Czy naprawdę uważasz, że wygląda odstręczająco, kochanie? Nie mogę powiedzieć, abym zauważył jego bliznę, kiedy go ostatnio widziałem.

Reakcja Reginalda zaskarbiła mu wdzięczność szwagierki.

- No cóż, może odrobinę przesadziłam - przyznała Maria. - Natomiast jego maniery są nienaganne i nie zapominajmy, że jest synem wicehrabiego. Kiedy przyjdzie do nas na kolację i zapoznam się z nim bliżej, z pewnością przywyknę do blizny.

Minął tydzień, podczas którego Zela codziennie czekała z nadzieją na propozycje pracy. Najstaranniej jak potrafiła, napisała ogłoszenie o poszukiwaniu posady guwernantki, po czym przesłała je do redakcji gazet w Barnstaple oraz Taunton. Niestety, pozostały bez odzewu.

- Moja droga, może właśnie tak ma być - oznajmiła Maria, kiedy Zela opowiedziała jej o wszystkim. - Nie wystarczy ci, że mieszkasz

z nami? Przecież wiesz, że jesteśmy szczęśliwi, mając cię w domu.

- Dziękuję. Naprawdę z ogromną przyjemnością u was goszczę, ale nie planowałam wечно pozostawać na waszym utrzymaniu.

Maria natychmiast zaprotestowała, twierdząc, że siostra zawsze będzie dla nich miłym gościem, a nie ciężarem, jednak Zela wiedziała swoje. Zorientowała się, że Reginald ślęczy niemal codziennie nad rachunkami, i słyszała, jak rozmawiał z Marią o ewentualnej sprzedaży części gruntu, aby opłacić lekcje Nicky'ego. Zela wolała jednak nie podejmować tego tematu.

- Jeszcze daleko mi do rozpaczy - dodała. - Jutro napiszę następne ogłoszenie i wyślę je do gazet w Bristolu i w Bath. Jestem pewna, że ktoś potrzebuje guwernantki.

- Ani trochę w to nie wątpię, kochana, ale na razie zapomnijmy o twoim planie i cieszymy się na dzisiejszy wieczór. Czyżbyś zapomniała, że major Coale przychodzi na kolację?

Zela bynajmniej nie zapomniała, ale nie paliła się do rozmowy na ten temat.

- Którą suknię włożysz, Zelo? Tę zieloną, z zeszłego lata?

- Zastanawiałam się raczej nad szarą.

- Co takiego?! - obruszyła się Maria. - Szara służy ci już od ładnych paru lat i jest cokolwiek zgrzebna. Powinnaś ją zachować na rozmowę z ewentualnym pracodawcą. Nie - podkreśliła stanowczo. - Włożysz zieloną, a ja pożyczę ci szal z Norwich, abys miała czym osłonić ramiona, gdyby wieczór okazał się chłodny. Nie ma powodu, abys oszczędzała swoje najlepsze jedwabie na później. Jeśli jesteś zdecydowana szukać pracy, to jako guwernantka na pewno nie ubierzesz się w coś tak niestosownego.

Zela mocno ją uściskała.

- Proszę, nie smuć się z mojego powodu, najdroższa siostró - powiedziała. - Myślę, że czeka mnie emocjonujące wyzwanie, a jeśli dzieci okażą się nieznośne, rzucę wszystko, aby w te pędy powrócić do ciebie!

Gdy nadeszła pora kolacji, Zela zbiegła po schodach do salonu, szeleszcząc jedwabną spódnicą. Musiała przyznać, że ładny strój poprawił jej nastrój. Maria podesłała jej własną pokojówkę, która gustownie ułożyła włosy Zeli i przewiązała je zieloną wstążką, pozostawiając tylko kilka kokieteryjnych loków sięgających ramion. Zela zawiesiła na szyi zieloną aksamitkę z małym nefrytowym

krzyżykiem, aby dopełnić całości,

- No proszę - powiedziała do odbicia w zwierciadle. - Uosobienie skromnej elegancji. Po co komu brylanty i szmaragdy?

Pełne aprobaty spojrzenia siostry i szwagra dodatkowo podniosły ją na duchu. Kiedy zjawił się major Coale, odwróciła się ku niemu i szczerze uśmiechnęła.

Dominic Coale wszedł do salonu, gotów się ukłonić i wypowiedzieć wszystkie obowiązkowe frazesy, lecz gdy popatrzył na Zelę, poczuł, że ma pustkę w głowie. Minęło kilka sekund, nim odzyskał panowanie nad sobą, skłonił się gospodarzowi i uprzejmie powitał panią Buckland. Jednak przez cały ten czas był oszołomiony.

Nie cieszył się na ten wieczór. Miał w pamięci pierwsze spotkanie z gospodynią, zauważył jej wahanie i nerwowość, kiedy wodziła wzrokiem po całym pomieszczeniu, byle tylko nie patrzeć na jego twarz. Nowi znajomi zawsze czuli się przy nim zmieszani.

Wyjątkiem okazała się Zela, która od samego początku wpatrywała się w niego z uwagą, chyba że przekomarzał się z nią lub prawił jej komplementy - wtedy się rumieniła i odwracała wzrok. Gdy teraz na nią spoglądał,



miał ochotę głośno wyrazić aprobatę, gdyż wyglądała niesłychanie korzystnie. Suknia koloru wiosennych liści podkreślała piękną barwę jej wyrazistych oczu. Wydawała się szczerze zadowolona ze spotkania, co wprawilo go w doskonały nastrój.

Od bardzo dawna żadna młoda kobieta nie uśmiechała się do niego w tak zachęcający sposób. Naturalnie, nie brał pod uwagę tych nielicznych, którym płacił za wspólny wieczór. Szybko jednak stłumił entuzjazm, uznając, że uśmiechy Zeli wynikały wyłącznie z uprzejmości i współczucia.

Ponownie skrył się za maską nienagannyh manier i nie przytrzymał dłoni Zeli nawet sekundy dłużej, niż wypadało. Nie pocałował jej też w rękę, choć to go korciło.

Maria i Reginald dokładali wszelkich starań, aby ich gość czuł się dobrze, a major odnosił się do gospodarzy kulturalnie i życzliwie. Towarzystwo przeszło do jadalni i zasiadło do stołu. Zela jadła i wsłuchiwała się w niski, starannie modulowany głos majora, ale nie umiała się odprężyć. Z niewiadomyh powodów jej skóra stała się wrażliwa jak w trakcie gorączki. Przyłożyła dłonie do policzków, ale przekonała się, iż nie są

rozpalone. Przez pewien czas zastanawiała się nad swoją reakcją, aż w końcu doszła do wniosku, że zbyt długo żyła w odosobnieniu i zapomniała, jak należy się zachowywać w towarzystwie.

Po posiłku Maria wstała od stołu, a Zela poszła śladem siostry. Obie damy zostawiły džentelmenów przy brandy i udały się do salonu.

- Moim zdaniem spotkanie przebiega nadspodziewanie dobrze - orzekła Maria i rozsiadła się w fotelu, elegancko układając spódnicę. - Major Coale jest bardzo czytany człowiekiem. Reginald miał rację - wystarczyło raptem kilka godzin w towarzystwie pana majora, bym w ogóle przestała zwracać uwagę na jego oszpececie. - Spojrzała uważnie na Zelę. - Jesteś dzisiaj nietypowo milcząca, kochana siostrzyczko. Sądziłam, że znajomość sztuki i literatury uczyni z majora interesującego dla ciebie partnera do rozmowy.

- Och, jest interesujący... Rozmowa przy stole toczyła się tak płynnie, że nie chciałam... Po prostu nie wiedziałam, co mogłabym dodać.

- To do ciebie niepodobne, moja droga. - Maria delikatnie poklepała siostrę po policzku. - Jesteś nieco onieśmielona obecnością

majora, ale nie ma takiej potrzeby. Przecież powinnaś znać go lepiej niż my. Musisz zachowywać się nieco bardziej przystępnie. Zapewniam cię, nie masz czego się obawiać. Major jest zupełnie nieszkodliwy.

Zela tak jednak nie uważała, choć nie potrafiła wyjaśnić dlaczego. Pragnęła przebywać jak najbliżej Coale'a i jednocześnie uciec od niego jak najdalej. Miała kompletny mętlik w głowie.

Wkrótce dżentelmeni dołączyli do sióstr. Zela zamierzała włączyć się do wymiany zdań, ale przebiegała tak lekko, że ponownie zamknęła się w sobie. W tej sytuacji Maria postanowiła zmusić siostrę do aktywności i gdy przyniesiono herbatę, podała Zeli dwie filiżanki i poleciła zanieść jedną z nich gościowi.

Zela zacisnęła zęby i ruszyła na drugi koniec pokoju. Major Coale przyjął filiżankę, a Reginald przeprosił ich oboje, gdyż musiał się oddalić. Zostali sami.

- Buckland napomknął, że Nicky podejmie naukę - zagadnął major.

- W istocie. Pan Netherby prowadzi lekcje dla grupki chłopców przez kilka godzin dziennie, i zgodził się przyjąć Nicky'ego -

odparła. - Jest szansa, że mały odnajdzie się w towarzystwie rówieśników.

- Kiedy pierwszy dzień nauki?

- Gdy tylko będzie mógł normalnie chodzić, czyli zapewne już niebawem, bo szybko odzyskuje siły.

Popijała herbatę, zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć. Chciała skomplementować majora, gdyż naprawdę wyglądał znakomicie, ale byłoby to nad wyraz niestosowne. Wszystko, co poza tym przychodziło jej do głowy, miało związek z ich kolacją we dwoje, która jednak musiała pozostać tajemnicą.

- Jest pani bardzo milcząca dzisiaj wieczoru, panno Pentewan. Z jakiej przyczyny? Wiem, że nie wzbudzam w pani lęku - dodał, uśmiechając się do niej porozumiewawczo.

- Nie czułam się zakłopotana na pańskim terenie - przyznała - ale tutaj... Obawiam się, że w tak oficjalnej sytuacji jestem przy panu znacznie bardziej skrępowana.

- To osobliwe. Przecież właśnie przy rodzinie powinna pani czuć się bezpieczniej.

- Musi mnie pan uważać za wyjątkowo niemądrą istotę - odparła z uśmiechem.

- Ależ skąd - zaprzeczył. - Czy znalazła już pani odpowiednie miejsce pracy dla siebie?

- Niestety, nie. Wielce mnie to deprymuje - odparła Zela. - Maria uważa, że chodzi o mój brak doświadczenia.

- Może w istocie tak jest - zauważył.

- Ależ ja idealnie nadaję się na guwernantkę! Papa osobiście zadbał o moją edukację. Nauczył mnie francuskiego, matematyki i znajomości globusa, a poza tym dał mi wolny dostęp do swojej bogato wyposażonej biblioteki. - Odetchnęła głęboko. - Inna sprawa, że moje doświadczenie jest naprawdę znikome. Dotąd zajmowałam się tylko siostrzeńcem. - Nagle coś przyszło jej do głowy. - A może któryś z pańskich młodszych krewniaków potrzebuje guwernantki?

Major odchylił głowę i roześmiał się głośno. Zela nie spodziewała się, że jego śmiech sprawi jej taką przyjemność.

- Nie, panno Pentewan - odrzekł. - Mam tylko jedną siostrę, której portret pani widziała. Jest mężatką, a w młodości była takim nicponiem, że do dzisiaj głęboko współczuję nieszczęsnym damom zatrudnionym do jej kształcenia.

- Dobry Boże, naprawdę była aż tak niepoprawna? - zdumiała się Zela.

- Miała opinię nieznośnego urwisa. Zajmował się nią najmarniej tuzin guwernantek. Proszę

nie patrzeć na mnie z trwogą - Coale'owie słyną z nieokiełznania. Nie wszystkie rodziny są tak nieznośne.

- Może i nie. - Nie wydawała się przekonana. - Jeszcze nie porzuciłam nadziei, panie majorze, rozesłałam nawet dodatkowe ogłoszenia. Jestem pewna, że w końcu znajdę coś dla siebie.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. - Odstawił filiżankę. - Robi się późno, na mnie pora.

Coale wstał i podszedł do Marii, aby się z nią pożegnać. Nieoczekiwanie Zela poczuła rozczarowanie. Nie chciała, żeby już odchodził.

Nicky zdrowiał w oczach. Pod koniec tygodnia spacerował po ogrodzie, dumnie demonstrując całej służbie grubo zabandażowaną nogę. Zela obserwowała go przez okno sypialni, gdy rozmawiał ze starym sługą zatrudnionym do strzyżenia trawników. Znajdowała się zbyt daleko, aby wychwycić choćby słowo, ale mogła sobie wyobrazić, że chłopiec ze szczegółami opowiada, jak zranił się w nogę. Starszy człowiek wsparł się o kosę i słuchał z uwagą, choć z pewnością nie po raz pierwszy.

Zela uśmiechnęła się z czułością. Nicky'emu nie brakowało wrodzonego wdzięku, więc nic dziwnego, że wszyscy za nim przepadali. Reginald planował zawieźć go na lekcje już w przyszłym tygodniu i Zela miała nadzieję, że znajdzie tam sobie kolegów.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Za pozwoleniem, panienko, major Coale z wizytą do panienki - powiedziała pokojówka.

- Moja siostra jest zajęta?

Pokojówka ponownie dygnęła.

- Pan major chce rozmawiać z panienką.

- Och... - bąknęła Zela.

Odwróciła się do lustra i sięgnęła po szczotkę, ale po chwili wahania odłożyła ją z powrotem. Bez wyjęcia wszystkich szpilek, rozczesania loków i ponownego ich upięcia nie miała szansy poprawić fryzury, a przecież gość nie powinien czekać. Ograniczyła się więc do założenia za ucho niesforne pasemka, po czym zbiegła po schodach na parter.

Major czekał przy oknie w salonie, stojąc tyłem do pokoju.

- Dzień dobry, panie majorze. - Odwrócił się do niej, ale na tle rozświetlonego słońcem okna jego twarz pozostawała niewidoczna. - Nicky jest w ogrodzie, więc jeśli chce pan z nim porozmawiać...

- Przyszedłem, aby spotkać się z panią - przerwał jej tonem ostrzejszym niż zwykle.

Zela usiadła na krześle. Major zignorował jej prośbę, by zajął miejsce obok, i zaczął spacerować po pokoju. Obserwowała go w milczeniu. Powłóczył prawą nogą i marszczył brwi, przez co blizna bardziej rzucała się w oczy. Zela mocniej zacisnęła dłonie, czekając na to, co się wydarzy.

- Panno Pentewan - zaczął Coale, zatrzymując się przed jej krzesłem. Pokręcił głową i ponownie ruszył w obchód po pokoju. - Może pani pomyśleć, że w pierwszej kolejności powinienem porozmawiać z Bucklandem albo pani siostrą, aby wysłuchać ich opinii. Jest pani jednak pełnoletnia i wiem, że ceni sobie niezależność, więc zwracam się bezpośrednio do pani.

Zela spuściła wzrok. Serce waliło jej jak szalone. Miała nadzieję, że major nie każe jej nic mówić, bo ścisnęło ją w gardle i z pewnością nie zdołałaby wypowiedzieć ani słowa.

- Panno Pentewan, mam dla pani propozycję - oznajmił.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Zela zamknęła oczy, czekając, aż miną jej zawroty głowy. Po kilku głębokich oddechach rozchyliła powieki, ale nie była w stanie spojrzeć na majora. Wbiła wzrok w dość marnej jakości landszaft na ścianie.

- Propozycję, sir? - spytała słabym głosem.
- Owszem.

Zerwała się z krzesła i podeszła do okna, przykładając dłonie do rozpalonych policzków. Co miała powiedzieć? Czy to się działo naprawdę? Stała do niego tyłem, kiedy mówił dalej.

- Zaszczyciła mnie pani zaufaniem i poinformowała, że szuka posady guwernantki. Pragnę spytać, czy byłaby pani skłonna rozważyć możliwość podjęcia pracy w innym charakterze?

Pobladła, odwróciła się i spojrzała majorowi w oczy.

- Co mi pan chce zaoferować, panie majorze? - zapytała.

Wydawał się skrzępowany.

- Panno Pentewan, wie pani, że jestem samotny w Rooks Tower. Od pewnego czasu

się staram, ale nie daję sobie rady. Potrzebuję pomocnej dłoni. Czy zechciałaby pani pracować dla mnie jako bibliotekarka?

- Panie majorze, dziękuję, ale żadną miarą...  
Przepraszam, jako kto?

- Archiwistka, bibliotekarka - odparł. - Sam nie wiem, jakiego tytułu używałaby pani, ale potrzebuję kogoś, kto uporządkuje mój księgozbiór. W Rooks Tower znajduje się obszerna biblioteka i chcę z niej korzystać. Pokój jest już gotowy, ale nie zrobiłem nic, żeby rozpakować książki, które przywiozłem z Markham. Na przestrzeni lat zgromadziłem wielką kolekcję i całą przenieśliśmy tutaj. Należy ją uporządkować. To mnóstwo pracy, a ponieważ zbliża się lato, coraz więcej czasu spędzam poza domem, żeby nadzorować roboty w terenie.

- Chce pan, abym uporządkowała pański księgozbiór? - upewniła się z niedowierzaniem Zela.

- Owszem. Wiem, że nie takiego zajęcia pani poszukuje, ale z naszych pogawędek wywnioskowałem, że chce pani zostać guwernantką, gdyż to jedyne godne szacunku zajęcie dla młodej damy.

- Godne szacunku, owszem. Nic nie wiem o porządkowaniu biblioteki! - wykrzyknęła.

Major uśmiechnął się przebiegle.

- Podobno nic pani nie wie o dzieciach, a jednak nie powstrzymało to pani przed zamieszczeniem ogłoszenia - zauważył. - Potrzebuję kogoś, kto poukłada te przekłete książki.

- Ależ powinien pan zatrudnić do tego kogoś, komu nieobca jest znajomość bibliotekarstwa! - zaprotestowała. - Kogoś, kto zrozumie wartość i znaczenie pańskiego zbioru.

Major skrzywił się z niesmakiem.

- Nie interesuje mnie jego wartość - oznajmił stanowczo. - Chcę mieć spisane i uporządkowane na półkach książki, abym mógł z nich korzystać, kiedy mi przyjdzie ochota. Poza tym nie życzę sobie żadnych obcych w domu. Biblioteka powinna zostać zorganizowana i skatalogowana w ciągu najbliższych miesięcy. Może pani codziennie przychodzić do pracy, a po niej wracać do siostry i szwagra.

- Ale... Nie jestem pewna...

Machnął niecierpliwie ręką.

- Proszę się nie obawiać oskarżeń o niestosowność - uspokoił ją. - Na miejscu będzie obecna pani Graddon oraz pokojówki, a ja większość czasu spędzam poza domem. Jestem skłonny zapłacić pani łącznie

pięćdziesiąt gwinei: dwadzieścia pięć po rozpoczęciu przez panią pracy i resztę po jej zakończeniu. To nie powinno trwać zbyt długo, pewnie dwa miesiące, góra trzy.

- Zatem oferowane przez pana wynagrodzenie jest stanowczo zbyt hojne.

- Chcę, żeby praca była zakończona, i to szybko - oświadczył. - Pieniądze to drugorzędna kwestia.

Zela pokręciła głową, usiłując myśleć trzeźwo. W ciągu zaledwie kilku minut doświadczyła silnego uniesienia, gwałtownego załamania i złości, a wszystko to na próżno. Major proponował jej pracę, nic ponadto, a nie tego się spodziewała.

Sięgnął po kapelusz.

- Proszę rozważyć moją ofertę, przedyskutować ją z siostrą - powiedział.

- Nie ma takiej potrzeby. Już podjęłam decyzję.

Gdyby porozmawiała o tym z Marią lub Reginaldem, zapewne próbowaliby ją zniechęcić, a przecież nadarzała się jej sposobność zarobienia pieniędzy na utrzymanie. W dodatku pozostałaby u rodziny.

Popatrzyła majorowi w oczy.

- Przyjmuję pańską propozycję, panie majorze - zadeklarowała.

Uśmiechnął się, a ona mimowolnie odwzajemniła uśmiech.

- Dziękuję pani, to naprawdę doskonała wiadomość - oświadczył. - Nie ma powodu do zwłoki, więc w poniedziałek rano proszę się stawić w Rooks Tower.

- Moja droga, czyś ty postradała zmysły?  
Zela omal się nie roześmiała, widząc osłupienie szwagra.

- Dlaczego tak uważasz? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Przecież tylko przyjąłem ofertę intratnego zajęcia.

Dopiero po kolacji wyjawiała informację o propozycji majora. Miała nadzieję, że smakowity posiłek wprawi Reginalda w dobry nastrój, ale jej deklaracja i tak spotkała się z pełną zdumienia dezaprobatą.

- Nie możesz się zgodzić - oświadczyła Maria. - To byłoby wysoce niestosowne.

- Już wyraziłam zgodę - odparła Zela. - Nie widzę w podjęciu tej pracy niczego niestosownego. Major Coale poinformował mnie, że spędza całe dni poza domem.

- Niezależna dama nie powinna przebywać sama w domu kawalera.

- Nie będę tam sama, Reginaldzie. W domu majora jest mnóstwo służby. Zresztą nikt

o niczym się nie dowie.

- W całym Lesserton będzie huczało od plotek - zapewnił ją Reginald.

- Przecież to praca jak każda inna, poza tym nadal będę zamieszczała ogłoszenia, poszukując zajęcia dla guwernantki. Do czasu znalezienia stałej posady zyskam pewną dozę niezależności, a ponieważ ta praca zajmie mi tylko trzy miesiące, oszczędzę kilka funtów na czarną godzinę. - Zela popatrzyła na siostrę. - Spędziłam u was wystarczająco dużo czasu. Przybywając tutaj, zastrzegłam, że nie będę wiecznie na waszym garnuszku. Major Coale zapowiedział, że połowę wynagrodzenia przekaże mi z góry. Zamierzam oddać wam część pieniędzy, abyście mogli zapłacić za naukę Nicky'ego.

- Ależ nie ma potrzeby - zaproponowała Maria. - Już ustaliliśmy, że...

- Sprzedacie kawałek ziemi - wpadła jej w słowo Zela. - Wolałabym, abyście skorzystali z moich pieniędzy.

- Nigdy! - wykrzyknęła Maria, sięgając po chusteczkę. - Nie mogłabym pozbawić cię wynagrodzenia...

Reginald uniósł rękę.

- Moim zdaniem Zela ma słuszność. - Starannie dobierał słowa. - Sprzedaż gruntu

oznacza uboższe zbiory i mniej pieniędzy z plonów. Jeśli zatrzymamy ziemię, to przed końcem roku uda się nam zwrócić pożyczkę.

Maria nie wydawała się przekonana.

- Każda młoda kobieta, która zgodziłaby się przyjąć posadę w domu kogoś takiego jak major Coale, naraziłaby dobre imię, ale w twoim przypadku... - Zakłopotana, umilkła.

- W moim przypadku nie ma już mowy o dobrym imieniu - dokończyła Zela. - Opuściwszy Cardinham, postanowiłam, że zapewnię sobie utrzymanie. Przysporzyłam rodzinie wystarczająco dużo przykrości i utrapień. Dręczy mnie poczucie winy, którego nie zamierzam pogłębiać, wykorzystując waszą dobroć.

- Ale możesz wyjść za mąż... - odezwała się niepewnie Maria.

- Wiesz, że już podjęłam decyzję w tej sprawie. Nie wyjdę za mąż.

- Siostrzyczko, nie mów tak, proszę...

Reginald gestem nakazał żonie milczenie.

- Moja droga, Zela ma rację - oznajmił. - Każdego mężczyznę, który byłby gotów się z nią ożenić, należałoby poinformować o jej niefortunnej przeszłości.

- Ale gdyby jakiś mężczyzna naprawdę ją pokochał... - zaoponowała Maria, spoglądając

błagalnie na męża.

Zela pokręciła głową.

- Mężczyzna poszukujący żony kieruje się wieloma względami, spośród których trzy są kluczowe - powiedziała. - Chodzi o pochodzenie, majątek i nienaganny charakter. Niestety, spełniam tylko jeden z tych wymogów. - Uśmiechnęła się, powstrzymując łzy. - Gdybyście pozwolili mi nadal mieszkać tutaj, gdy podejmę pracę w Rooks Tower, byłabym wam szczerze zobowiązana.

- Oczywiście, że będziesz z nami mieszkać. - Reginald ucałował szwagierkę w policzek. - Nie pozwolilibyśmy ci zatrzymać się gdzie indziej.

- Dzień dobry, panienko. Jaśnie pan major wspomniął o panienki przyjeździe i kazał mi zaprowadzić ją do biblioteki.

Zela poczuła się zawiedziona, chociaż nie powinna spodziewać się majora w Rooks Tower. Ukrywając rozczarowanie, podążyła za gospodynią. Minęły hol i wkrótce dotarły do podwójnych, bogato zdobionych drzwi. Spodziewała się za nimi wielkiej sali balowej, a tymczasem trafiła do ciemnego dużego pomieszczenia. Wysokie okna pozostawały



zasłonięte i tylko odrobina światła dostawała się przez szczeliny między okiennicami a sufitem.

- Wedle polecenia jaśnie pana majora, te okiennice mają pozostać zamknięte - wyjaśniła gospodyni. - Znajdujemy się w żółtym salonie i wszystko tutaj jest dokładnie tak, jak wtedy, kiedy jaśnie pan kupował posiadłość. On sam tu nie bywa. Panienska wkrótce przywyknie do mroku. - W jej głosie pobrzmiwał żal. - A tutaj będzie panienska pracować - dodała, otwierając drzwi na drugim końcu pomieszczenia.

Biblioteka była tej samej wielkości co żółty salon, ale poranne światło wpadało do jej wnętrza przez rząd wysokich okien umieszczonych w jednej ze ścian. Przy pozostałych trzech piętrzyły się otwarte regały z mahoniem, a ciągi półek urywały się tylko przy drzwiach i zdobionym kominku. Z jednej strony pomieszczenia stały biurko i krzesło; obok paleniska Zela dostrzegła fotel. Pozostałą część podłogi zajmowały niezliczone skrzynie.

- Wielkie nieba. - Przeszył ją dreszcz na myśl o spakowanych książkach.

- Rzeczywiście, okropny bałagan - przyznała pani Graddon, błędnie odczytując reakcję Zeli.

- Jestem pewna, że panienka rychło zaprowadzi tu porządek. Jaśnie pan major zostawił nowe księgi biblioteczne w szufladzie biurka, a także pióra, papier i atrament. Graddon przyśle kogoś do pomocy przy skrzyniach.

Gospodyni wyszła, a Zela stała przez chwilę, zastanawiając się, od czego zacząć. Na dobry początek, stwierdziła, uważnie obejrzy bibliotekę. Obeszła ją, wodząc palcami po gładkim drewnie pustych półek i zimnym marmurze kominka. Za wysokimi oknami o niskich parapetach rozciągał się taras otoczony kamienną balustradą; pobliską dolinką płynęła rzeczka, za którą teren się podnosił, a park ustępował pola lasowi, sięgającemu aż do wypiętrzonych w oddali wzgórz.

Cóż za idylla, pomyślała Zela, delektując się ciszą i spokojem otoczenia. Po chwili wzięła głęboki oddech, odwróciła się plecami do okna i przystąpiła do pracy.

Gdy zegar na kominku wybił czwartą, Zela przywitała to ze zdumieniem. Nie miała pojęcia, że czas może tak szybko płynąć. Książki walały się na półkach, a na podłodze leżało kilka otwartych skrzyń. Powieści

spakowano razem z traktatami religijnymi, encyklopedie polnych kwiatów ułożono obok katalogów meblarskich. Zela zdecydowała, że musi wszystko przejrzeć, zanim przystąpi do katalogowania.

Uporządkowała biurko i rozejrzała się po pokoju, decydując w myślach, od czego zacznie jutro. Nagle jej wzrok spoczął na niedużych drzwiach. Gospodyni wspomniała, że to wejście na wieżę. Zawahała się, ale doszła do wniosku, że skoro nikogo nie ma w pobliżu, może rzucić okiem na to, co tam się znajduje.

Za drzwiami ujrzała kręcone drewniane schody. Wyglądały na podniszczone, ale balustrada wydawała się solidna, więc ruszyła na górę. Na pierwszym podeście zauważyła drzwi, które, jak się okazało, prowadziły do schowka pełnego starych mebli. Popatrzyła na nie bez większego zainteresowania i przeszła na drugie piętro, gdzie schody znacznie się zwięźały. Otworzyła jedyne drzwi na ciasnym podeście i weszła do słonecznego pokoju. Za witrażowymi szybami rozciągał się widok na całą okolicę.

W jedynej ślepej ścianie znajdowały się drzwi, a nieopodal mały kominek. W pokoju umieszczono tylko trzy meble: mahoniowe biurko, krzesło oraz starą szafkę, która

zajmowała przestrzeń pod oknem.

Zela podeszła do okien. Przez pierwsze z nich ujrzała krajobraz pełen lasów oraz dolin Devonu. Drugie wychodziło na krętą drogę ku Lesserton i gęsto rosnące drzewa w Prickett Wood, a z trzeciego było widać park i lasy Rooks Tower aż do wyżyn Exmoor.

Oparła dłonie na parapecie, delektując się niezwykłymi widokami.

- Tutaj nie ma książek, panno Pentewan - usłyszała.

W drzwiach stał major Coale, z kapeluszem i szpicrutą w dłoni.

- Och, nie słyszałam, jak pan wchodził po schodach. - Wskazała dłonią okna. - Zafascynował mnie krajobraz.

- Zauważyłem.

- Chyba nie ma pan nic przeciwko temu? - spytała pośpiesznie, coraz bardziej zdenerwowana. - Pracowałam dzisiaj w bibliotece od samego rana, a potem przyszło mi do głowy, że rzucę okiem na wieżę, ale nie chciałam kłopotać służby.

Major położył na szafce kapelusz i szpicrutę.

- Czy tego pani oczekiwała? - zapytał, ściągając rękawiczki.

Uśmiechnęła się mimowolnie i nagle jej niepokój wyparował.

- Nie spodziewałam się takich widoków. Widać wszystko aż do sąsiedniego hrabstwa. To śliczny pokój. Cudownie byłoby siedzieć przy tym biurku. Latem można by pracować przez cały dzień bez zapalania świec. - Przeniosła wzrok na majora. - Czy to pańskie biurko? Korzysta pan z tego pomieszczenia?

- Ten pokój jest dokładnie w takim stanie jak wtedy, gdy kupiłem Rooks Tower - wyjaśnił. - W tym roku byłem zbyt zajęty doprowadzaniem posiadłości do porządku, żeby zajmować się wystrojem wewnątrz.

- Chciałabym korzystać z tego pokoju. - Zela złączyła dłonie; miała nadzieję, że jej zapal nie wydaje się mu niemądry. - Mogłabym przynosić tutaj książki do katalogowania. Dzięki temu będzie pan mógł udostępniać bibliotekę gościom, kiedy tylko zapanuje w niej ład.

- Nie miewam gości - burknął.

- Ale pewnego dnia...

- Nie zamierzam nikogo zapraszać. Nigdy.

Odniosła wrażenie, że ostatnie słowo dopowiedział ze względu na nią. Zabrzmiało tak dobitnie, że umilkła, choć nie na długo.

- Czy... to z powodu...? - Dotknęła policzka i zauważyła, że major się wzdrygnął i częściowo odwrócił głowę.

Patrząc na jego profil, uświadomiła sobie, że dawniej musiał być wyjątkowo atrakcyjny.

- Nie przeprowadziłem się do Rooks Tower, aby spraszać licznych gości. Służba w wojsku sprawiła, że wartości i małość tak zwanego towarzystwa budzą moją odrazę.

- Ależ pan ma rodzinę i przyjaciół - zauważyła. - Chyba nie zamierza pan całkowicie się od nich odciąć?

- Do diaska, nie jesteśmy tu po to, żeby dyskutować o tym, jakie życie postanowiłem wieść! - podniósł głos.

Nie spodziewała się wybuchu złości. Postanowiła powrócić do pierwotnego tematu.

- Proszę o wybaczenie, panie majorze - powiedziała cicho. - Naturalnie, to nie moja sprawa. Chciałabym jednak zrobić użytek z tego pokoju, jeśli pan pozwoli. Obiecuję, że widoki nie będą mnie odciągały od pracy.

Major wyraźnie złagodniał.

- Widoki są jeszcze ciekawsze z dachu, skoro o tym mowa - odrzekł. - Zwłaszcza w tak ładny dzień jak dzisiejszy.

Milczała wyczekująco, aż wreszcie jego surowe oczy zalśniły.

- Chciałaby pani rzucić okiem?

Zela weszła za majorem na podest i razem

wspięli się po wąskich krętych schodkach. Gdy dotarli na szczyt, Coale otworzył wąż.

- Nie zamyka pan tego wejścia na klucz? - zdziwiła się.

- Nie ma takiej potrzeby. Służba nigdy tutaj nie przychodzi. - Odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. - Pomogę pani. Nie ma poręczy, a ostatnie stopnie są nierówne.

Zacisnął palce na jej dłoni, dzięki czemu sprawnie wydostała się na płaski dach, wyłożony kamiennymi płytami i otoczony blankami.

- Och - westchnęła. - Czuję się jak na szczycie świata.

Uświadomiła sobie, że major nadal trzyma ją za rękę, i spojrzała na niego niepewnie. Natychmiast ją puścił, a wtedy zaczęła się rozglądać.

- Imponujące, prawda? - Stał obok niej. Szorstka wełna jego surduta otarła się o jej nagie ramię. - Proszę nie zbliżać się do krawędzi i nie opierać o blanki. Mur jest w kiepskim stanie.

- Pan go naprawi, prawda? Byłoby wielką szkodą, gdyby takich widoków nie dało się udostępnić ludziom. - Na próżno usiłowała stłumić uśmiech. - Choć jest pan zdecydowany nie wpuszczać do domu żadnych gości.

Powiew wiatru sprawił, że niesforny kosmyk połaskotał jej usta. Chciała go odgarnąć, ale major ją uprzedził i pierwszy uniósł rękę.

Wstrzymała oddech. Patrzyli sobie w oczy, gdy zakładał niesforne pasemko za jej ucho. Potem, zamiast cofnąć dłoń, przesunął ją na szyję i delikatnie dotknął kciukiem policzka Zeli. Serce waliło jej jak oszalałe. Nie mogła się poruszyć i nawet nie chciała. Nagle uświadomiła sobie, że pragnie, aby major się pochylił i ją pocałował, a potem rozebrał i pieścił. Wielkie nieba, skąd wzięły się w jej głowie tak rozwiązłe myśli?

Coale najwyraźniej dostrzegł coś w oczach Zeli, bo natychmiast ją puścił, ona zaś odwróciła wzrok, usiłując sobie przypomnieć, o czym rozmawiali.

- Jeśli widziała pani dostatecznie dużo, to... -  
Urwał.

- W istocie. - Jego obecność miała na nią niepokojący wpływ. - Naturalnie.

Na drżących nogach ruszyła w dół, przytrzymując się ściany. Była boleśnie świadoma, że major idzie tuż za nią, więc kiedy dotarła do podestu, pośpiesznie skierowała się do drewnianych schodów.

- Muszę wziąć kapelusz i szpicrutę - rozległ się głos majora. - A co do pokoju, może pani



korzystać z niego wedle uznania. Nie mam nic przeciwko temu.

- Dziękuję. Jeśli to już wszystko, chciałabym na dziś zakończyć pracę i pójść do domu.

- To już wszystko.

Dominic powiódł za nią wzrokiem. Wydawała się nieco zdenerwowana, ale schodziła po schodach pewnym krokiem i wkrótce zniknęła mu z oczu.

Odetchnął głęboko. Wcale nie zamierzał jej wystraszyć, lecz kiedy stała przed nim z oczami lśniącymi od emocji, nieoczekiwanie ogarnęła go fala pożądania. Powinien był zastanowić się, co robi. Mógł się odsunąć, odwrócić plecami, ale pragnienie okazało się zbyt silne. Nawet teraz czuł pod kciukiem miękkość jej skóry delikatnej jak płatek róży. A poza tym się nie cofnęła. Pewnie skamieniała, pomyślał z goryczą, gdyż moment później dostrzegł przerażenie na jej twarzy.

A jeśli wystraszył ją do tego stopnia, że jutro nie zechce przyjść? Tak pewnie byłoby najlepiej, powiedział sobie. Wytrąciła go z równowagi wyzywającymi pytaniami i nie wiedział, jak się zachować. Postąpi najszuszniej, jeśli będzie trzymał się od niej z daleka.

Każdego wieczoru przy kolacji Maria i Reginald pytali Zelę, jak jej minął dzień w Rooks Tower. Owszem, interesowali się jej postępami w pracy, jednak znacznie bardziej zachowaniem właściciela biblioteki. Za każdym razem Zela mogła szczerze, z ręką na sercu, powiedzieć, że nie widziała majora Coale'a. Przez kilka dni po incydencie na wieży czuła ulgę, że się nie spotykają, jednak później jego nieobecność coraz bardziej ją frustrowała. Pewne decyzje mógł podjąć tylko on, więc zostawiała mu liściki z prośbami o wyjaśnienie, gdzie stawiać książki i według jakiego porządku. Jego odpowiedź, przekazywana za pośrednictwem kamerdynera lub pani Graddon, zawsze brzmiała identycznie: „Jaśnie pan major mówi, żeby panienka robiła porządki wedle własnego uważania i że później porozmawia o tym z panienką”.

Minęły niemal dwa tygodnie, nim ponownie zobaczyła Coale'a. W tym czasie zdążyła wyjąć wszystkie książki ze skrzynek i intensywnie pracowała nad skatalogowaniem każdego tytułu.

Dzień był wyjątkowo słoneczny, a w bibliotece zrobiło się nieznośnie ciepło, więc Zela zdjęła z ramion lekki muślinowy szal

i odłożyła go na bok. Za ledwie parę minut później usłyszała odgłos kroków za drzwiami i podniosła wzrok, spodziewając się Graddona lub jednego z lokajów, którzy przynosili jej przekąski. Jakież było jej zdumienie, gdy na progu stanął major. Wyglądał tak, jakby przyszedł prosto ze stajni: pod pachą trzymał kapelusz, a w dłoni rękawiczki i szpicrutę. Żakiet do konnej jazdy był rozpięty, a spod niego wyglądała haftowana kamizelka. Prawie w ogóle nie powłóczył prawą nogą, poruszał się sprężysto i sprawnie. Wprost kipiał energią.

Skonsternowana Zela sięgnęła po szal i szybko zarzuciła go na ramiona, jednocześnie wstając z biurka, żeby powitać pracodawcę.

- Czyżby przybył pan sprawdzić, jakie robie postępy? - Zmusiła się do uśmiechu. - Moim zdaniem pokój wygląda nieporównanie lepiej po tym, jak znikły z niego skrzynie. - Wskazała dłonią półki. - Naturalnie, jest za wcześnie, by mówić o idealnym porządku, ale można się zorientować, jakimi książkami dysponujemy. Musi pan mi powiedzieć, jaka kolejność odpowiada panu najbardziej. Czy zbiory kazań oraz nuty mają się znaleźć obok poradników na temat tępienia szczurów, podkuwania koni i osuszania trzęsawisk?

Zauważyła w jego oczach niechętnie rozbawienie.

- Wątpię, aby właśnie tak chciała pani je umiejscowić - odparł. - Ostatnie trzy pozycje powinny dołączyć do książek o kierowaniu gospodarstwem.

- A powieści? Chyba powinny znaleźć się na półkach znajdujących się blisko fotela ustawionego przy kominku. Byłyby pod ręką, gdyby zechciał pan usiąść i poczytać.

- To dobra myśl. Nie korzysta pani z pokoju na wieży?

- Nie, jeszcze nie.

- Przychodzę, aby poinformować panią, że w niedługim czasie zostanie dostarczona duża liczba książek. Nie dalej jak kilka miesięcy temu kupiłem zawartość biblioteki Lydcombe Park i od tamtego czasu przechowywałem książki u mojego partnera w interesach. Znajdują się w wielkich skrzyniach, zbyt dużych, aby je przetransportować jucznymi końmi, ale że droga jest już gotowa, książki można przywieźć wozem. Zajmę się tym, kiedy tylko moi ludzie będą nieco mniej zapracowani.

- Rozumiem. Cóż, w takim razie dobrze się stało, że jeszcze nie zakończyłam porządkowania. - Zerknęła na niego pytająco.

- Czy to książki o charakterze praktycznym, czy też znajdzie się tam więcej tekstów klasycznych?

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Nigdy nie widziałem tego księgozbioru.

- Zatem niewykluczone, że w wypadku niektórych tytułów natrafimy na więcej niż jeden egzemplarz.

- Jeśli tak jest w istocie, pozostawiam pani decyzji wybór tego, co zachowamy. - Mówił obojętnym tonem i Zeli przyszło do głowy, że być może jest niezadowolony z jej pracy. Otwierała usta, aby go o to spytać, kiedy pociągnął lekko za skraj jej muślinowego szala. - Jeśli osłoniła pani wdzięki przez wzgląd na mnie, to traci pani czas, panno Pentewan. Nie jestem w takim sensie zainteresowany pracownikami.

Te słowa podziały na Zelę jak kubek zimnej wody. Nie mogła wykrztusić ani słowa, lecz na szczęście nikt tego od niej nie oczekiwał. Major okręcił się na pięcie i odmaszerował.

Powróciła za biurko i roztrzęsiona opadła na krzesło. Widział, jak okrywała się szalem, i uznał to za osobistą zniewagę. Roześmiałaby się, gdyby nie była taka wściekła. Drżącymi rękami powoli zabrała się do pakowania swoich rzeczy. Tego dnia nie była już w stanie

pracować.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zela ruszyła przez trawnik ku leśnej ścieżce prowadzącej do West Barton. Nie uszła jednak daleko, kiedy usłyszała za sobą głos majora. Zatrzymała się i odwróciła; zmierzał do niej szybkim krokiem.

- Dokąd pani się wybiera? - zapytał.

- Do domu. - Zaczekała, aż ją dogoni.

- Jeszcze na to za wcześnie.

Odwróciła głowę. Nie mogła znieść jego badawczego spojrzenia.

- Zrobiłam już wystarczająco dużo jak na jeden dzień - odparła.

- Złości się pani na mnie.

- Owszem.

- Ponieważ zwróciłem pani uwagę?

- To było niepotrzebne i nieuprzejme. - Zawahała się. - Myślałam, że zna mnie pan lepiej.

- Ma pani słuszość. Zachowałem się bardzo niegrzecznie. Co mogę zrobić, aby to pani wynagrodzić?

- Pragnęłabym, aby okazywał pan więcej zainteresowania swojej bibliotece - odparła natychmiast. - Nie mam pojęcia, czy jest pan

zadowolony z mojej pracy, czy aprobeuje pan moje decyzje. Aż do dzisiaj trzymał się pan z daleka od księgozbioru.

- Przeciwnie, zaglądam do biblioteki co wieczór.

- Naprawdę? - zdumiała się.

- Jak najbardziej, panno Pentewan. Ogromnie interesują mnie postępy, jakie pani czyni. W zeszłym tygodniu odwiedziłem West Barton, aby spytać o zdrowie Nicky'ego, stąd wiem, że Buckland uważa pani obecność w Rooks Tower za graniczącą ze skandalem. Doszedłem do wniosku, że konsekwentnie będę opuszczał dom każdego dnia.

- Znależliby się tacy, którzy uważaliby tę sytuację za niestosowną, nawet gdyby wyjechał pan za granicę. To przykre, że mój szwagier wyraża dezaprobatę, ale przynajmniej rozumie moją potrzebę niezależności. Nie wyrzucił mnie z domu, co oznacza, że jest gotów tolerować moje rzekomo skandaliczne zachowanie. - Miała nadzieję, że major się uśmiechnie, ale nadal stał przed nią z kamienną twarzą. - W pana kolekcji znalazłam wyjątkowo rzadkie książki - dodała poirytowana. - Zatrudnił mnie pan do wykonania konkretnego zadania i wołałabym omawiać pewne sprawy bezpośrednio



z panem, a nie przekazywać informacje przez panią Graddon.

W końcu surowe spojrzenie majora nieco złagodniało.

- Dobrze, panno Pentewan. Dołożę starań, aby być w pobliżu.

- Dziękuję. W takim razie miłego dnia.

- Jednak pójdzie pani do domu?

- Jak najbardziej.

- Zatem idę z panią. - Uśmiechnął się na widok jej zdumionej miny. - Wiem, co pani sobie myśli. Uważa pani, że wykazuję przesadne zainteresowanie sprawami pracowników. Chciałaby pani wspomnieć mi moje wcześniejsze uwagi.

- Nie jestem aż tak nieuprzejma.

- W przeciwieństwie do mnie? - domyślił się.

- Tak, uznałam pana za gbura - odparła szczerze.

- Proszę się nie ograniczać z powodu swojego szlachetnego urodzenia, panno Pentewan. Proszę się na mnie wyżyć, jeśli taka pani wola. Ma pani moje przyzwolenie.

Zela uśmiechnęła się zdawkowo.

- Zaslugiwałby pan na to.

- Jestem tego świadomy. Dlatego w ramach przeprosin chciałbym panią odprowadzić.

Dała za wygraną i ruszyli dalej ramię

w ramię.

- Chodzi pani tędy codziennie? - zapytał major.

- Tak. To najkrótsza droga.

- Zatem z pewnością dostrzegła pani zmiany. Oczyszczałem ścieżki i przerzedziłem drzewa. Właśnie to mnie zajmowało, kiedy spotkałem panią i Nicky'ego w lesie.

Doskonale pamiętała, jak wtedy wyglądał - brodaty drwal, z rozczochranymi długimi włosami i siekierą. Teraz prezentował się nieporównanie lepiej.

- Jak mniemam, znaczną część prac wykonał pan osobiście? - zaciekawiała się.

- I owszem. Nie lubię bezczynności.

- Daje pan ludziom dobry przykład.

- To prawda - przytaknął.

Gdy wędrowali przez las, Zela wszędzie dostrzegała ślady wycinki, ale nowa roślinność już tworzyła jaskrawozielone plamy na ziemi. W pewnej chwili major podniósł rękę, aby pozdrowić wieśniaczkę z dziećmi, która wyszła zza drzew. Kobieta dygnęła, a potem mruknęła do dzieci, żeby się ukloniły.

- Nie przeszkadza panu, że wieśniacy przychodzą tu zbierać chrust? - zapytała Zela.

Wzruszył ramionami.

- Po obrobieniu kłód zostają gałęzie i każdy

może wziąć ich tyle, ile zechce, choć słyszałem od Phillipa, mojego nadzorcy, że od pewnego czasu po lesie krąży coraz więcej ludzi.

- Przepędza się ich z Prickett Wood - wyjaśniła Zela. - Od Reginalda wiem, że nowy właściciel nosi się z zamiarem ogrodzenia lasu. Czy zna pan sir Oswalda?

- Kilka razy wymieniliśmy ukłony.

- Sądziłam, że jesteście sąsiadami.

- Niezupełnie, więc nie mam powodu się z nim kontaktować. Jak już wspomniałem, nie prowadzę życia towarzyskiego, panno Pentewan.

- Może to błąd - zauważyła odważnie. - Ludzie w krótkim czasie oswoiliby się z pańską... z pańskimi bliźniami.

Zaśmiał się chrapliwie.

- Oskarżono by mnie o straszenie dzieci.

- Skąd! Nicky'ego pan przecież nie wystraszył.

- To samotny dzieciak, spragniony towarzystwa. Kiedy podejmie naukę i pozna kolegów, nie będzie już tak się do mnie garnał.

- To nieprawda, Nicky szczydzi się znajomością z panem.

- Dziękuję za miłe słowa, ale obawiam się, że niewiele pani wiadomo o ludzkiej naturze. - Zapatrzył się w przestrzeń. - W Hiszpanii

dużo się nauczyłem o życiu i o śmierci, panno Pentewan. Wojna nie jest niczym chwalebny, mnóstwo w niej krwi i cierpienia, ale cieszę się z nabytych doświadczeń. Kiedyś byłem hulaką i fircykiem, interesowały mnie wyłącznie drogie ubrania i flirty z pięknymi kobietami. Tego właśnie socjeta oczekuje od dżentelmenów, a mnie już do tego nie ciągnie.

- Miejscowi nie są fircykami i utracjuszami, panie majorze - powiedziała Zela. - Mieszka tu wielu dobrych, pracowitych ludzi, którzy pragną lepszego losu dla siebie i bliskich.

- I bardzo dobrze, ale niech nie próbują mnie wykorzystywać.

- Nie o to mi chodziło...

- Dość! - Przystanął, gdy dotarli do ścieżki oddzielającej jego ziemię od ogrodów West Barton. - Ta dyskusja jest jałowa. Będę żył po swojemu i nie zamierzam zaprzyjaźniać się z sąsiadami. To wszystko. - Podniósł wzrok. - Tutaj się rozstajemy.

- Tak czy owak, powinien pan leczyć swoje rany. Znam pewną maść, ziołowe lekarstwo, które doskonale zmiękcza skórę.

- Nie interesują mnie pani eliksiry.

- To nie eliksir, ale może pomóc.

- Zatrudniłem panią jako bibliotekarkę, a nie medyka. - Popatrzył na nią ponuro. - Proszę

nie przeciągać struny.

Zrozumiała, że musi przyjąć jego odpowiedź, przynajmniej chwilowo. Jako nastolatka często towarzyszyła ojcu, kiedy odwiedzał parafian. Wierni wielokrotnie okazywali dumę i upór, ale ojciec nie się poddawał. Zela była skłonna wdawać się w kłótnie, lecz ją powstrzymywał. „Można się chwilowo wycofać, ale nie wolno całkiem dawać za wygraną” – mawiał. Dlatego teraz skinęła głową.

- Dziękuję panu za towarzystwo - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł major i się uklonił. - Do jutra.

Obudzwszy się następnego dnia, Zela poczuła, że tym razem stanie się coś wyjątkowego. Gdy wyszła z domu, silny wiatr, który przepędzał po niebie szare chmury, podwiał jej spódnicę i niemal porwał kapelusz-budkę. Dotarła na miejsce wyczerpana, ale zadowolona, minęła ciemny salon i przeszła do biblioteki. Rozejrzała się z satysfakcją. Większość książek znalazła się już na półkach. Wcześniej Zela je odkurzyła i oczyściła, odkładając na bok każdą, która wymagała naprawy.

Gdy wszedł major, zajmowała się

katalogowaniem kolejnej pozycji.

- Nie, proszę nie wstawać. - Zamachał ręką.  
- Niech pani nie odrywa się od obowiązków.  
Nie zamierzam dawać pani pretekstu do leniuchowania.

Przysiadł na skraju biurka i sięgnął po rejestr, aby zapoznać się z najnowszymi wpisami. Zela była zadowolona, że major już nie odwraca się do niej wyłącznie prawą stroną twarzy.

- Raz na jakiś czas i tak muszę zrobić sobie przerwę - zauważyła. - Odwiedził mnie pan w samą porę.

- Podziwiam panią. Nie wytrzymałbym w tym miejscu przez cały dzień. - Podsunął jej księgę.  
- Nie ma pani ochoty na spacer?

Krople deszczu zabębniły w szybę, a Zela zachichotała.

- Na pewno nie w taką pogodę - odparła. - Owszem, kiedy świeci słońce, mam chęć zażyć świeżego powietrza. Wtedy otwieram okna. Poza tym cieszę się spacerem w drodze powrotnej do domu.

- W rzeczy samej. Czy mógłbym pani pomóc?  
- Proszę rzucić okiem na książki, które tutaj odłożyłam. Nie wiem, czy chciałby pan przekazać je introligatorowi do naprawy, czy też wyrzucić.

Major z uwagą przejrzał stertę książek ułożoną na stoliku pod ścianą i podzielił je na dwa stosy.

- Dobrze... Oprawimy te, a reszta... - Zela zawiesiła głos, podnosząc *Principia* Isaaka Newtona. - Czy na pewno je wyrzucić?

- Jak najbardziej. Książka, którą pani trzyma w ręku, została zniszczona przez wilgoć i nieuważnych czytelników. Nie da się jej uratować. - Zela niechętnie odłożyła dzieło, a zniecierpliwiony major westchnął. - Proszę się nie roztkliwiać. Wśród książek z Lydcombe Park może się znajdować inny egzemplarz tego tytułu, a jeśli go nie będzie, pozwalam pani zamówić go w moim imieniu.

- Dobrze, panie majorze. Czy niepotrzebne pozycje mogę przekazać panu Netherby'emu?

- Proszę zrobić wedle uznania. - Sięgnął po mały kamionkowy słoiczek, ukryty za książkami. - A cóż to ma być?

- To? - Zela wyraźnie się zawahała. - Maść, o której wspominałam. Postanowiłam przekazać ją Graddonowi, żeby ewentualnie...

- Doprawdy? Graddon nie jest moją pielęgniarką.

- Szkoda. Maść z pewnością bardzo by pomogła.

- Już mówiłem, panno Pentewan - rzucił

major. - Proszę się skupić na swoich obowiązkach!

Hałaśliwie odstawił słoik i wymaszerował, głośno zamykając za sobą drzwi.

Słoik stał na stoliku przez trzy dni, a major ostentacyjnie go ignorował. Gdy Zela w końcu zaczęła się zastanawiać, czy nie poprosić Graddona o wsparcie, major wspomniał o lekarstwie przy okazji jednej z rozmów o książkach.

- I cóż takiego zawiera to pani magiczne smarowidło? - spytał.

- Nie ma ono nic wspólnego z magią, panie majorze, tylko z kwiatami. Są w nim płatki nagietka zmieszane z olejkiem i woskiem, który nadaje odpowiednią konsystencję. Maść pomaga odradzać się skórze i rozmiękcza zabliznioną tkankę. Moja mama przygotowywała ten lek dla naszych parafian. Zapewniam pana, że nie będzie bolało - dodała na zachętę.

Major wpatrywał się w nią badawczo.

- Doskonale. - Wręczył jej słoik. - Sprawdzimy.

- Słucham?

- Niechże pani zaaplikuje mi ten magiczny środek. Zobaczmy, jak się spisze.



- Mam go zaaplikować tutaj? Teraz? - Zela przełknęła ślinę. - Nie jestem pewna...

- Do licha, Dalilo! Pozwoliłem, aby została pani moim cyrulikiem, więc chyba nie obawia się pani mojej twarzy? Może szrama wydaje się pani zbyt odrażająca?

- Ani trochę - zaprzeczyła.

Otworzyła słoik, nabrała na palce odrobinę maści i po ledwie zauważalnym wahaniu delikatnie posmarowała bliznę.

- I już - oznajmiła. - Lepiej? - Mruknął coś niezrozumiale, a ona zachichotała. - Proszę się nie wstydzić. Ta mikstura działa na blizny, podobnie jak воск na skórzane przedmioty.

- Czyżby przyrównywała pani moją twarz do buta? - zażartował.

Zela roześmiała się, wcierając maść w jego policzek.

- Przenigdy nie poważylabym się na taką impertynencję!

- Och, myślę, że jednak by się pani odważyła. W milczeniu wcierała maść, aż wreszcie znikły wszystkie jej ślady.

- Szabla raniła nie tylko moją twarz, ale i ciało.

Zela zamarła.

- Czy mogę spojrzeć? - zapytała cicho.

Major rozwiązał fular i poluzował

kołnierzyk. Zela odsłoniła materiał, aby obnażyć lewe ramię majora. Na widok złocistobrązowej skóry pomyślała, że zapewne opalił się, pracując bez koszuli na świeżym powietrzu. Obojczyk przecinała nierówna szeroka linia, która ciągnęła się aż do klatki piersiowej, gdzie częściowo nikła w gęstwinie sprężystych, czarnych włosów. Serce Zeli ścisnęło się na myśl o bólu, którego musiał major doświadczyć, ale powstrzymała się od okazywania współczucia. Było jasne, że sobie tego nie życzył.

- Szkoda, że wcześniej nie stosował pan maści - zauważyła, wcierając krem w ślad po ranie. - Jeszcze nie jest za późno. Jeśli będzie pan regularnie korzystał z tej mikstury, to skóra rozmięknie i się rozciągnie.

Rozmasowała mu obojczyk, a potem przesunęła dłonie na tors. Nie była pewna, kiedy atmosfera się zmieniła, ale nagle pomiędzy nimi zapanowało napięcie. Naraz uświadomiła sobie, w jak ryzykownej sytuacji się znalazła. Skupiła uwagę na masowaniu zabliznionej skóry, na próżno jednak próbowała nie myśleć o tym, jak atrakcyjny jest major.

Coale chwycił ją za rękę.

- Wystarczy - odezwał się nieco

zachrypniętym głosem. - Może powinienem dokończyć sam... później.

Zela zarumieniała się z zakłopotania.

- Tak, oczywiście... - powiedziała. - Lekarstwo należy wmasowywać codziennie, bezpośrednio po kąpieli.

Podniosła wzrok i zauważyła z pewną ulgą, że major się uśmiecha.

- Jest pani zbyt niewinna, aby wcielić się w rolę Dalili, prawda? - spytał

Ostrożnie podała mu słoik.

- Nigdy nie pragnęłam być taką kobietą - oznajmiła.

- Naturalnie. Za bardzo interesują panią książki. - Odsunął się i podniósł fular. - Na mnie pora. Muszę dzisiaj porozmawiać z Phillipsem o porządkowaniu zagajników.

Zela wyjrzała przez okno, gdy kolejna struga deszczu załomotała w szybę.

- Nie powinien pan poczekać do końca ulewy? - zaniepokoiła się.

- Deszcz mi nie zaszkodzi - odparł. - Przeciwnie, dobrze mi zrobi na otrzeźwienie.

Skinął głową i wyszedł z biblioteki, w której zapanowała cisza.

Zela usiadła za biurkiem i oparła głowę na dłoniach. A więc za bardzo interesowała się książkami, aby być Dalilą, piękną

uwodzicielką. Powinna się cieszyć, że major nie myśli o niej w takich kategoriach, więc dlaczego poczuła rozczarowanie?

Po dwóch tygodniach dostarczono książki z Lydcombe Park. Zela nie chciała robić zbyt dużego bałaganu w świeżo uporządkowanej bibliotece, więc nakazała przenieść je do pokoju w wieży. Wypakowywanie nowych tomów zajęło jej prawie cały dzień.

Akurat zapinała lekki płaszcz, gdy za drzwiami biblioteki rozległ się odgłos znajomych kroków. Zela poczuła nagły przypływ energii. Po chwili do pomieszczenia wszedł Coale w butach ubłoconych po podróży. Na jego widok uśmiechnęła się radośnie.

- A cóż to, panno Pentewan, czyżby już pani skończyła? - zdziwił się. - Słyszałem, że dotarły książki z Lydcombe Park. To chyba odpowiedni powód do nieco dłuższej pracy.

- Niewątpliwie, panie majorze, ale dzisiaj muszę iść do Lesserton, aby odebrać Nicky'ego ze szkoły.

- Zatem zawiozę panią dwukółką.

- Przecież dopiero pan wrócił...

- Jechałem wierzchem, a to zupełnie co innego. Zaczekamy na powóz, a w tym czasie pani opowie mi, co działała.

Zeli nie przyszedł do głowy żaden kontrargument, zatem skinęła głową i spełniła polecenie majora. Dziesięć minut później siedziała już u jego boku w eleganckiej wyścigowej dwukółce i zachwycała się nową drogą. Gdy dotarli do wioski, Zela ukradkiem zerknęła na majora. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, który nieco przekrzywił, aby zacienić okaleczoną część twarzy. W rezultacie blizna na policzku i brodzie była ledwie widoczna.

- Gdzie panią wysadzić? - spytał.

- Tutaj - odparła. - Jesteśmy nieco wcześniej, niż planowałam, więc chętnie zajrzę do sklepów przy Market Street. Nie musi pan asystować mi przy wysiadaniu, z łatwością sama zeskoczę.

Gdy tylko dwukółka przystanąła, Zela zgrabnie wydostała się z powozu i pomachała majorowi na pożegnanie, on zaś popędził konie i odjechał.

Poranne chmury ustąpiły pola słonecznemu niebu, gdy Nicky wybiegał z domu pastora. Zela przekonała chłopca, aby wrócili nieco okrężną drogą. Pokonali zaledwie kilkadziesiąt metrów, kiedy ujrzeli przed sobą Coale'a. Z satysfakcją zauważyła, że jej pracodawca

prawie nie kuśtyka.

- Pan major! - wykrzyknął zachwycony chłopiec moment później.

- Dzień dobry, drogi Nicholasie! - Major uśmiechnął się do chłopca. - Co słysząc? Jak twoja noga?

- Znacznie lepiej, panie majorze. Zela chce zobaczyć las z dzwonekami, więc ją tam prowadzę. Pójdzie pan z nami?

- Nicky! - syknęła zawstydzona.

Chłopiec nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Przez cały czas wpatrywał się z nadzieją w majora, który odparł z powagą:

- Będzie mi bardzo miło.

- Nie, nie - zaprotestowała Zela. - Jestem pewna, że ma pan ważniejsze sprawy na głowie.

- Prawdę mówiąc, nie. Sawley zauważył, że jeden z koni ma obłuzowaną podkowę, i zaprowadził go do kowala. Dlatego chciałem spytać, czy nie zechciałaby pani poczekać pół godziny, abym mógł odwieźć panią i Nicky'ego do West Barton.

- Przejedziemy się pana dwukółką? - spytał z zapalem Nicky. - Wyścigową?

- Obawiam się, że mam tylko jedną, ale z pewnością jest całkowicie bezpieczna, o czym może zaświadczyć twoja ciocia.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony. - Zela nie chciała pozbawić chłopca takiej przyjemności. - Niemniej nie musi pan towarzyszyć nam podczas spaceru.

- Ale pan major chce przejść się z nami, prawda? - Nicky spojrzał na niego błagalnie.

- W istocie.

Zela rozejrzała się bezradnie, a Coale podał jej ramię.

- Pozwoli pani? - spytał uprzejmie.

Nie mogła odmówić.

- Maria powiedziała mi o lesie - wyjaśniła, kiedy podążali za chłopcem ścieżką, która prowadziła poza granice wsi. - Podobno rosnące tam dzwonki są zjawiskowe, ale kwitną tylko przez krótki czas. Mam nadzieję, że nie wybieramy się tam za późno, przecież maj trwa w najlepsze.

- Wkrótce się przekonamy.

Nicky pokonał przełaz, a major wszedł na ogrodzenie i podał rękę Zeli.

- Proszę uważać, po tej stronie ciągnie się błotnisty rów - ostrzegł.

Gdy wdrapała się po przełazie, major wyciągnął ręce, ujął ją w talii i przeniósł nad kałużą w rowie.

- Czy jest pani gotowa iść dalej? - spytał, ponieważ zamarła, oszołomiona jego

bliskością.

Dopiero po kilku sekundach oswobodziła się i odsunęła o krok.

- Zaskoczył mnie pan - wyjąkała. - Bez trudu mogłabym przejść samodzielnie.

- Och, jestem o tym przekonany, ale w ten sposób było o wiele przyjemniej, prawda?

Irytowało ją jego opanowanie.

- Czyżby usiłował pan ze mną flirtować?

- Chyba tak. - Zaśmiał się. - To dziwne. Kiedyś zachowywałem się tak nieustannie, ale to było, nim ten przekłety szaser ciął mnie przez twarz. Najmocniej przepraszam, zrobiłem to mimowolnie.

Zela poczuła, że jej gniew ulatnia się bez śladu.

- Poprawił mi pan samopoczucie - odparła z rozbawieniem.

- Szczerze mówiąc, od powrotu do Anglii nie czułem się tak odprężony - wyznał major.

- Cieszę się, że mam na pana zbawienny wpływ.

Popatrzyli sobie w oczy i uśmiechnęli do siebie. Na jedną chwilę zapomnieli o otaczającym ich świecie.

- Nicky się oddalił - zauważył w końcu major i pierwszy odwrócił wzrok. - Idziemy? Boję się, że nas porzuci, i będziemy zmuszeni



błąkać się po lesie przez całą noc.

Chłopiec przystanął na zakręcie ścieżki, aby na nich zaczekać, a gdy się zbliżyli, oszołomiona Zela wstrzymała oddech. Przed nimi rozciągał się zalany słońcem las, który zdawał się wyłożony grubym dywanem niebieskich dzwonek i dzikiego czosnku.

- Jak tu pięknie! - zachwyciła się i przejechała dłońmi przez gęstwinę kwiatów.  
- Kwitną jak oszalałe. Powinniśmy zebrać bukiet dla twojej mamy, Nicky. Tylko koniecznie zrywaj kwiatki u samej nasady łodyg, skarbie.

Zabrała się do zbierania najwyższych kwiatów i już po kilku minutach miała ich całe naręcze. Nicky wkrótce dołożył swój bukiet.

- Szybko poszło. - Spojrzała pytająco na Coale'a. - Panie majorze, prawda, że są piękne? - Gdy nie odpowiedział, dodała: - Och, przepraszam. Zapewne chciałby pan już wracać. Chyba zrobiło się późno.

- Wcale nie musimy wracać - odezwał się Nicky. - Ścieżka okrąża Prickett Wood i zawraca do wsi. To niedaleko.

Major odkaszlnął i oznajmił:

- W takim razie chodźmy.

Chłopiec pobiegł przodem, a kiedy major ruszył za nim, Zela ledwie za nimi nadązała.

- Przepraszam, jeśli zmarnowaliśmy pański czas - powiedziała lekko zadyszana.

- To bez znaczenia.

Zmarszczyła brwi, słysząc jego oschły ton, i skupiła się na marszrucie. Wkrótce opuścili las i znaleźli się na szerokim dukcie między drzewami.

- Pamiętam to miejsce - odezwała się Zela. - Rzeczywiście droga prowadzi do Lesserton.

Znowu nie odpowiedział. Przyjemna atmosfera wyparowała, ponownie oddalili się od siebie. Doszła do wniosku, że powinna się z tego cieszyć, bo gdy Coale zachowywał się przystępnie, bardzo trudno było oprzeć się jego urokowi.

Nicky biegł przed nimi, wpadał między drzewa i wypadał z powrotem na drogę, tocząc boje z wyimaginowanymi wrogami. Wydawał się znacznie szczęśliwszy, gdy część dnia spędzał w szkole pana Netherby'ego. Wyglądało na to, że ani trochę nie tęsknił za towarzystwem Zeli.

Znowu dał nura w krzaki. Zela czekała przez chwilę, aż pojawi się z powrotem, ale nie wracał. Już miała wspomnieć o tym majorowi, kiedy oboje usłyszeli gniewne męskie okrzyki.

- Co, u licha? - Coale skierował się zarośniętą dróżką do lasu.

Zela podążyła za nim, czując narastający niepokój. Po chwili ponownie usłyszeli głos mężczyzny.

- Co tu robisz, do diaska? Wlazłeś na cudzą ziemię, ot co! Zaraz dostaniesz za swoje!

- Zabieraj ręce od chłopaka! - krzyknął donośnie major.

Gdy znaleźli się na małej polance, ujrzeli, że Nicky szarpie się bezradnie, podczas gdy jakiś tęgi mężczyzna w brązowej kurtce i skórzanych spodniach trzyma go za kołnierz. Uniósł pięść, ale nie zadał ciosu, tylko wbił wzrok w majora i w Zelę.

- A wy co za jedni?! - warknął

- Nie twój interes - odparł major. - Wypuść chłopaka, ale już.

- Nic z tego. Wlazł na cudze. To ziemia sir Oswalda i nikomu nie wolno tu chodzić. A mnie kazano spuścić manto każdemu bachorowi, który włóczy się po lesie.

- Najpierw będziesz musiał mnie spuścić manto - wycedził major.

Mężczyzna zmarszczył brwi, a jego grubo ciosane rysy twarzy wydały się Zeli jeszcze bardziej odrażające.

- No i taki właśnie mam zamiar.

- Nie, proszę! - krzyknęła Zela, ale żaden z mężczyzn nie zareagował.

Zanim jednak stało się najgorsze, z krzaków wyłonił się ktoś jeszcze. Trzymał w rękach strzelbę, ale Zela z ulgą zauważyła, że do nikogo nie celował.

- Ejże, Miller, co tu się wyprawia? - zawołał.  
- Kim, do czarta, są ci ludzie?

- Wleźli na cudze, jaśnie panie. Oni...

- Jestem Coale, sir Oswaldzie - przerwał mu major. - Z Rooks Tower. Jeśli to pański człowiek, to byłbym wdzięczny, gdyby uwolnił mojego młodego przyjaciela.

- Major Coale, ależ tak, naturalnie. Williamie, puść chłopca.

Gbur niechętnie zwolnił uścisk, a Nicky natychmiast się oswobodził i pognął do Zeli. Sir Oswald uśmiechnął się szeroko.

- Proszę wybaczyć mojemu zarządcy, jeśli przestraszył chłopca, ale trudno nam się uporać z dzieciarnią ze wsi - powiedział. - Biegają po lesie, kiedy tylko przyjdzie im ochota, i robią niepotrzebny zamęt.

- Może podają w wątpliwość pańskie prawa do tych lasów - zauważył Coale.

- To prosty lud, panie majorze. Wydaje im się, że skoro dawniej pozwalano im korzystać z ziemi, stała się ich własnością. Efekt jest taki, że muszę ich trzymać na dystans.

- Okładając pięściami małych chłopców,

którzy niechcący zapuścili się na pański grunt?  
- Major wydał usta. - Pańskie metody są  
cokolwiek skrajne.

- Cóż robić? - Sir Oswald wzruszył  
ramionami. - Prowadzimy odstrzał jeleni i nie  
chcę, aby ktoś został ranny. - Ponownie  
popatrzył na zarządcę. - Wszystko  
w porządku, Miller, możesz wracać do pracy.  
Sam odprowadzę tych państwa do drogi.

Zela wzięła Nicky'ego za rękę i ruszyła  
przodem, ale za plecami usłyszała jeszcze głos  
sir Oswalda.

- Nie twierdzę, że odpowiada mi rola  
leśnego potwora, panie majorze, ale muszę  
bronić tego, co moje - wyjaśnił. - Wieśniacy są  
zdumiewająco uparci. Nie dziwię się, że Miller  
nieco... zobojętniał. Zapewniam jednak, że  
dobrze wie, jak daleko wolno mu się posunąć.  
Włos z głowy nie spadnie nikomu, kto będzie  
się trzymał z dala od mojej ziemi.

- Śmiem twierdzić, że słowa sir Oswalda były  
ostrzeżeniem - rzekł major, kiedy wracali do  
wsi.

- Co za okropny człowiek. - Zela aż się  
wzdrygnęła. - Kto wie, co by spotkało  
Nicky'ego, gdyby nie my.

- On nie ma prawa strzelać do jeleni -

oświadczył chłopiec, który jeszcze nie całkiem ochłonął po tym, co go spotkało. – One są tu od zawsze, a ta ziemia do niego nie należy.

– Właśnie to stara się udowodnić twój papa. – Zela uściśnęła jego dłoń. – Mam nadzieję, że mu się uda. Sir Oswald z nikim się nie liczy i trzeba go powstrzymać.

– Z pewnością istnieją odpowiednie dokumenty – zauważył major. – W archiwach muszą być zapisy określające, które ziemie należą do wsi.

– Owszem, są, ale stare i niezbyt zrozumiałe.

– Robin mówi, że to ma coś wspólnego z kamieniami granicznymi – odezwał się Nicky.

– Doprawdy? – Zela spojrzała na niego z uwagą. – A kim jest Robin?

– To mój przyjaciel.

– Masz innego przyjaciela? – Major uniósł brwi. – Sądziłem, że ja nim jestem.

– Z Robinem jest inaczej. Mieszka w lesie.

– Ach, masz na myśli wronołapa. – Major skinął głową i zwrócił się do Zeli: – To staruszek, któremu ludzie płacą za różne prace we wsi, takie jak chwywanie wron, wykarczanie kretów czy asystowanie przy porodach jagniąt. O ile mi wiadomo, zimą mieszka z siostrą we wsi, ale przy lepszej pogodzie przenosi się do chaty na skraju lasu.

Nie sądziłem, że się z nim przyjaźnisz, Nicky.

- Tak, przyjaźnimy się. Czasami zabiera mnie na polowania, kiedy indziej tylko tropimy jelenie, żeby na nie popatrzeć.

- W takim razie najlepiej będzie, jeśli uprzedzisz przyjaciela, aby nie wchodził na ziemie sir Oswalda - poradziła chłopcu Zela. - Ten zarządca niewątpliwie spuściłby biedakowi manto.

- Nikt nie złapie Robina - powiedział z przekonaniem Nicky. - Zna te okolice jak własną kieszeń.

Wkrótce dotarli do kuźni, przed którą już czekał stangret majora i gotowa do drogi dwukółka. Nicky zdążył zapomnieć o przykrościach, które go spotkały, i z radością wdrapał się na siedzenie, zajmując miejsce między Zelą a majorem. Gdy ruszyli, Zela popatrzyła na dzwonki, które nadal trzymała w rękach.

- Niemal je upuściłam, kiedy wpadliśmy na sir Oswalda i jego upiornego zarządcę - przypomniała sobie. - Dobrze, że tak się nie stało. Zaczynają trochę więdnąć, ale myślę, że odżyją w wodzie. Prawda, panie majorze?

Na moment oderwał wzrok od drogi i zerknął na bukiet rozkołysanych kwiatków.

- Niewątpliwie - odparł. - Ma pani

szczególną umiejętność podtrzymywania innych na duchu, panno Pentewan.

Jak należało się spodziewać, Nicky opowiedział rodzicom o wszystkim, co się zdarzyło w Prickett Wood. Maria była wstrząśnięta okrucieństwem zarządcy, a Reginald natychmiast kazał siodłać konia i wyruszył na rozmowę z sir Oswaldem. Damy z niepokojem czekały na jego powrót. W końcu zjawił się z ponurą miną, bardzo rzadko goszczącą na jego twarzy.

- Och, mój kochany, zaczynałam się martwić, że wdałeś się w bijatykę. - Maria podbiegła do męża i poprowadziła go do krzesła.

- Zachowywał się najuprzejmiej, jak to możliwe, łotr przekłety - powiedział Reginald.

- Wielokrotnie mnie przeproszał i wyjaśnił, że jego człowiek wykazał się nadgorliwością.

- Zatem ta sytuacja się nie powtórzy? - spytała Zela.

Reginald ściągnął brwi.

- Drań wyraził nadzieję, że uda mi się uchronić członków rodziny przed wkraczaniem na jego ziemię, bo przygotowuje w Prickett Wood pułapki na intruzów!



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zela przysłuchiwała się, jak Reginald wyjaśniał sytuację Nicky'emu, podkreślając, że w żadnym razie nie wolno mu wchodzić na tereny sir Oswalda.

- Ale przecież Prickett Wood to nie jego własność, tylko całej wsi! - zaproponował z oburzeniem chłopiec. - Robin tak mówi!

- I ja mam taką nadzieję, ale dopóki tego nie udowodnimy, w żadnym razie nie możesz wchodzić do lasów sir Oswalda - podkreślił Reginald. - Taka pułapka to naprawdę barbarzyńskie urządzenie, Nicky. Można stracić nogę.

- A co z Robinem, papo? Co z mieszkańcami wsi?

- Sir Oswald powiedział mi, że zamieści stosowne ogłoszenia, zarówno w Lesserton, jak i na skraju lasu. Robinem się nie martw, to stary wyga i nie da sobie w kaszę dmuchać. Poza tym za kilka tygodni przyjedzie tu z Londynu prawnik, który ma przywieźć królewski edykt. Musimy mieć nadzieję, że to załatwi sprawę raz na zawsze.

Maria zaczęła nalegać, aby Zela codziennie

przemierzała drogę do pracy w towarzystwie służącego, ale ta propozycja spotkała się z energicznym sprzeciwem jej siostry.

- Moja droga, twoja służba i tak ma mnóstwo zajęć, nie trzeba jej przydawać dodatkowych obowiązków. Poza tym wędruję do Rooks Tower z dala od ziemi sir Oswalda, bezpośrednio z ogrodów wchodzę do lasów majora Coale'a.

- Kto wie, jakie tam mogą czyhać niebezpieczeństwa - odparła ponuro Maria.

Zela zbagatelizowała obawy siostry i następnego dnia beztrąsko powędrowała do Rooks Tower. Jakież było jej zdumienie, kiedy Coale oświadczył, że zamierza jej towarzyszyć w drodze powrotnej do domu.

- Zapewniam pana, że nie ma takiej potrzeby - powiedziała.

- Nalegam, panno Pentewan.

- Absurd! - obruszyła się. - Na pańskiej ziemi nie zagrażają mi sir Oswald i jego siepacze.

Major popatrzył na nią ze zdumieniem, ale natychmiast się opanował.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł i ruszył u jej boku.

- Ależ pan jest zbyt zajęty!

- Nie dzisiaj. Od samego rana zajmowaliśmy

się przebudową oranżerii. Cieśla wie już, co należy zrobić, więc tylko wchodziłbym mu w paradę. Ejże, panno Pentewan, proszę nie robić buntowniczych minek. Czy nie może pani z godnością zaakceptować mojego towarzystwa?

- Chyba nie mam innego wyjścia - przyznała z rezygnacją.

- Cieszy mnie to, choć oczekiwałbym większego entuzjazmu.

- Dlaczego miałabym być zadowolona z tego, że nie jestem traktowana jak niezależna osoba?

Zamiast odpowiedzieć, Coale zaczął rozprawiać o tym, jakie zmiany zaplanował w parku, przez który wędrowali. Zela szybko się zainteresowała tematem i podsunęła mu kilka pomysłów.

- To długofalowe plany, panie majorze - oznajmiła. - Czy zamierza pan zamieszkać tu na stałe?

- Niewykluczone.

- W takim razie powinien pan bardziej zaangażować się w sprawy wsi. Mógłby pan wesprzeć mojego szwagra w sporze z sir Oswaldem.

- Zastanawiałem się, kiedy pani poruszy ten temat. Jak już pani mówiłem, nie mam ochoty

wdawać się w lokalne konflikty.

- Ale...

- Wystarczy. - Zatrzymał się. - Niewykluczone, że sir Oswald ma pełne prawo pilnować tych ziem i zastawiać pułapki. Nie zamierzam wtrącać się w nie swoje sprawy.

Zamilkła na chwilę, ale nie zamierzała dawać za wygraną.

- Przynajmniej mógłby pan wziąć udział w letnich tańcach - powiedziała po chwili. - Miałyby pan okazję bliżej poznać sąsiadów.

Major natychmiast się zachmurzył i zmarszczył brwi.

- Jeśli będę miał sprawę do sąsiadów, to do nich pójdę. Nie widzę powodu, żeby uczestniczyć w towarzyskich spotkaniach.

Szli przez las i od drogi dzieliło ich zaledwie kilka minut, więc nie było powodu, aby przedłużać kłótnię.

Nagle rozległ się trzask i z pobliskich krzaków wybiegła łania tak blisko, że niemal otarła się o Zełę. Po chwili drogę przebiegł duży rogacz. Wystraszona Zela odskoczyła, a Coale chwycił ją w ramiona, przytulił mocno i przycisnął jej głowę do swojego torsu, tak że wyczuwała mocne, stabilne bicie jego serca. Nikt tak jej nie obejmował i doszła do wniosku, że to całkiem przyjemne.

Przez moment delektowała się nowymi doznaniem, ale gdy szok ustąpił, uświadomiła sobie niestosowność swojego zachowania i cofnęła się o krok.

- Przepraszam - powiedział major. - Chyba nie zrobiłem pani krzywdy?

- Nie... - odparła niepewnie. - Nigdy dotąd nie widziałam jelenia z bliska. Był zjawiskowy.

- To przez was! - dobiegł ich wesoły głos Nicky'ego. - Zastanawialiśmy się, co spłoszyło jelenie.

Chłopiec wygramolił się na ścieżkę, a tuż za nim z krzewów wyszedł chudy jegomość w spłowiałej brązowej kurtce i spodniach.

- Panie majorze. - Dotknął kapelusza.

- Witaj, Robinie, i ty również, paniczu Bucklandzie.

- Ależ Nicky... - Zela położyła rękę na ramieniu siostrzeńca. - Dlaczego nie jesteś w szkole?

- Pan Netherby musiał gdzieś jechać i odwołał lekcje, więc poszedłem do Robina - odrzekł. - Nie martw się, ciciu, stajenny John był w Lesserton i zawiózł do domu wiadomość ode mnie, więc papa wie, że nie trzeba przysyłać powozu. Świetnie się bawiłem, bo tropiliśmy jelenie. Dobrze nam szło, dopóki ich nie wystraszyliście.

Zela zaśmiała się niepewnie.

- Sądziłam, że to one wystraszyły nas - zauważyła.

- Najmocniej jaśnie panienkę przepraszam. - Stary Robin uchylił kapelusza i skinął głową. - Łania się odwróciła, jak usłyszała państwa głosy, a że my staliśmy jej na drodze, to się spłoszyła i przebiegła przez ścieżkę, a byk za nią.

- Prawda, ciociu, że to przepiękne zwierzęta? - Twarz chłopca jaśniała z zachwytu. - Tropiliśmy je cały dzień.

- Mam nadzieję, że nie zbliżaliście się do ziem sir Oswalda - zaniepokoiła się Zela.

- Nie zabrałbym tam chłopca, jaśnie panienko, co to, to nie. - Robin odwrócił się i splunął na ziemię. - Nie to, żeby sir Oswald był właścicielem całej ziemi, do której sobie rości prawa.

- Wiesz, gdzie przebiegają granice? - upewniła się Zela.

- A jakże - potwierdził - ale jelenie za nic mają granice ustalane przez człowieka.

- Sir Oswald powiedział Robinowi, że zastrzeli każde zwierzę, które zobaczy na swojej ziemi, ale one wędrują tam od lat i nie wiedzą, że nie powinny - dodał Nicky.

Major wzruszył ramionami.

- Sir Oswald za wszelką cenę stara się czerpać zyski ze swoich gruntów.

- Ano tak. - Robin potarł nos. - Wycina drzewa wedle Lydcombe Park i takie jego prawo, ale to, co się dzieje w Prickett Wood, to zupełnie co innego.

- Jeśli wiesz coś jeszcze, powinieneś powiedzieć mojemu szwagrowi - zauważyła Zela - albo sir Arthurowi, który jest tutaj sędzią, jak mniemam.

- Może i tak zrobię.

Ta odpowiedź była zbyt ogólnikowa, aby usatysfakcjonować Zelę, ale zanim odezwała się, uprzedził ją Nicky.

- Bardzo się cieszę, że cię spotkałem, ciociu, bo właśnie szedłem do Rooks Tower, żeby sprawdzić, czy już skończyłaś - oświadczył. - Robin ma trochę pracy.

- Pomyślałem, że rzucę okiem na krety na południowym trawniku jaśnie pana, jeśli nadal pan sobie życzy je przepędzić - wyjaśnił Robin.

- W istocie, zależy mi na tym. Jeśli chcesz, możesz wybrać się tam już teraz. Powiedz pani Graddon, że cię przysyłam, a ona zadba o to, abyś dostał kolację. Odprowadzę pannę Pentewan i panicza Nicky'ego do West Barton.

Zela już chciała powiedzieć, że nie ma takiej

potrzeby, kiedy dostrzegła zachwyconą minę chłopca i ugryzła się w język. Rozstali się ze starym Robinem i wyruszyli w dalszą drogę. Nicky radośnie gawędził z majorem, opowiadając mu o lekcjach i kolegach. Dróżka była wąska, więc Zela szła nieco z tyłu, ale nie miała nic przeciwko temu - z uwagą wsłuchiwała się w słowa towarzyszy.

- W tym miejscu się rozstaniemy. - Coale zatrzymał się, kiedy dotarli do drogi.

- Nie odprowadzi nas pan do domu? - Chłopiec popatrzył na niego z nadzieją. - Wiem, że mama by się ucieszyła.

- Dziękuję, ale nie mogę. Mam pewne niecierpiące zwłoki obowiązki.

- Ale...

- Nie upieraj się, Nicky - wtrąciła Zela. - Pan major nie widzi powodu, żeby uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich.

Błysk w oczach majora świadczył o tym, że dobrze ją zrozumiał.

- W istocie, panno Pentewan - burknął. - Życzę miłego dnia.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Co włożysz na jutrzejsze tańce, Mario?

Po kolacji Zela przeszła wraz z siostrą do salonu. Były same, gdyż Reginald jeszcze nie wrócił ze spotkania w Lesserton.

- Myślałam o brązowej jedwabnej sukni z turbanem do kompletu - odparła Maria. - Ma tren, ale przecież nie będę tańczyć, więc w niczym mi nie przeszkodzi. Nie jest nowa, ale odpowiednia na letnie tańce. W końcu to nie jest żadna specjalna okazja.

Zela westchnęła.

- Dla mnie jest szczególna - wyznała. - Uwielbiam tańczyć, a ostatni raz miałam okazję trzy lata temu.

- Dobry Boże, chyba nie chodziłaś na tańce w sąsiedztwie Cardinham po tym, jak... - Urwała Maria i po chwili dodała: - To znaczy...

- Specjalnie dołożyłam kilka nowych wstążek do cytrynowej sukni z jedwabiu - powiedziała Zela pośpiesznie, udając, że nie dostrzega zakłopotania siostry.

- Jestem pewna, że zaprezentujesz się uroczo. - Maria chętnie porzuciła drażliwy temat. - Rano zrobimy ci loczki.

- Nie, nie - zaproponowała Zela. - Rano idę do Rooks Tower.

- Co takiego?! Nie możesz jutro pracować nad tymi upiornymi książkami, zabraknie ci czasu na przygotowania.

Zela roześmiała się na widok przerażonego spojrzenia siostry.

- Nie jestem wielką damą, więc potrzebuję tylko tyle czasu, ile zajmuje zmiana sukni - odparła.

- Nie, nie. To wykluczone. Nie wspomniałaś majorowi o tańcach?

- Powiedziałam, lecz wygląda na to, że major nie przywiązuje większej wagi do takich spraw.

- W takim razie musisz mu z rana przesłać list z informacją, że nie zdołasz przybyć.

Zela pokręciła przecząco głową.

- Nie widzieliśmy się, odkąd spotkałam Nicky'ego w lesie - wyjaśniła. - Obawiam się, że już wtedy nie był ze mnie specjalnie zadowolony, więc nie chciałabym dodatkowo go rozdrażniać. Mógłby mnie odprawić.

- Kiedy podejmowałaś pracę, nie sądziłam, że dojdzie do takiej sytuacji. Tak być nie może.

Maria pośpiesznie sięgnęła po chustkę, aby otrzeć oczy. Dopiero wtedy Zela uświadomiła sobie, jak bardzo zbulwersowana jest jej

siostra. W świecie Marii tylko obowiązki względem męża i rodziny były istotniejsze od spotkań towarzyskich.

- Nie jest tak źle, kochana - pocieszyła ją. - Jako guwernantka w ogóle nie mogłabym tańczyć.

- Och, gdyby można było zmienić przeszłość... - Maria otarła oczy. - Gdybyś tylko...

Zela zerwała się z miejsca.

- Nie mówmy o tym - powiedziała szybko. - Mam całe życie na rozmyślanie i na żale. Nikt na zabawie nie będzie znał mojej przeszłości, więc zamierzam tańczyć do upadłego.

Następnego dnia Zela wyruszyła do Rooks Tower, obiecując Marii, że wróci trochę wcześniej, aby się przygotować do wzięcia udziału w tańcach. Gdy jednak dotarła do domu majora, Graddon natychmiast poinformował ją, że dostarczono kolejne skrzynie z książkami.

- Jaśnie panienka chyba będzie musiała zacząć całą pracę od nowa. Wygląda na to, że nie przyszły z poprzednim transportem - dodał i pokręcił głową.

- Ależ skąd - odparła pogodnie. - Wystarczy tylko drobna reorganizacja. No, może nie taka

drobna. Przede wszystkim trzeba wypakować wszystkie tomy.

Popołudniu zjawił się major i zastał Zelę w otoczeniu licznych stert książek.

- Wygląda na to, że jest pani w swoim żywiole - zauważył.

- Jestem. - Uśmiechnęła się z ulgą, słysząc jego przyjacielski ton. - To reszta zbioru z Lydcombe Park, najstarsze z całej kolekcji. Znalazłam tu wyjątkowo dużo tekstów klasycznych, także w grece i po łacinie.

- Potrafi pani je przeczytać?

- Znam trochę oba języki, ale w niewystarczającym stopniu, aby dać sobie radę z literaturą. Trzeba by zanieść te książki do pana Netherby'ego, by je przetłumaczył.

- Niech spojrzę...

Major usiadł obok Zeli i oboje zabrali się do odcyfrowywania tytułów. Doskonale się przy tym bawili i zapomnieli o bożym świecie do momentu, w którym zegar wybił godzinę.

- Wielkie nieba, muszę pędzić! - zawołała Zela. - Dzisiaj wieczorem są tańce. Maria będzie się niepokoiła. Prawdę mówiąc, zastanawiam się, czy nie wolałabym zostać tutaj, w bibliotece, i posłeczeć jeszcze trochę nad tymi tekstami. Ten dom sprawia, że

zmieniam się w odludka. Nie, panie majorze, proszę się nie przejmować, tylko żartowałam. Tak naprawdę pragnę podziękować panu za pomoc.

- A zatem na jedną noc zostanie pani damą?

Zela natychmiast się zjeżyła.

- Pracując tutaj, również jestem damą, panie majorze. - Wstała i zamknęła księgę.

- Naturalnie. Jaką suknię pani włoży i z kim będzie tańczyła?

- Włożę cytrynową kreację z jedwabiu, a co do tańców... - Roześmiała się radośnie. - Cóż, zatańczę z każdym, kto mnie poprosi.

Zela wyszła, a w Rooks Tower zapanowała głucha cisza. Dominic zwykle nie zwracał na to uwagi, ale tego wieczoru był niespokojny, co wyjątkowo rzadko mu się zdarzało. Drażniła go, kiedy paplała o towarzystwie, ludziach i o jego obowiązkach wobec sąsiadów. Na dodatek miała czelność przekomarzać się z nim i nazywać go odludkiem. Jednak jej impertynencja sprawiała, że mimowolnie się uśmiechał.

W końcu zamknął się w gabinecie i usiłował czytać, ale litery skakały mu przed oczami, więc wstał i zaczął chodzić od ściany do ściany. Może jednak powinienem zajrzeć na te tańce,

pomyślał. W końcu zjawią się tam wszyscy miejscowi, z którymi mógłbym omówić to i owo, kilka drobnych spraw.

Zdecydowanym krokiem wymaszerował z pokoju i wkrótce postawił na nogi całą służbę, zarządzając wcześniejszą kolację i posyłając Graddona po buty do tańczenia.

Przestronna sala w White Hart w Lesserton była wypełniona po brzegi. Wszyscy goście bawili się doskonale. Przybycie sir Oswalda Evanshawa zaskoczyło niektórych obecnych, a wielu zirytowało. Nie brakowało też wrogich spojrzeń, którymi obrzucono sir Oswalda, jednak większość ludzi po prostu go zignorowała, nie chcąc zatruwać waśniami pogodnej atmosfery.

Zela tańczyła z młodym farmerem, który nagle z trudem stłumił okrzyk zdumienia. Zaskoczona, podniosła głowę i ujrzała na progu sali Coale'a. Chociaż nie miał na sobie munduru, stał idealnie wyprostowany, jak na byłego żołnierza przystało. Miał ponurą minę, ale Zela wiedziała, że w ten sposób broni się przed badawczymi spojrzeniami. Pan Eldridge, który pełnił funkcję mistrza ceremonii, ukłonił się majorowi, dając mu do zrozumienia, że jest mile widziany.

Natychmiast po zakończeniu tańca Zela pośpieszyła do szwagra.

- Chciałabym, żebyś podszedł do majora Coale'a i go powitał, Reginaldzie - powiedziała. - Z pewnością czuje się niezręcznie i obco w nieznanym sobie towarzystwie.

- Do diaska, Zelo, przecież ledwie go znam. Jeśli Coale chce zostać przedstawiony obecnym, to powinien zgłosić się do Eldridge'a.

- To ty jesteś jego krewnym, Reginaldzie. - Lekko go popchnęła. - Poza tym doskonale znasz wszystkich gości, więc lepiej się nadajesz do przedstawienia majora jego sąsiadom. Proszę cię, Reginaldzie, zrób to.

- No dobrze, pójdę i zamienię z nim słowo.

Zela musiała się tym zadowolić. Ponownie weszła na parkiet, ale myślami przez cały czas powracała do majora. Widziała, jak rozmawiał z Reginaldem, i ulżyło jej, kiedy dołączyło do nich kilku dżentelmenów. Z satysfakcją powiodła wzrokiem za całą grupą, gdy przechodziła do pokoju karcianego.

Po kilku tańcach z radością zauważyła, że major Coale porzucił karty i zdecydował się zatańczyć z panią Eldridge.

- Przyszedł pan - powiedziała do niego

z uśmiechem, gdy zbliżyli się do siebie na parkiecie.

- Owszem.

Chciała go spytać, czy dobrze się bawi, ale nie było na to czasu, gdyż została poproszona do walca przez kolejnego partnera. Major zaprosił do tańca jeszcze dwie inne panie, starszawe matrony, i Zela nagle uświadomiła sobie, że unikał młodych dam, które zerkały na niego dyskretnie i chichotały, kiedy znajdował się w pobliżu. Ich nieczułe zachowanie ją irytowało, ale nic nie mogła na nie poradzić.

Dominic przystanął pod jedną ze ścian i uśmiechnął się do siebie, obserwując tancerzy. Wszyscy pragnęli zawrzeć z nim znajomość lub ją zacieśnić, ale bynajmniej nie dlatego, że jego ojcem był wicehrabia. Miejscowi chcieli lepiej poznać go jako sąsiada i właściciela ziemskiego.

W sumie major zaliczył ten wieczór do udanych i musiał przyznać rację Zeli - takie spotkania były dobrym sposobem na utrzymywanie kontaktu z sąsiadami.

Gdy podszedł do niego sir Oswald Evanshaw, Dominic odpowiedział skinieniem głowy na jego ukłon.

- Dobry wieczór, panie majorze. Dziwne, że



pana tu spotykam, biorąc pod uwagę pańską...  
- Zerknął na oblicze Dominica i opuścił wzrok na parkiet. - Jak się pan bawi? Raczej trudno porównać te tańce z londyńskimi, prawda? No cóż, tak czy owak, wypada się pokazać.

Dominic odsunął się nieco, kiedy sir Oswald porozumiewawczo trącił go łokciem w bok.

- Widziałem, że pan tańczył - ciągnął niezrażony sir Oswald. - Muszę przyznać, że jest pan odważniejszy ode mnie. Nie miałbym śmiałości zbliżyć się do tych smoczyc z obawy, że mnie pożą.

- Prędzej ominą pana szerokim łukiem - zauważył Dominic.

- Ma pan rację, naturalnie. Chodzi o tę piekielną sprawę sądową. Zrobili ze mnie łotra co się zowie.

- Trudno ich winić. Od lat wypasają zwierzęta na tych polach.

- Wiem - przyznał z westchnieniem sir Oswald. - Powbijali sobie do głów, że mogą korzystać z mojej ziemi, ale tak nie jest. Im wcześniej to do nich dotrze, tym lepiej. Opłacili nawet londyńskiego prawnika, żeby ich reprezentował podczas przyszłotygodniowego przesłuchania. Postępują nieroztropnie i mam nadzieję, że poprze mnie pan, panie majorze.

Dominic popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Prickett Wood to nie moja sprawa, proszę pana - odparł stanowczo.

- Może nie bezpośrednio, ale nigdy nie wiadomo, kiedy ci ludzie zwrócą się przeciwko panu i zaczną sobie rościć prawa do pańskich gruntów. Byłoby dobrze, gdyby wiedzieli, że pan mnie wspiera.

Sir Oswald się uśmiechał, ale w jego bladych oczach nie było ciepła ani sympatii.

- Nie wiem nic o tym sporze - podkreślił Dominic - i nie rozumiem, dlaczego tak pan się przejmuje, skoro ziemia jest podobno pańską własnością, i to w świetle prawa.

Sir Oswald przygryzł wargę.

- Niechże pan przynajmniej powie, że nie dołączy do wieśniaków - odezwał się po chwili.

- Wystarczy, że Buckland udziela im wsparcia. Rozumiem, że chłopstwo toczy ze mną boje, ale Buckland? Przecież to dżentelmen, do kroćset! Przez niego spóółstwo myśli, że ma jakieś szanse.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, sir Oswald skinął szybko głową i przeszedł do pokoju karcianego. Dominic uznał go za nader odpychającego jegomościa i doszedł do wniosku, że wcale nie miałby nic przeciwko temu, gdyby odebrano mu sporne grunty.

- Pan major ma bardzo poważną minę. Czy na pewno dobrze się pan bawi?

Opuścił wzrok i ujrzał Marię Buckland. Siedziała na jednej z ławek, sącząc wino. Wziął kieliszek z tacy przechodzącego obok lokaja i usiadł obok.

- A jakże, proszę pani! Lepiej, niż zakładałem.

- Wobec tego bardzo się cieszę. Zawsze uważałam, że miejscowi są przyjacielscy i życzliwi. Zdumiała nas jednak pańska obecność na dzisiejszych tańcach. Jak zrozumiałam, powiedział pan Eldridge'owi, że nie planuje pan przybycia.

- To prawda, proszę pani - przyznał z uśmiechem. - Zostałem jednak... przekonany do zmiany zdania przez pani siostrę.

- Dobry Boże, mam nadzieję, że nie zachowała się niestosownie.

Dominic miał ochotę się roześmiać i powiedzieć prosto z mostu, co sądzi o Zeli, ale się powstrzymał.

- Nie, skąd - zaprzeczył. - W żadnym razie.

- Wie pan, panie majorze, kiedy tak sobie myślę o tym, że Zela spędzi całe życie jako guwernantka, naprawdę ogarnia mnie przygnębienie.

Dominic natychmiast się zjeżył. Znał ten ton

i wiedział, że nie wróży on nic dobrego.

- Doprawdy? - Postanowił jak najszybciej opróżnić kieliszek i odejść.

- Zela świetnie się zapowiada, prawda, panie majorze? - ciągnęła Maria.

- Wydaje się starannie wykształcona - odparł ostrożnie.

- Och, jest nie tylko wykształcona, ale i ma pierwszorzędne pochodzenie. - Maria ciężko westchnęła. - Wielka to szkoda, że jej urok osobisty i wszelkie inne walory nie są szerzej doceniane. Mogłaby przecież być doskonałą żoną...

Dominic zakrztusił się.

- Ależ proszę pani, czyżby to była propozycja matrymonialna?

- Wielkie nieba, panie majorze, źle mnie pan zrozumiał. Bynajmniej nie chodziło mi o to... - Maria położyła mu rękę na ramieniu, kiedy usiłował wstać. - Proszę mi wybaczyć. Rzecz w tym, że pan i Reginald jesteście spokrewnieni.

- To dalekie pokrewieństwo.

- Ale to dzięki Reginaldowi dowiedział się pan, że Rooks Tower jest na sprzedaż, prawda? - Pochyliła się ku niemu, nadal z pogodnym uśmiechem na ustach. - A zatem na coś się panu przydaliśmy. Dlatego pozwolę

sobie na szczerłość.

- Obawiam się, że była pani aż nazbyt szczerą.

- Nie, nie, proszę pozwolić mi wyjaśnić. Zela to urocza dziewczyna, ale nie może liczyć na przyzwoity debiut. Co prawda, nie brakuje jej dzisiaj partnerów do tańca, jednak musi pan przyznać, że spośród miejscowych nikt nie jest jej wart. Tymczasem w okolicy nie brakuje dobrych rodzin, jednak na takich zabawach nie bywa sir Arthur Andrews ani nikt od Conisbych czy Lulworthów. Dlatego Zela potrzebuje dobrodzieja, który wyprawi dla niej bal. Eleganckie przyjęcie z udziałem najlepszych rodzin w okolicy, by wszyscy się przekonali, jakim ona jest skarbem. - Maria westchnęła.

- Chętnie sama zorganizowałabym takie uroczyste spotkanie na jej cześć, gdyby to było możliwe. Był pan w West Barton, panie majorze, i doskonale pan wie, że nie dysponujemy odpowiednim zapleczem. - Wpatrywała się w niego z uwagą. - Jak mniemam, w Rooks Tower jest kilka sal balowych.

Dominic drgnął niespokojnie.

- Proszę pani, była pani ze mną szczerą, więc odwzajemnię się tym samym - powiedział. - Z przyjemnością przyznaję, że

jestem spokrewniony z pani mężem. Faktycznie, dowiedziałem się o Rooks Tower za sprawą wspólnego krewnego. Nie zamierzam jednak wyprawiać żadnego balu, ani dla panny Pentewan, ani dla nikogo innego.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, aż w końcu Maria skinęła głową.

- Reginald ostrzegł mnie, że pan się nie zgodzi, ale Zela ma o panu tak wysokie mniemanie, że postanowiłam spróbować - wyznała.

- Może pani zatem mieć czyste sumienie.

Roześmiana i zadyszana Zela wzięła Reginalda pod rękę i skierowała się wraz z nim na drugi koniec sali, tam, gdzie siedziała siostra. Natychmiast zauważyła przy niej majora.

- Na Boga, Zelo, ale mi dałaś do wiwatu! - wysapał Reginald. - Chyba muszę kapkę odpocząć. A ty co zamierzasz? Usiądziesz z nami czy raczej mam poszukać ci następnego partnera? Z kim chciałabyś teraz zatańczyć?

Nie spuszczała wzroku z Coale'a.

- Zatańczę z panem majorem, o ile on zechce - odparła śmiało.

Przez jedną chwilę obawiała się, że Coale odmówi, ale wyciągnął do niej rękę. Zela

uniosła wysoko głowę i powędrowała z nim na parkiet. Muzycy uznali, że gościom należy się chwila wytchnienia od żywiołowych tańców i zagrali spokojniejszy utwór.

- Jest pan doskonałym tancerzem - zauważyła z wdzięcznością.

- Dziękuję. Niegdyś sporo tańczyłem, ale już dawno temu wyszedłem z wprawy.

- Och, z pewnością przywykł pan do największych sal balowych. Pański brak wprawy to na tej skromnej zabawie niedościgniona perfekcja.

- Pani mi pochlebia.

- Bynajmniej. - Nagle spoważniała. - W tańcu nie doskwiera panu dawna rana.

- Nie wtedy, gdy tańczę z panią - odparł.

Drgnęła niespokojnie w jego objęciach, bo nagle zrobiło się jej gorąco.

- Dzisiejszego wieczoru tańczył pan już kilkakrotnie i...

- Skąd to pani wiadomo? - wszedł jej w słowo.

- Obserwowałam pana.

- To miłe. - Uśmiechnął się z sympatią.

Zela ponieważświe uświadomiła sobie, że ją przechytrył, i przygryzła wargę, by powstrzymać mimowolny uśmiech.

- Ja również tańczyłam, więc często się

mijaliśmy. Nie musiałam rozmyślnie wodzić za panem wzrokiem. – Starła się nie zmarszczyć brwi, kiedy zachichotał. – Wstyd, panie majorze, przeinacza pan moje słowa, aby zaspokoić własną próżność.

– Sama pani przeinacza swoje słowa. Jeśli o mnie chodzi, mówiłem bardzo mało.

– Może i tak, ale pana spojrzenie... – Roześmiała się bezradnie. – Bawi się pan moim kosztem, panie majorze. Czy tak flirtuje się w wyższych sferach? Obawiam się, że nie opanowałam tej sztuki.

Muzyka ucichła, Zela przesadnie dygnęła, a major wziął ją za rękę i pomógł się jej wyprostować.

– Zapewniam, że jest pani doskonała pod każdym względem, panno Pentewan – powiedział cicho, a następnie ucałował jej dłoń.

Gdy stało się jasne, że major Coale nie ogranicza się w tańcu wyłącznie do mężatek, otoczyli go rodzice z pannami na wydaniu i przez resztę wieczoru ani na moment nie opuścił parkietu. Zela szczerze się ucieszyła, gdy mimo to poprowadził ją do ostatniego tańca wieczoru.

– Z pewnością odzyskał pan wprawę, panie



majorze - zauważyła.

- Oddała mi pani niedźwiedzią przysługę, panno Pentewan - odparł z westchnieniem. - Odkąd zatańczyliśmy, borykam się z nadmiarem popularności.

- Proszę nie mówić, że to się panu nie podoba.

- Nie tańczyłem tak od... od powrotu z Hiszpanii.

- Zatem powinien pan częściej bywać na zabawach i balach. Takie rozrywki mają na pana zbawienny wpływ. - Gdy lekko zacisnął palce na jej dłoni, pokręciła głową. - Proszę ze mną nie flirtować, panie majorze. Nie dam się zbić z tropu. To oczywiste, że został pan zaakceptowany towarzysko i czuje się pan z tym komfortowo. Podjął pan słuszną decyzję, przychodząc na tańce, i cieszy mnie, że się do tego przyczyniłam.

- Czyżby postanowiła pani spełnić dobry uczynek i wyprowadzić mnie na prostą drogę?  
- zapytał bez urazy.

Uśmiechnęła się do niego.

- Ani trochę - zaoponowała. - Obecność na tańcach jednak ogromnie panu pomogła, nawet jeśli to była tylko skromna wiejska zabawa.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Poranne słońce zalewało jadalnię w Rooks Tower. Dominic odsunął pusty talerz i zaczął rozmyślać nad planem dnia. Naraz jego spojrzenie spoczęło na podwójnych drzwiach. Pod wpływem impulsu wszedł do zaciemnionego pokoju, a z niego do biblioteki.

Zela już pracowała i w lnianym fartuszkunajmowała się odkurzaniem książek. Gęste loki związała w kok z tyłu głowy, odsłaniając szczupłą szyję i małe, kształtne uszy. W niczym nie przypominała beztroskiej istoty, z którą tańczył poprzedniego wieczoru, choć nadal była powabna i interesująca.

- Nie sądziłem, że przyjdzie pani dziś do pracy - powiedział na powitanie. - A tymczasem, proszę bardzo, niezłomnie porządkuje pani książki, i to wcześniej niż zwykle.

Gdy się uśmiechnęła, odniósł wrażenie, że w całej bibliotece zrobiło się jaśniej.

- Nie mogłam spać - wyznała. - Czy to nie dziwne po całonocnych tańcach? Wybornie się bawiłam - dodała nieśmiało. - Mam nadzieję,

że i panu się podobało.

- Ogromnie. Czy w Lesserton często urządza się takie zabawy?

- Och, niestety nie. - Sięgnęła po następną książkę. - Ponoć następne tańce odbędą się dopiero po zbiorach.

Major postukał szpicrutą o cholewę, przypomniawszy sobie rozmowę z panią Buckland.

- O ile mi wiadomo, guwernantki nie chadzają na zabawy taneczne i bale, panno Pentewan - zauważył.

Uniosła brwi, zaskoczona jego uwagą.

- W istocie, to się raczej nie zdarza - przyznała.

- Co zatem pani robi, skoro uwielbia pani tańczyć?

- Będę musiała nauczyć moich podopiecznych podstawowych kroków. - Dokończyła odkurzenie książki i ostrożnie odłożyła ją na miejsce. - Czy przyszedł pan po to, by psuć mi poranek melancholijnymi myślami? Nie uda się panu. Nadal słyszę muzykę z ostatniego wieczoru.

Dominic również nie mógł o niej zapomnieć. Miał ochotę chwycić Zelę w ramiona i zawirować z nią po pokoju, wiedział jednak, że nie wolno mu tego zrobić. Flirt

w zatłoczonej sali to jedno, zalecanie się pod własnym dachem do pracownicy, to zupełnie co innego. Zacisnęła ręce na szpicrucie.

- W bibliotece nadal jest mnóstwo pracy, panno Pentewan - powiedział. - Niech nie utrudni jej wspomnienie o wczorajszych uciechach.

Okręcił się na pięcie i wymaszerował, a Zela w milczeniu powiodła za nim wzrokiem. Następnie z niesmakiem odrzuciła miotełkę do kurzu. Poranek był tak słoneczny i ciepły, że z wielką przyjemnością zabrała się do porządków. Tymczasem wystarczyło kilka słów majora, aby odebrać jej całą radość. Najpierw przypomniał o wyrzeczeniach związanych z pracą guwernantki, a potem niepotrzebnie mówił o tym, co ma robić. Jakby sama tego nie wiedziała.

Prychnęła gniewnie i podeszła do okna.

- Pokażę panu, panie majorze - wycedziła półgłosem. - Nie jestem jednym z pańskich zastraszonych żołnierzy, którzy musieli znosić pańskie humory.

Z determinacją wzięła się do pracy. Gdy po wielu godzinach powróciła do West Barton, padała z nóg, ale była zadowolona.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabym

towarzyszyć Reginaldowi w dzisiejszym wyjeździe do Lesserton – oświadczyła Maria dwa dni później przy śniadaniu.

Zela zerknęła na szwagra.

– Mówiłem jej, że to nie jest konieczne, ale się upiera – oznajmił.

Zela zauważyła, że lekko drżały mu ręce, kiedy przyjmował kawę od Marii. Wiedziała, że Reginald to spokojny człowiek i nie lubi konfrontacji.

– To naturalne, że Maria pragnie cię wspierać – powiedziała z przekonaniem. – Pojadę z wami. Jestem pewna, że major Coale pozwoli mi wziąć dzień wolnego.

Wybrali się do Lesserton powozem. Przesłuchanie zaplanowano w White Hart, w tej samej sali, w której odbyła się zabawa, tyle że teraz nie zdobiły jej girlandy, a parkiet zastawiono biurkami i ławkami. Przybyło mnóstwo ludzi, pomieszczenie zdawało się pękać w szwach. Maria szepnęła do męża, że musiało się tu zjawić całe Lesserton.

– Nic dziwnego – zgodził się Reginald. – Wszyscy przywykli do wypasania zwierząt na terenach zajętych przez sir Oswalda. – Rozejrzał się po sali. – Moja droga, chyba jednak wolałbym, abyś zaczęła na mnie na dole. Rozprawa może potrwać bardzo długo

i na pewno będzie miała gwałtowny przebieg. Chodź, znajdę ci spokojny pokój.

Maria zaoponowała, lecz dla Zeli było jasne, że siostra protestuje bez przekonania. Po chwili zeszli do saloniku na parterze. Tam Reginald zostawił obie damy i wyszedł na zewnątrz, gdzie miejscowi zebrali się wokół wysokiego poważnego dżentelmena w czarnej todze i peruce.

- To jest pan Summerson, prawnik z Londynu - wyjaśniła Maria, wyglądając przez okno. - Reginald konferował z nim wczoraj przez kilka godzin. - Przed wejściem do budynku zatrzymał się kolejny powóz i Maria cicho prychnęła. - A oto sir Oswald we własnej osobie. Ten jegomość o szczerowatym obliczu to jego adwokat. Patrz, jak uniżenie się kłania. Fuj.

Wkrótce wszyscy panowie przeszli na górę, a panie z niepokojem oczekiwały na rozstrzygnięcie sporu. Przesłuchanie stron trwało bite trzy godziny i dopiero po tym czasie ludzie wylegli na ulicę.

- Nie wydają się zachwyceni - zauważyła Zela.

- Jeszcze nie wszystko stracone - odezwał się Reginald, który stanął w drzwiach.

Z niewesołym uśmiechem poprowadził damy do stołu, na którym czekały już dzbanek z kawą i dzban z piwem. Gdy zostali w pokoju sami, Reginald pokrótce zrelacjonował przebieg rozprawy.

- Zasadniczo wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pan Summerson przywiózł dokument, w którym znajduje się opis ziemi wspólnej, a także wzmianka o tworzącym zachodnią granicę strumieniu. Opis pasuje do strumyka Lightwater, ciągnącego się od Rooks Ford do zachodniej części Prickett Wood. Myślałem, że wygraną mamy w kieszeni, ale człowiek Evanshawa zauważył, że równie dobrze może chodzić o rów, który przebiega wzdłuż skraju dzwonkowego lasu. - Reginald pokręcił głową. - Następnie Evanshaw zademonstrował mapę, z której jednoznacznie wynikało, że rów jest granicą.

- Fałszerstwo! - oburzyła się Maria.

- To bardzo prawdopodobne, moja droga, ale sir Arthur jest skłonny przyznać, że Prickett Wood i pastwisko na wzgórzu to własność sir Oswalda. Część starszych mieszkańców wsi twierdzi, że ich rodzice wspominali o kamieniu granicznym, jednak nikt z żyjących nie umiał wskazać jego miejsca. Człowiek sir Oswalda utrzymuje, że kamień usunięto przy okazji

poszerzania drogi na skraju dzwonkowego lasu.

- Dobry Boże. - Zela westchnęła. - Zatem chłopci przegrali. Nic dziwnego, że wydają się tacy przygnębieni.

- Niezupełnie. Sir Arthur nie jest w pełni przekonany, więc dał nam czas do końca czerwca na znalezienie dodatkowych dowodów, potwierdzających nasze racje.

- Czy do tego czasu sir Oswald ma udostępniać ludziom ziemię?

- Niestety, nie. Prawnik Evanshawa skutecznie się temu przeciwstawił. Sir Arthur nakazał usunięcie pułapek na ludzi, ale jednocześnie przyznał, że Evanshaw ma prawo zastrzelić każdego jelenia, który zabłąka się w jego lesie.

- Wygląda na to, że sir Arthur jest niemal całkowicie przekonany o przynależności ziemi do Lydcombe Park - zauważyła przygnębiona Zela.

- Skoro tak, to czy stać nas na dalszą walkę?  
- spytała rzeczowo Maria. - Wiem, że wszystkim było bardzo trudno znaleźć pieniądze na opłacenie prawnika, choć przyjechał zaledwie raz.

- Można zatrudnić kogoś miejscowego - podsunęła Zela, ale Maria nie wyglądała na



przekonaną.

- Niby tak, ale to i tak będzie bardzo kosztowne.

Reginald wziął żonę za rękę.

- Może powinienem był najpierw porozmawiać o tym z tobą, najdroższa, ale wiedz, że zobowiązałem się do poniesienia wszystkich kosztów następnej rozprawy. Jeśli zwyciężymy, to miejscowi zwrócą mi pieniądze. A jeśli przegramy... Wówczas przyjdzie nam zacisnąć pasa. - Poradzimy sobie, spróbujemy oszczędzać. Musimy zaryzykować.

- Co się stanie, jak chłopci stracą pastwisko na wzgórzu i prawo do korzystania z Prickett Wood? - zapytała Zela.

Reginald wzruszył ramionami.

- Wielu z nich nie uda się przeżyć. Część farmerów to nasi dzierżawcy, więc jeśli zabraknie im pieniędzy, nie zapłacą nam za użytkowanie gruntu i też będziemy stratni.

- W takim razie musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby tego uniknąć - zdecydowała Maria i popatrzyła na zegar. - Reginaldzie, zamów coś do jedzenia. Zaczekajmy jeszcze godzinę, a w drodze do domu odbierzemy Nicky'ego z lekcji.

Tego wieczoru Dominic wchodził do gospody w White Hart w wyjątkowo ponurym nastroju. Właśnie wracał z Exeter i szybko pokonał całą drogę, ale zaschło mu w gardle, więc postanowił zaspokoić pragnienie w Lesserton i dopiero potem wyruszyć do domu.

Zanim przekroczył próg gospody, postawił kołnierz i opuścił nisko kapelusz, żeby ukryć lewą stronę twarzy. Mimo to kilku miejscowych i tak od razu go poznało i ukloniło się na powitanie. Giles Grundy siedział na końcu ławy przy centralnie usytuowanym długim stole. Na widok majora natychmiast się przesunął, żeby zrobić mu miejsce. Dominic się zawahał, ale wiedział, że zachowałby się jak pospolicity gbur, gdyby to zignorował.

- Jak poszła dzisiejsza rozprawa? - spytał.

Giles odchrząknął, upił spory łyk z kufła i pokrótce zrelacjonował przebieg przesłuchania.

- Przegraliśmy z kretesem - burknął Abraham Judd, ponuro pykając fajkę na drugim końcu stołu. - Nawet londyński prawnik, co to go pan Buckland ściągnął, nie na wiele się zdał. Evanshaw powiada, że rów to strumień graniczny, a sir Arthur daje mu wiarę. - Odwrócił się i splunął w ogień. - Strumień! Powiadam wam, więcej wody jest w nocniku

niż w tym rowie i nigdy nie było inaczej!

Nagle umilkł i wbił wzrok w drzwi. Dominic wyczuł, że w gospodzie zapanowało napięcie. Obejrzał się i ujrzał na progu Millera, zarządcę sir Oswalda.

Zauważywszy wrogość miejscowych, Miller chciał się wycofać, ale po chwili namysłu podszedł do długiego stołu.

- Topicie smutki, co? - Wydał wargi. - Doszły mnie słuchy, że marnie wam dzisiaj poszło, więc ostrzegam, trzymajcie się z daleka od ziemi sir Oswalda.

- Nikt jeszcze nie powiedział, że to jego ziemia - odciął się Giles Grundy. - Zobaczymy za miesiąc.

- Tak czy siak, klamka zapadła - wycedził Miller. - Każdej nocy będę ze strzelbą patrolował okolicę, a moi ludzie też. A jak który z was wlezie na cudze, to go z przyjemnością trupem położymy.

- Wątpię, aby sir Arthur wyraził na to zgodę - odezwał się Dominic.

Gdy uniósł głowę, zarządca natychmiast go rozpoznał.

- Najmocniej przepraszam pana majora, ale tylko przekazuję wiadomość od sir Oswalda - powiedział. - Poza tym wolno nam strzelać do jeleni, no to niby jak mamy odróżnić

w ciemnościach, kto człowiek, a kto zwierzę?

- Jakżeś już przekazał tę swoją wiadomość, to się stąd zabieraj razem ze swoimi sługusami, bo nikt was tu nie chce - poradził mu Abraham Judd.

Miller skrzywił się, niechętnie uklonił Dominicowi i zaszył w kąciku z kuflem piwa. Mężczyźni przy stole popatrzyli po sobie.

- Póki co idzie wytrzymać - oświadczył jeden z nich - ale jak przyjdzie lato, nie obędzie się bez pastwisk. Jesienią trzeba będzie zbierać drwa. Pan major jest bardzo dobry, że pozwolił nam korzystać z ziemi, ale to nie wystarczy do przeżycia.

- W takim razie miejmy nadzieję, że znajdziecie dość dowodów i wygracie. - Dominic dopił piwo i wstał. - A teraz życzę wszystkim dobrej nocy.

Ruszył do drzwi i wyszedł na zewnątrz, lecz tuż za progiem wpadł na jakiegoś powłóczącego nogami nieszczęśnika, który upadł, klnąc na czym świat stoi. Dominic uśmiechnął się szeroko.

- Stary Robin - powiedział i podał leżącemu rękę. - Wstawaj, przyjacielu, a następnym razem patrz, dokąd idziesz.

Mężczyzna zionął zapachem piwa i cebuli.

- Pan major. - Robin czknął i zachwiał się na

nogach. – Muszę zwilżyć gardło...

– Powinieneś iść do domu, człowieku.

Robin prychnął.

– Taka nocka ładna, że się prześpię w lesie.

Dominic położył mu rękę na ramieniu.

– Zatem miej baczenie, gdzie się ułożysz do snu, bo Evanshaw rozesał uzbrojone patrole po Prickett Wood.

– Jaśnie pan major bardzo dobry, ale od maleńkości tropię jelenie w Prickett Wood i ani myślę przestać. Paru osiłków sir Oswalda to za mało, by mnie przegnać!

Skinął głową i zatoczył się do gospody, z głośnym śpiewem na ustach odbijając się od ścian.

Dominic pokręcił głową i poszedł po konia.

Idąc ku Rooks Tower, Zela wyczuwała w powietrzu zapach nadchodzącego lata. W bibliotece bez wahania otworzyła okna na całą szerokość.

Po drodze nie spotkała majora, więc doszła do wniosku, że jeszcze nie wrócił z Exeter. Ponieważ w pomieszczeniu panował zaduch, zrezygnowała z opróżniania ostatnich dwóch skrzyń, które stały w rogu. Zerknęła do nich wcześniej i wiedziała, że zawierają duże i ciężkie manuskrypty, których przenoszenie

wymagałoby sporego wysiłku. Usiadła za biurkiem i kontynuowała katalogowanie, aby uniknąć pracy fizycznej podczas skwaru.

Gdy zegar stojący na półce nad kominkiem wybił południe, ze zdumieniem podniosła wzrok. Nawet nie zauważyła upływu czasu. Nieruchome powietrze wydawało się ciężkie i duszące. Podeszła do podwójnych drzwi i je otworzyła, ale to nic nie dało. Okna w mrocznym salonie były pozamykane i panowała w nim nieprzyjemna wilgoć.

Zanim weszła do środka, chwilę nasłuchiwała, ale nie docierał do niej żaden dźwięk. Pootwierała okiennice i wszystkie okna, a na koniec rozejrzała się ze zdumieniem. W pokoju dominowały żółć i biel, sufit był bogato zdobiony stiukiem, a imponujący pozłacany kominek migotał w świetle słońca.

- Co, u licha, pani tu wyczynia?

Zela odwróciła się gwałtownie i ujrzała w drzwiach Coale'a. Jego oszpecona blizną twarz była biała z wściekłości. Milczała.

- Czekam na odpowiedź! - warknął.

- Nic takiego... Pomyślałam, że warto byłoby przewietrzyć trochę ten pokój.

- Wydałem jasne polecenie, by nie otwierać okiennic w tym pokoju. Nie cierpię go. Ten

salon to nie miejsce na beztrioskie uciechy.

- Ależ przeciwnie! - zawołała Zela i rozłożyła ręce. - Niech pan spojrzysz na te kolory i przestrzeń. Naprawdę nie wyczuwa pan atmosfery szczęścia i radości? To pokój dla roześmianych dzieci, dla miło... - Urwała w pół słowa.

- Dla miłości? - dokończył za nią z grymasem goryczy. - Jest pani stanowczo zbyt romantyczna, panno Pentewan. W przyszłości proszę ograniczyć się do biblioteki.

Odwrócił się i wymaszerował, a Zela zmarszczyła brwi. Nagle dostrzegła coś, na co dotąd nie zwracała uwagi: na filarach między oknami wisiały lustra, takie same zainstalowano idealnie naprzeciwko nich. W którąkolwiek stronę się obróciła, wszędzie widziała swoje odbicie.

- Wielkie nieba. Panie majorze! - Uniosła lekko spódnicę i za nim pognęła. - Proszę zaczekać!

Dogoniła go, gdy wchodził do gabinetu. Musiała wyciągnąć przed siebie ręce, aby nie zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

- Panie majorze, proszę mi wybaczyć - wyszeptęła.

Popatrzył na nią gniewnie, ale się nie cofnęła. W milczeniu podążyła za nim, kiedy po

krótkim wahaniu ruszył w głąb gabinetu.

- Nie rozumiałam, w czym rzecz, dopóki nie ujrzałam luster. - Stał odwrócony do niej plecami, wpatrując się w pusty kominek. - Przepraszam. Nie chciałam pana rozgniewać.

- To proszę wrócić i ponownie pozamykać okiennice.

- Czy to konieczne?

- Tak. Nie chcę patrzeć na swoją odrażającą twarz.

- Ależ nie jest odrażająca! - zaproponowała i ze złością chwyciła go za ramię, aby obrócić się ku niej. - Jest pan mężczyzną, żołnierzem z blizną na twarzy. Czy to aż taki problem? Przecież uczestniczył pan w zabawie...

- W chwili szaleństwa - przerwał jej.

- Traktowano pana z sympatią i z przychylnością. W istocie, jedna czy dwie osoby przeżyły wstrząs, bo wcześniej pana nie widziały, ale większość... Jest pan powszechnie szanowany.

- Jestem dziwolągiem.

- Niechże pan nie wygaduje głupstw! - zirytowała się. - Wielu ludzi zostało okrutnie potraktowanych przez los.

- Nie brakuje i takich, którzy stracili życie. Myśli pani, że o tym nie wiem? Za każdym razem, gdy spoglądam na swoją pooraną



twarz, przypominam sobie wszystkich dobrych ludzi, którzy ponieśli śmierć na polu bitwy. – Podeszedł do okna. – Odkąd znaleźliśmy się w Hiszpanii, nieustannie pisałem listy kondolencyjne do żon, ojców i matek. Moi towarzysze broni ginęli jeden po drugim i nadal umierają. Nie wiem, dlaczego ja mam żyć, skoro wszyscy wokół mnie polegli. Graddon postąpił głupio, przywożąc mnie z powrotem. Powinien był mnie zostawić, żebym umarł jak inni w Cacabelos...

– Nie! – krzyknęła z taką mocą Zela, że odwrócił się ku niej ze zdumieniem. – Jak pan może mówić coś takiego! Każda śmierć jest tragedią, owszem, ale uratowanie komuś życia to szczęście. Czy to naprawdę takie złe, że blizny przypominają panu o poległych towarzyszach? Nie pan jeden ma złe wspomnienia. Może zamiast użalać się nad sobą przy każdym zwierciadle, powinien pan szczerzyć się, że walczył u boku tych dzielnych żołnierzy. – Podeszła bliżej i uniosła rękę, aby dotknąć blizny. – Te ślady wcale nie wyglądają okropnie.

Chwycił ją za nadgarstek i opuścił jej rękę. Znajdowali się tak blisko siebie, że wyraźnie widziała, jak długie i ciemne były jego rzęsy, jak ponętne miał usta. Wyobraziła sobie, że je

całuje, a on zapomina o swoich ranach...

- Posuwa się pani za daleko - ostrzegł ją chrapliwym, nieco niepewnym głosem.

W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć. Minęło mnóstwo czasu, odkąd była w ramionach mężczyzny, a w dodatku nigdy dotąd nie czuła takiego pożądania. Zwilżyła wargi, prowokując go do pocałunku.

Puścił ją tak nagle, że się zachwiała. Odwrócił się i potarł oczy. Z najwyższym trudem oparł się pokusie. Znał to spojrzenie, wiedział, czego pragnęła. Mógł ją osiąść, ale co potem? Sam fakt, że pracowała w jego bibliotece, wielu wydawał się skandaliczny. Gdyby uczynił z niej swoją kochankę, zbulwersowałby wszystkich sąsiadów i na zawsze zniszczył jej reputację.

- Bardzo przepraszam - powiedziała cicho. - Chyba... powinnam odejść. Najlepiej będzie, jeśli poszuka pan sobie innej bibliotekarki.

- Czy właśnie tego pani chce? - spytał, a ona pokręciła głową. Uświadomił sobie, że wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na jej reakcję. - Dobrze, w takim razie nie będziemy już o tym mówić. Niech pani wraca do pracy, panno Pentewan.

Z zakłopotaniem przestąpiła z nogi na nogę.

- A co do salonu... Czy mogłabym nie

zamykać okiennic?

Uśmiechnął się pod nosem.

- Podziwiam pani upór - odparł. - Bardzo proszę, jeśli tego pani sobie życzy.

- Dziękuję. Oczywiście może pan nakazać usunięcie luster.

- Nie, zostaną. Pokój urządzone z myślą o nich.

Przyglądała mu się z uwagą.

- Czy przestanie pan przychodzić do biblioteki?

- Nie wiem - odparł po krótkim namyśle. - Przekonamy się...

Podszedł do drzwi, odwrócił się i popatrzył na nią pytająco. Zawahała się, ale podążyła za nim.

- Nie miałam pojęcia, że już pan wrócił z Exeter - odezwała się, gdy szli przez skąpane w popołudniowym słońcu pomieszczenie.

- Gdyby pani o tym wiedziała, nie wywróciłaby pani mojego domu do góry nogami, tak? - zauważył kąśliwie. - Zamówiłem dywan do biblioteki. Będzie pasował do wzoru na suficie. Mam nadzieję, że przypadnie pani do gustu.

Spojrzała na niego, przyjemnie zaskoczona.

Dominic przeciągnął się i przetarł oczy. Już od trzech dni spał spokojnie, jakby koszmary całkiem przestały go nawiedzać. Nie wątpił, że stało się to dzięki Zeli. Prowokowała go tak konsekwentnie, że w końcu wyrzucił z siebie wszystko, co leżało mu na sercu. Teraz czuł się oczyszczony i gotowy odbudować swoje życie, stawić czoło światu.

Zastanawiał się, jak ją wynagrodzić. Nie przyjęłaby pieniędzy, a nie chciał pozwolić, aby została guwernantką...

Małżeństwo! – olśniło go nagle. Maria Buckland już obmyśliła świetny plan. Teraz musiał tylko wprowadzić go w życie.

Następnego ranka różnym krokiem wmaszerował do biblioteki, przywitał się i jako człowiek czynu od razu przeszedł do rzeczy.

– Proszę przerwać na chwilę, panno Pentewan. Mam dla pani inne zajęcie. – Mówiąc to, chodził nerwowo po pokoju tam i z powrotem. – Chcę, żeby sporządziła pani listę wszystkich rodzin w hrabstwie. Naturalnie, myślę wyłącznie o osobach szlachetnie urodzonych.

Zamarła z uniesionym piórem.

– Mam sporządzić listę? – upewniła się. – Oczywiście, skoro pan sobie tego życzy.

- Tego właśnie sobie życzę, a lista ma być gotowa na jutro. Zapewne zechce pani skonsultować się z siostrą w kwestii wyboru odpowiednich nazwisk.

- Tak, chyba właśnie tak zrobię - odparła, szukając w sobie dość odwagi, żeby spytać o cel nowego zadania.

- Zamierzam wydać bal.

Zela upuściła pióro.

- Bal? - Pośpiesznie osuszyła kleks w rejestrze.

- Owszem. Teraz, kiedy otworzyliśmy duży salon, musimy zrobić z niego stosowny użytek. Przyjedzie moja siostra, która będzie pełniła rolę gospodyni. Już napisałem do niej w tej sprawie. Wraz z panią dokończymy listę zaproszonych, a potem napisze pani i roześle stosowne zaproszenia.

- A kiedy... kiedy ma się odbyć ten bal?

- Na Świętego Jana. Za trzy tygodnie.

- Zaledwie trzy tygodnie! - wykrzyknęła. - To bardzo mało czasu.

- Wiem, lecz nic na to nie poradzę. Już poprosiłem panią Graddon o przygotowanie pokojów gościnnych. Wyślę kogoś po niezbędne zakupy. Przy okazji proszę mi przekazać spis rzeczy, których pani potrzebuje. Otrzyma je pani możliwie szybko.

- Dziękuję. - Zeli kręciło się w głowie, gdy słuchała, jakie kroki poczynił już major.

- To chyba już wszystko - zakończył i potarł czoło. - A teraz muszę poszukać Phillipsa, aby go spytać, czy stary Robin już wrócił, żeby dokończyć prace w ogrodzie. - Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się w progu. - Proszę pamiętać o umieszczeniu także swojego nazwiska na liście zaproszonych. Pani wraz z siostrą i szwagrem będą moimi gośćmi na uroczystej kolacji poprzedzającej bal.

- Ja? Och, chyba nie mogę...

Popatrzył na nią chmurnie.

- Proszę zrobić to, o co panią poprosiłem, panno Pentewan. Skoro zadaję sobie tyle trudu, to i pani może się nieco wysilić!

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po powrocie do West Barton Zela nadal była oszołomiona i z ulgą opowiedziała o wszystkim siostrze.

- To chyba dziwne, prawda? - spytała. - Człowiek, który do niedawna unikał jak ognia wszelkich kontaktów towarzyskich, nagle wbił sobie do głowy, że wyda bal.

- Przed laty wiódł hulaszczę życie, więc to dla niego żadna nowość - zauważyła spokojnie Maria.

- Nie dalej jak kilka dni temu nie mógł patrzeć na swoje odbicie w zwierciadle. Zabraniał odsłaniać okna w dużym salonie.

- A ty wykazałaś mu, jakie to dziecinne. Masz na niego zbawienny wpływ, Zelo. Pomyśl, jak bardzo się zmienił, odkąd cię poznał.

- Nawet beze mnie otworzyłyby się na ludzi, ale żeby tak od razu urządzać bal... To bardzo nieoczekiwany pomysł!

- Wydawał się dobrze bawić podczas tańców. - Marii rozbłyły oczy. - Może ktoś podsunął mu ten pomysł.

- Być może... Co gorsza, upiera się, abym i ja przyszła na bal, a wcześniej mamy we troje

zjeść wspólnie z nim kolację. Prosił ci przekazać, że specjalnie dla ciebie i dzieci przygotowuje osobny apartament, bo wie, że nie możesz pozostawać zbyt długo z dala od niemowlęcia.

- To niesłychanie miło z jego strony. Nie spodziewałam się tego. - Maria zerknęła na siostrę. - Major Coale ma z pewnością bardzo wysokie mniemanie o tobie, moja droga.

- Chyba po prostu ceni moją pracę.

- Jesteś pewna, że tylko o to chodzi?

- Naturalnie. Co jeszcze może myśleć syn wicehrabiego o córce pastora? - odparła Zela pozornie lekkim tonem i z ulgą zauważyła, że Maria wydaje się przekonana.

- Cóż, przynajmniej zyskasz okazję, aby zaznajomić się bliżej z wyższymi sferami.

- Ale ja nie chcę się z nimi zaznajamiać - zaoponowała Zela.

- Dobrze ci to zrobi. Kto wie? Zjawi się wielu dżentelmenów, a wiadomo, że taniec to wstęp do czegoś poważniejszego, jak choćby do oświadczyn.

- Mario, doskonale wiesz, że to niemożliwe.

- Jestem innego zdania - oświadczyła Maria.

- Masz wiele przymiotów, których uczciwy mężczyzna poszukuje u żony.

- Ale na pewno nie u kobiety z moją



przeszłością. Czy chciałabyś, żebym oszukiwała uczciwego mężczyznę? - Zela przygryzła wargę i skierowała wzrok na twarz wyraźnie skonsternowanej siostry. - W ogóle nie powinnam iść na bal. Jestem kobietą upadłą, a jeśli ktokolwiek to odkryje, to...

- Nikt się o tym nie dowie - wpadła jej w słowo Maria. - Nikt spoza Cardinham nie wie, co ci się przytrafiło. Ba, nawet ja i Reginald nie znamy wszystkich szczegółów.

Nie, pomyślała ze smutkiem Zela. Nikomu nie opowiedziała o mężczyźnie, który skradł jej serce i cnotę. Powróciła myślami do tamtego błogosławnego lata. Była zakochana i sądziła, że on również ją kocha. Stłumiła westchnienie.

- No cóż, przynajmniej będę miała okazję się przekonać, czy ktoś nie potrzebuje guwernantki - powiedziała pogodniejszym tonem.

Dwa tygodnie przed balem przybyła siostra majora. Zela widziała z okna biblioteki, jak przed dom zajeżdża elegancki powóz podróżny, z którego wysiada wytworna ciemnowłosa dama w oliwkowej sukni i stylowym kapeluszu ze strusimi piórami. Major natychmiast wybiegł z domu na

powitanie siostry i chwycił ją w ramiona.

- Miło cię widzieć, Sal. Jak przebiegła podróż? - spytał.

- Była męcząca. Szkoda, że wszystkie drogi w Exmoor nie są tak wygodne jak ta, którą odnowiłeś. - Oswobodziła się z jego uścisku. - Hm, wyglądasz o niebo lepiej, Dom. Trudno cię poznać. Ostatni raz widziałam cię w Markham i przyszło mi do głowy, że nietrudno byłoby pomylić cię z niedźwiedziem. Poza tym przestałeś kuśtykać.

- Służy mi powietrze Exmoor - odparł z uśmiechem. - Wejź do środka. Napijemy się wina, a służba w tym czasie przeniesie bagaże.

Otoczył ją ramieniem i wprowadził do środka.

- A więc to jest twój nowy dom. - Spojrzała na wysoki sufit holu. - Imponujący w swojej surowości.

- Ta część budynku jest oryginalna, ale nie martw się, w sypialniach są wszystkie wygodny, łącznie z nowymi oknami, które nie grzechoczą w nocy. Później oprowadzę cię po dużym salonie i bibliotece. To stosunkowo niedawno wybudowane pomieszczenia. Na razie chodźmy do jadalni. Usiądziemy i spróbujemy wina.

Kontynuowali rozmowę w jadalni.

- Pisałeś, że wreszcie masz miejsce dla wszystkich swoich książek.

- Owszem. - Strzepnął pyłek z rękawa. - Znalazłem kogoś, kto zgodził się je uporządkować.

- Bardzo dobrze.

- To kobieta.

Sally o mało nie zakrztusiła się winem.

- Ty hultaju. Pewnie jakaś piękność.

- Niespecjalnie. Jest krewną Bucklandów. Zatrudniłem ją, bo mieszka w West Barton, więc nie musi tu nocować. - Uśmiechnął się. - Prawdę mówiąc, odwaliła kawał dobrej roboty, ale nie to jest teraz istotne. Musimy urządzić bal.

Wyjął sporządzoną przez Zełę listę nazwisk i wręczył ją Sally.

- Możesz dopisać Jaspera - powiedziała po chwili. - Przyjedzie, jeśli będzie mógł.

Dominic skinął głową. Miał ochotę spotkać się z bratem bliźniakiem.

- A co z Benem?

- Mój drogi mąż jest w Hiszpanii, a ostatnio pisał do mnie z Albuerry.

Dominic zaśmiał się smutno.

- Ach tak, nasze tak zwane zwycięstwo. Podobno ponieśliśmy potworne straty.

- Tak, wiem. To okropnie smutne. Mam nadzieję, że Ben jest bezpieczniejszy jako oficer wywiadu.

- Martwisz się o niego? - spytał nieoczekiwanie, kiwając głową.

- Naturalnie. - Oczy Sally się zaszkliły. - Chciałabym, żeby już wrócił.

Dominic poczuł ucisk w brzuchu.

- Masz pusty kieliszek, Sal - powiedział szybko. - Napijesz się jeszcze wina czy mam ci przedstawić bibliotekarkę? Obawiam się, że sobie pójdzie, jeśli teraz zechcesz się przebrać.

- Zaprowadź mnie do niej - postanowiła Sally. - Koniecznie chcę poznać kobietę, której powierzyłeś swoje bezcenne książki.

Mówiła lekkim tonem, ale jej zainteresowanie nieznaną pracownicą nie było udawane. Podążyła za bratem przez hol, spodziewając się ujrzeć zmię zastawiającą pułapkę na bogatego szlachcica lub ekscentryczną sawantkę. Na pewno nie oczekiwała szczupłej dziewczyny o brązowych włosach i złocistej skórze, która miała ona na sobie szarą sukienkę ze stójką, strój tak skromny, że niemal ascetyczny, a włosy związała w skromny kok na karku. Sally doszła do wniosku, że ta młoda kobieta robi

wszystko, byle tylko nie zwrócić na siebie uwagi żadnego mężczyzny.

- Dominic wspomniał, że doskonale pani sobie radzi - powiedziała, gdy się przywitały. - Doprawdy, nie wiem, dlaczego zebrał aż tyle literatury. Mam nadzieję, że wygospodaruje pani trochę czasu, aby pomóc mi w przygotowaniach do balu.

- Naturalnie, jeśli pani sobie tego życzy.

- Proszę zapewnić pani Hensley wszelkie konieczne wsparcie - polecił Dominic. - Biblioteka może poczekać do zakończenia balu.

- To bardzo miło z twojej strony, Dominicu. - Sally pochyliła głowę.

- Niezupełnie. Mam jeszcze mnóstwo roboty poza domem i nie będę mógł poświęcić ci tyle uwagi, ile bym pragnął.

- Ach, teraz rozumiem. Po prostu przerzucasz na kogoś swoje obowiązki, drogi braciszku. Dobrze, panno Pentewan, jutro zaczniemy od przejrzenia sporządzonych przez panią list i przekonamy się, ile osób odpowiedziało. Poczekamy z tym jednak do popołudnia, gdyż z rana chcę zostać oprowadzona po posiadłości. - Popatrzyła na Zelę. - Czy pani jeździ konno?

- Kiedyś jeździłam... W West Barton nie ma

jednak odpowiednich wierzchowców dla damy.

- Och, skoro tylko o to chodzi, chętnie zapewnię pani rumaka. Przyprowadziłam dwa własne konie pod siodło, bo Dom mnie ostrzegł, jak fatalne są lokalne drogi. Czy ma pani suknię do konnej jazdy?

- Tak, ale... - zaczęła Zela, ale Sally nie dopuściła jej do głosu.

- Zatem wszystko ustalone. Jutro jedziemy na przejażdżkę, o ile pogoda dopisze.

- Bardzo dziękuję za propozycję, ale obawiam się, że nie mogę z panią jechać. Jestem bibliotekarką...

- Do licha ciężkiego! - wybuchnął Dominic. - To ja pani płacę i ja decyduję o tym, kim pani jest!

- Nie jestem służącą! - oburzyła się Zela. - Jeśli uważa mnie pan za kogoś takiego, to niestety, muszę pana rozczarować. Pozwolę sobie natychmiast odejść.

- Dominic wcale tak nie uważa, panno Pentewan - oświadczyła szybko Sally. - Wstyd, braciszku, czyżbyś zapomniał tutaj o dobrych manierach?

Major zawahał się, ale przecząco pokręcił głową.

- Najmocniej przepraszam, panno Pentewan - rzekł. - Byłbym wielce zobowiązany, gdyby

zechciała pani towarzyszyć mojej siostrze w jutrzejszej przejażdżce. Chyba lubi pani jazdę konną?

- W istocie, lubię, ale nie mam na nią czasu.

- Nawet jeśli jest to po mojej myśli?

- Dominicu, nie zmuszaj panny Pentewan do czegoś, na co nie ma ochoty - odezwała się Sally, ale umilkła, kiedy machnął ręką.

- Bardzo proszę - dodał. - Chyba nie jest pani aż tak śpieszno do zakończenia pracy w mojej bibliotece?

- Nie... nie w tym rzecz - wyjąkała zaczerwieniona Zela. - Naprawdę nie uważam, żebym była odpowiednią osobą do...

- Moja droga panno Pentewan - przerwała jej Sally. - Zaręczam, że byłabym ogromnie wdzięczna, gdyby zechciała pani dotrzymać mi towarzystwa. Oderwę panią od pracy na nie dłużej niż dwie lub trzy godziny. Proszę się zgodzić.

- Pojechałabym z przyjemnością, ale to raczej niemożliwe. Musiałabym się potem przebrać, a jazda powrotna do domu, by zmienić suknię, zajęłaby mnóstwo...

- W takim razie niech pani zrobi sobie wolne - wtrącił Dominic. - Nie jestem aż takim potworem, żeby odmawiać pani każdej przyjemności.

- No proszę! - zatriumfowała Sally. - Jutro ma pani wolne, panno Pentewan!

- Moja droga, wydepczesz ścieżkę w dywanie!

Pełne rozbawienia słowa Marii sprawiły, że Zela przestała dreptać tam i z powrotem po salonie w West Barton i usiadła na krześle, jednak nadal co chwila wyglądała przez okno na podjazd.

Zaraz po śniadaniu włożyła suknię do konnej jazdy i teraz niecierpliwie wyczekiwała przybycia Sally Hensley. Nie mogła zaprzeczyć, że cieszy się na przejażdżkę. W Cardinham uwielbiała jazdę wierzchem na koniu spacerowym ojca i dlatego zabrała ze sobą strój jeździecki do West Barton. Maria wyjaśniła jej jednak, że musiała sprzedać swojego konia, bo i tak nie miałyby okazji pojeździć, póki mały Reginald nie podrośnie. Choć nie mówiono o tym głośno, było oczywiste, że w domu brakuje pieniędzy na takie luksusy.

Gdy Sally w końcu przybyła, Zela z radością wsiadła na piękną gniadą klacz.

- Ma charakter, ale jest posłuszna - wyjaśniła pani Hensley, spoglądając z aprobatą na wierzchowca. Sama dosiadała karego



ogiera.

- Cudowny koń - powiedziała z zachwytem Zela. - Jak ma na imię?

- Porcja. To z Szekspira - odparła Sally i zachichotała. - Dom i Jasper zabrali mnie na *Kupca weneckiego*. Wyjście z nimi do teatru było połową mojego prezentu urodzinowego. Drugą połową okazała się Porcja. To wspaniały wierzchowiec i może pokonać wiele kilometrów bez odpoczynku, ale potem mąż kupił mi Hebana. - Poglaskała konia po lśniącej czarnej szyi. - Biedna Porcja poszła w odstawkę.

- Moim zdaniem oba konie są równie wspaniałe - wyznała Zela, gdy wjeżdżały na drogę.

- Heban to prezent od mojego kochanego Bena. Kiedy ma się tak cudownego męża, każdy upominek od niego staje się bezcenny.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż - oznajmiła Zela. - Postanowiłam zostać guwernantką.

- Wielkie nieba! - zdumiała się Sally. - Nie wolałaby pani znaleźć sobie męża?

- Wolę zachować niezależność, niż związać się z niewłaściwym mężczyzną.

- I słusznie - przyznała Sally. - Ale gdyby mogła pani wyjść za dowolnie wybranego

mężczyznę? Za każdego, który wpadnie pani w oko?

Zela milczała. Nie chciała o tym nawet myśleć.

- Zbyt łatwo można dać się zwieść uroczemu mężczyźnie - powiedziała ostrożnie i zmieniła temat. - To dobrze odwodniona łąka, może trochę pogalopujemy?

Po kilkugodzinnej przejażdżce Zela utwierdziła się w przekonaniu, że Sally to przemiła i ogromnie przyjacielska osoba. Mimo to wolała konsekwentnie zwracać się do niej „pani Hensley”, by utrzymać stosowny dystans.

Zakończyły przejażdżkę jeszcze jednym galopem po łąkach i już miały zawracać, kiedy w oddali pojawił się samotny jeździec. Serce Zeli mocniej zabiło, gdyż od razu rozpoznała wyprostowaną sylwetkę i wielkiego siwego rumaka.

- Oto i mój brat - odezwała się Sally i pomachała Dominicowi. - Odprowadzi nas do domu.

Po chwili zbliżył się na tyle, że ujrzały jego twarz, na której wyraźnie malował się smutek.

- Czy coś się stało, panie majorze? - zapytała zaniepokojona Zela.

- Chodzi o starego Robina. Znaleziono dzisiaj

jego zwłoki. Leżał w Lightwater – wyjaśnił przygnębiony.

- Wielkie nieba...

- Co to za Robin? – Sally spoglądała to na Zelę, to na brata.

- To taki starszy człowiek ze wsi, który większą część życia spędził na wędrownościach po lasach – wyjaśnił Dominic. – Czasem pracował to tu, to tam, żeby zarobić trochę drobniaków. Wiedział wszystko o tych okolicach. Przydatny jegomość.

- Będzie nam go bardzo brakowało – dodała Zela, myśląc o Nickym. – Kto go znalazł?

- Wczesnym rankiem Buckland wyjechał z Gilesem Grundym, aby szukać dowodów, że Lightwater to rzeczka, o której mowa w dokumentach. Robin leżał w miejscu, gdzie strumień wpływa do Prickett Wood.

- Biedaczysko... – Zela zadrżała. – Jak długo...?

Major pokręcił głową.

- Nie wiadomo. Wieczorem w dniu przesłuchania natknąłem się na niego przed White Hart. Był wtedy pijany. Wygląda na to, że nikt go nie widział od tamtego czasu.

- Może wtedy doszło do tragedii – podsunęła Sally. – Pośliznął się, wpadł do wody i utonął. Smutna historia. Miał rodzinę?

- Siostrę. Buckland pojechał ją zawiadomić.
- Można coś zrobić w tej sprawie?
- Nic. Buckland i sir Arthur, miejscowy sędzia, trzymają rękę na pulsie. Pozwólcie, że odprowadzę was do domu.

W milczeniu jechali do Rooks Tower, a kiedy dotarli na rozstaje, Zela ściągnęła wodze.

- W tym miejscu pożegnam się z państwem - oznajmiła. - Muszę wracać do West Barton. Mój szwagier przyśle jutro kogoś z klaczą, jeśli sobie życzycie, albo też Sawley przyprowadzi ją jeszcze dzisiaj. - Popatrzyła na stajennego.

- Lepiej będzie, jeśli Dominic będzie ci towarzyszył - zdecydowała Sally.

- Ależ nie ma potrzeby! - zaprotestowała Zela.

- Poświęciłaś mi swój czas, więc przynajmniej tyle mogę zrobić, aby ci się odwdzięczyć - podkreśliła Sally. - Wspaniale spędziłam to przedpołudnie... Już wiem! Pozostaw swój strój do konnej jazdy w Rooks Tower. Kiedy przyjdzie nam ochota na przejażdżkę, przebierzesz się i wyruszymy. A potem włożysz swoją zwykłą suknię i wrócisz do pracy w bibliotece. Co ty na to, Dom?

- Myślę, że nie powinniśmy nadużywać

życzliwości panny Pentewan, Sal – odparł.

- Absurd. Przejażdżka ze mną sprawiła ci przyjemność, prawda, Zelo?

- Ogromną, niemniej...

- Zatem koniec dyskusji – przerwała jej Sally.

- Rankiem Dom przyśle po ciebie powóz, żebyś mogła zabrać wszystkie rzeczy. Zgoda?

Oszołomiona Zela zdołała tylko pokiwać głową, na co Sally uśmiechnęła się promiennie.

- Doskonale. A więc załatwione. A teraz odprowadź Zelę do domu, Dominicu. Powinnam pojechać z wami, lecz obawiam się, że wczorajsza podróż zmęczyła mnie bardziej, niż z początku sądziłam.

- Dobrze – powiedział Coale. – Weź ze sobą Sawleya, a ja pojedę z panną Pentewan.

- Będzie pani musiała powiedzieć Nicky’emu o Robinie – odezwał się w pewnej chwili Dominic, podczas gdy zmierzali do West Barton.

- Myślałam już o tym. Od rozpoczęcia nauki u pana Netherby’ego Nicky znacznie rzadziej spotykał się z Robinem, niemniej i tak bardzo się zasmuci.

- Czy mam iść do niego z panią?

Podniosła wzrok ze zdumieniem.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony, ale

poradzę sobie. - Uśmiechnęła się. - Przecież muszę się nauczyć rozwiązywania takich problemów, skoro mam zostać dobrą guwernantką.

- Nadal nosi się pani z tym absurdalnym zamiarem? - spytał obcesowo major.

- Naturalnie. Dlaczego miałabym zmienić plany?

- Jest pani zaproszona na bal. Niewykluczone, że pozna pani odpowiedniego dżentelmena...

- Nie chcę poznawać żadnych dżentelmenów - wypaliła Zela. - Nigdy nie będę mogła wyjść za mąż.

- Nie będzie pani mogła? - Popatrzył na nią uważnie. - A więc istnieje jakaś przeszkoda?

Ręce Zeli drgnęły, a Porcja nerwowo zastrzygła uszami.

- Nie... ależ skąd - zająknęła się, czując wypływający na policzki rumieniec. - Po prostu chcę zachować niezależność. - Nagle uniosła głowę, przypomniawszy sobie o liście, który przyszedł do niej poprzedniego dnia. - Prawdę mówiąc, otrzymałam już propozycję pracy w Bath. Muszę tylko dostarczyć referencje.

- Proszę nie oczekiwać ich ode mnie - oświadczył major. - Pracowała pani nienagannie, ale chyba pani nie sądzi, że

jakakolwiek godna szacunku rodzina zatrudni panią na podstawie rekomendacji kogoś mojego pokroju.

- Zatem znajdę innych, którzy napiszą mi referencje - powiedziała sztywno. - Nie mogę przegapić takiej okazji.

- Ale i tak przyjdzie pani na bal.

- Jeśli pan sobie tego życzy.

- Do diaska, to nie ma nic wspólnego z moimi życzeniami! - krzyknął gniewnie. - Ma pani przyjść i tańczyć. Ma się pani dobrze bawić, tak jak ostatnim razem.

- Nie może mi pan rozkazać, żebym dobrze się bawiła! - oburzyła się Zela.

- Mogę i właśnie to robię - odparł i nieoczekiwanie się uśmiechnął.

- Co za absurd, panie majorze - powiedziała, z trudem odrywając wzrok od jego uśmiekniętej twarzy. - Proszę nie zachowywać się arogancko.

Gdy dotarli do West Barton Dominic pierwszy zeskoczył z konia, chwycił Zelę i bezceremonialnie postawił na ziemi. Jej oczy znalazły się na wysokości jego warg i mimowolnie zastanowiła się, jak by to było, gdyby ją pocałował. Nagle zrobiło się jej gorąco i odsunęła się o krok.

- Na mnie pora. Dziękuję za wolny dzień,

panie majorze. Jutro będę pracowała ze zdwojoną siłą, żeby nadrobić zaległości. Jest jeszcze jedna skrzynia książek, którą muszę wypakować. To stare tomy, zapewne godne uwagi.

Mówiła bez sensu, ale nie chciała przestać z obawy przed milczeniem, które by między nimi zapadło. Unikając wzroku majora, szybko się ukloniła, zgarnęła spódnicę i pobiegła do domu.

Reginald jeszcze nie wrócił z Lesserton, więc Maria nie miała pojęcia o śmierci Robina. Nicky bawił z wizytą u kolegi ze szkoły, a kiedy wrócił, okazało się, że już wie o wszystkim. Smucił się, rzecz jasna, ale zgodnie z przewidywaniami Zeli lekcje i nowi koledzy pochłonęli go do tego stopnia, że się nie załamał. Gdy wieczorem zajrzała do jego sypialni, spał snem sprawiedliwego.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Odkąd Sally Hensley wprowadziła się do Rooks Tower, funkcjonowanie domu zmieniło się nie do poznania, a cała służba stawała na głowie, żeby spełnić jej polecenia związane ze zbliżającym się balem. Często też zabierała Zelę na długie spacery albo konne przejażdżki.

- Koniecznie musimy wykorzystać oranżerię, skoro jest już odnowiona - zdecydowała Sally przy okazji jednej z przechadzek po ogrodzie.

- Zostawiam to tobie, moja droga.

- W takim razie będą nam potrzebne lampy. Ładnie wyglądałyby kolorowe. Kilka mogłabym sama pomalować.

- Naprawdę? Cudowny pomysł, Zelo! Każę przenieść tam kilka posągów z innych pomieszczeń, a ty je rozstawisz wedle własnego uznania - postanowiła Sally. - I jeszcze coś. Będziemy musieli przerobić komnatę w wieży na sypialnię.

- Nie! - zaproponowała niemile zaskoczona Zela. - To chyba nie jest konieczne? Ten pokój jest... bardzo oddalony od pozostałych.

- Długo biłam się z myślami - przyznała z westchnieniem Sally. - Uwierz mi,

zaprosiliśmy tyle osób, że dom będzie pękał w szwach, a przecież muszę zachować wolny pokój dla Jaspera.

- Przeniosłam tam część rzeczy z biblioteki, kiedy powiedziała pani, że trzeba ją otworzyć dla gości - przypomniała Zela. - Mogę pracować w wieży, kiedy goście będą się kręcili po domu. W ten sposób nikomu nie wejdem w paradę.

Sally wzięła ją pod rękę i ruszyły dalej.

- Widzę tylko jedno rozwiązanie - powiedziała zamyślona.

- Tak? - Zela popatrzyła na nią z nadzieją.

- Przerobimy pokój w wieży na sypialnię dla ciebie.

- Jeśli tylko o to chodzi, możemy dostawić jeszcze jedno łóżko do apartamentu, który mają zająć Maria i Reginald.

- Nie, raczej nie. Z trudem wcisnęłam tam łóżko dla piastunki. Pozostaje tylko pokój w wieży. - Roześmiała się. - Nie rób takiej zboląlej miny. Chodzi o jedną noc. Na pewno nie masz nic przeciwko temu, że spędzisz ją w otoczeniu książek i rejestrów.

- Tyle zawracania głowy z powodu jednej nocy! Naprawdę nie powinnam uczestniczyć w balu.

- Nonsens. - Sally poklepała ją po dłoni. -

Będzie cudownie. A teraz chodźmy zdecydować, które posągi przeniesiemy do oranżerii.

Na trzy dni przed wyznaczonym terminem w Rooks Tower nikt nie mówił o niczym innym, tylko o balu, i jedynie Zela nie wydawała się zachwycona. Stanowczo odmówiła kupna nowej sukni, oświadczywszy, że nie zamierza tracić pieniędzy, skoro nigdy więcej jej nie włoży.

Katalogowanie księgozbioru wydawało się niemożliwe w takim chaosie, ale Zela starała się, jak mogła. Gdy następnego dnia przyszła do Rooks Tower, powiedziano jej, że pani Hensley pojechała do Lesserton i nie wróci przed wieczorem. W tej sytuacji Zela pośpieszyła do wieży, żeby nadrobić zaległości.

W zagraconym pomieszczeniu, do którego już wstawiono łóżko, Zela otworzyła na oścież wszystkie okna i z uśmiechem usiadła za biurkiem, żeby wpisać do katalogu kolejną partię książek. Właśnie opisywała ostatnią z nich, kiedy rozległ się stukot kroków na drewnianych schodach. Wiedziała, że to major Coale. Po chwili wkroczył do pokoju. Miał na sobie buty z cholewami, skórzane spodnie i ten

sam stary surdut, w którym ujrzała go pierwszy raz.

- A więc tutaj się pani ukrywa - obwieścił triumfalnie.

- Wcale się nie ukrywam. Biblioteka została przygotowana na jutrzejsze przybycie gości, a mnie bardzo dobrze się tu pracuje.

- Akurat.

- Naprawdę - odparła z uśmiechem. - Przynoszę po kilka książek, wprowadzam je do rejestru, a potem odkładam z powrotem na półki. To trwa nieco dłużej, ale nie będę przeszkadzała gościom.

- Hm. - Rozejrzał się i jego wzrok spoczął na łóżku. - Wielkie nieba, a cóż tutaj robi ten grat?

- Pani Hensley powiedziała, że to łóżko było ukryte gdzieś w zakamarkach domu. Jak rozumiem, poprzedni właściciele nie zabrali go ze sobą.

- To raczej budowniczy domu je porzucili, bo nikt go nie chciał. Dziwne, że nie wyrzucono tego truchła.

- Wstyd tak mówić, panie majorze - obruszyła się Zela. - Gdyby tak się stało, nie miałabym na czym spać.

- Pani tu będzie spać?

- Jak najbardziej. Spędzę tu noc po balu.

Pani Hensley panu nie wspominała?

- Ani słowem. Wykluczone. Ten pokój jest zbyt daleko od pozostałych, a poza tym brakuje tu miejsca dla pokojówki.

- Nie mam pokojówki.

- To nieistotne. Co Sal strzeliło do głowy, że ulokowała panią tutaj?

- Pani Hensley potrzebowała dodatkowego pokoju dla gości, a jeśli ktokolwiek miałby nocować w wieży, to tylko ja. - Wskazała ręką biurko. - Dla kogoś innego należałoby wszystko to usunąć. Proszę mi wierzyć, panie majorze, będzie mi tutaj bardzo wygodnie.

- Jak pani sobie życzy. - Wzruszył ramionami, jakby ten temat go znużył.

- Czy chciał pan ze mną rozmawiać?

- Hm? Nie, tylko sprawdzam, gdzie pani jest. Idę do lasu. Trzeba ściąć uschnięty buk, a Sally uznała za stosowne zagonić moich najlepszych pracowników do upiększania ogrodu przed tym przeklętym balem.

- Moja siostra uważa, że to będzie najwspanialsze wydarzenie w naszym hrabstwie - powiedziała Zela, aby go udobruchać.

- To ma mi poprawić samopoczucie?

- Naturalnie. Przecież po to urządza się bale. - Uniosła brwi w oczekiwaniu na

odpowieź.

- To tylko jednorazowe wydarzenie, panno Pentewan. Choć muszę przyznać, że rozmaite absurdy stały się moim chlebem powszednim, odkąd panią poznałem.

Wymaszerował sprężystym krokiem, a Zela westchnęła i powróciła do pracy.

W południe pani Graddon przyniosła jej kieliszek wina i kilka kromek chleba z szynką. Racząc się posiłkiem w samotności, Zela postanowiła wypakować ostatnie książki, aby zabrać skrzynię i w ten sposób nieco uporządkować pokój.

Wyjęła trzy egzemplarze, a gdy ostrożnie otworzyła jeden z nich, jej oczom ukazała strona tytułowa. Miała przed sobą pierwszy tom *Vitruvius Britannicus*. Nigdy nie widziała Lydcombe Park, ale słyszała, że to wspaniała posiadłość wybudowana w stylu palladiańskim. Wyglądało na to, że jej właściciel wybrał wzór architektoniczny z jednego z trzech tomów. Starannie odkurzyła księgę i sięgnęła po następną. Tym razem szmatka zahaczyła o kartkę wsuniętą między stronicę. Przeraziwszy się, że wyrwała poluzowaną kartkę, ostrożnie otworzyła książkę.

- Widziałeś majora Coale'a?! - zawołała Zela do zaskoczonego lokaja, którego ujrzała w holu. - Nie wiesz, czy już wrócił?

Służący odparł, że widział jaśnie pana dziesięć minut temu na trawniku przed stajnią. Nie tracąc ani chwili, Zela ruszyła prosto we wskazane miejsce.

Na podwórzu usłyszała skrzypienie pompy i bulgot, a po chwili dostrzegła majora, który trzymał głowę pod strumieniem wody. Po chwili wyprostował się i otrząsnął, rozpryskując krople na wszystkie strony. Zela patrzyła jak zahipnotyzowana. Był nagi do pasa i teraz wyraźnie widziała białą bliznę w miejscu cięcia szablą. Z przyjemnością przyjrzała się szerokim barkom i płaskiemu brzuchowi. Musiała przyznać, że mężczyzna, który odebrał jej cnotę, nie zrobił na niej tak dużego wrażenia.

Coale zamarł na jej widok. Nie miał pojęcia, co robiła na podwórzu. Wytarł się i cisnął ręcznik stajennemu, który sprawiał wrażenie rozbawionego całą sytuacją. Dominic natychmiast go odprawił, a w tym samym momencie Zela poczuła, jak na jej policzkach wykwitają rumieńce.

- Ja... przyszłam do pana.

- Oto jestem - oświadczył z irytacją, bo

opuściła wzrok. - Przykro mi, jeśli mój widok budzi pani odrazę.

Szybko włożył koszulę, która przyklepiła się do wciąż wilgotnej skóry.

- Nie, to wcale nie tak... - zaprotestowała, gdy dotarł do niej sens słów majora. - Wielkie nieba, proszę nie sądzić, że poruszył mnie widok blizny! Szczerze mówiąc, ledwie zwróciłam na nią uwagę.

Major dopiero teraz spostrzegł, że nie patrzy na niego z obrzydzeniem czy zgrozą, tylko z... pożądaniem. Od bardzo dawna żadna kobieta nie spoglądała na niego takim wzrokiem. Wyprostował się i odetchnął głęboko.

- Znalazłam coś w pokoju na wieży - kontynuowała Zela. - Dokument. Chyba powinien pan rzucić na niego okiem.

Dominic podniósł z ziemi kamizelkę i surdut, a następnie podszedł bliżej.

- Przyzwoitość nakazywałaby, żebym najpierw się ubrał, ale to chyba sprawa niecierpiąca zwłoki, skoro przyszła pani tutaj do mnie - zauważył.

- To prawda, musi pan zobaczyć to jak najszybciej.

- Czy na pewno zniesie pani jakoś ten, hm, nieodpowiedni strój?



Zela dostrzegła błysk rozbawienia w oczach majora.

- Nie jest moją sprawą to, jak się pan ubiera  
- odparła wyniośle.

- Może i nie - zgodził się z uśmiechem. - Ale i tak się przebiorę. Proszę mi dać pięć minut.

Zawahała się, ale ruszyła do domu.

Zela wróciła do pokoju w wieży, cały czas zdumiona swoją reakcją na widok rozebranego do pasa majora. Tylko raz w życiu zdarzyło się jej zapomnieć, ale wówczas sądziła, że jest zakochana. Romans zakończył się po jednej nieporadnej i niesatysfakcjonującej nocy, której konsekwencje okazały się katastrofalne.

Gdy tylko major stanął na progu, zerwała się z miejsca.

- Dzisiaj rano opróżniłam ostatnią skrzynkę książek z Lydcombe Park - powiedziała szybko, żeby pokryć zakłopotanie. - Znajdowały się w niej trzy tomy *Vitruvius Britannicus* Campbella.

- Sugeruje pani, że powinienem przebudować Rooks Tower na modłę palladiańską? - zakpił.

Posłała mu karcące spojrzenie.

- Istotne jest to, na co natrafiłam w drugim

tomie.

Ostrożnie otworzyła książkę, w której znajdowała się gęsto zapisana kartka pergaminu.

- To umowa sprzedaży Lydcombe Park. - Zela z trudem powstrzymywała entuzjazm.

- Ma już swoje lata. Jest datowana na tysiąc siedemset siedemdziesiąty dziewiąty rok.

- Wiem, ale szczegółowo opisuje wschodnią granicę parku. Proszę spojrzeć tutaj. Podkreślono w niej, że najdalszy punkt graniczny na wschodzie jest oznaczony głazem w Prickett Wood. W dokumencie przedstawionym podczas rozprawy pojawiła się wzmianka o kamieniu granicznym i wszyscy uznali, że chodzi o głaz, który znajdował się na dróżce przy dzwonkowym lesie.

- I został usunięty ponad pół wieku temu - dodał Dominic. - Co najmniej dwadzieścia lat przed sporządzeniem tej umowy.

- A zatem musi być jeszcze jeden kamień, w głębi lasu. Powinniśmy go poszukać. Gdyby udało się nam znaleźć ten głaz...

- Nie - przerwał jej. - Musimy postępować ostrożnie. Evanshaw może wiedzieć o kamieniu i dlatego skierował ludzi do patrolowania lasu. Te opryszki są uzbrojone

po zęby i mają rozkaz strzelać bez ostrzeżenia. Powinniśmy zanieść ten dokument Bucklandowi. Niech go przejrzy, a potem poprosi sir Arthura o zgodę na wszczęcie poszukiwań. – Ostrożnie zwinął pergamin i przewiązał go wstążką. – Sally zabrała moją dwukólkę, ale powinna wrócić lada moment. Kiedy się zjawi, pojedę z panią do West Barton, żeby przekazać umowę pani szwagrowi.

– Może zabiorę ją już teraz? – Zela przestąpiła z nogi na nogę. – Mogłabym pójść...

– Tak bardzo pani śpieszno do tego, żeby przekazać dokument Bucklandowi?

– Zapewne nie ma go teraz w domu, ale nie spocznę, póki pergamin nie trafi w jego ręce.

Dominic się zawahał, lecz pokręcił głową.

– To niedobry pomysł – powiedział. – Jest za gorąco na taki wysiłek. Lepiej będzie, jeśli panią odwiozę.

Miała ochotę obstawać przy swoim, jednak ugryzła się w język.

– Proszę o cierpliwość – dodał łagodnie. – Oberwałbym po uszach od pani bliskich, gdybym pozwolił pani wędrować pieszo w takim skwarze.

Zela wiedziała, że miał słuszość. Ponownie

popatrzyła na dokument.

- Chyba rzeczywiście nie byłoby mądrze iść już teraz - przyznała z westchnieniem. - Po prostu nie wyobrażam sobie, że w takiej sytuacji mogłabym jak gdyby nigdy nic zasiąść z powrotem do pracy.

Podniosła wzrok na majora i momentalnie uświadomiła sobie swój błąd. Dominic uniósł rękę i delikatnie pogłaskał Zelę po policzku.

- Znam dobry sposób na spędzanie wolnego czasu - powiedział cicho.

Opuścił wzrok na jej wargi, które mimowolnie zwilżyła językiem. Powinna była się cofnąć, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Coale przyciągał ją niczym magnes.

Pochylił się bardzo powoli i delikatnie pocałował ją w usta. Zela zamknęła oczy, niemal mdlejąc z pożądania, rozchyliła wargi i ich języki się zetknęły. Położyła dłoń na karku Dominica i przyciągnęła go bliżej. Teraz całował ją mocno i zachłannie, ona zaś przywarła do niego całym ciałem.

Zamrugnęła powiekami, kiedy po dłuższej chwili położył dłonie na jej ramionach i odsunął ją od siebie.

- Nie czujesz odrazy na widok mojej blizny?  
- zapytał niepewnie.

- Ależ nie - zaprzeczyła i jakby na dowód pogłaskała go po szramie na policzku, a potem przyciągnęła jego głowę i obsypała pocałunkami brew, policzek i szczękę, przez które przebiegała blizna.

Zaraz po tym niespodziewanie odepchnęła go i odwróciła wzrok.

- Ach, co ja robię? - jęknęła oszołomiona.

- Zelo...

- Proszę tak się do mnie nie zwracać! Dla pana jestem... muszę być panną Pentewan.

- Naturalnie - potwierdził niskim głosem. - Mogłem się tego domyślić. Pani tylko litowała się nade mną.

- Nie! - zaprzeczyła gniewnie. - To, co do pana czuję, nie ma nic wspólnego z litością.

- To dlaczego pani mnie odepchnęła?

Zela przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Wiedziała, że musi wyjawić prawdę.

- Obawiałam się, że jeśli natychmiast nie przestanę, już mi się to nie uda - wyznała. - Budzi pan we mnie uczucia, których dotąd nie znałam...

- Uczucia między kobietą a mężczyzną nie są niczym niezwykłym - zauważył łagodnie.

- Nie dla mnie. Nie mogę sobie pozwolić na taki luksus.

- To nie luksus, tylko błogosławieństwo. -  
Zacisnął palce na jej dłoniach. - Uwierz mi, nie  
pocałowałbym cię, gdybym nie sądził, że tego  
pragniesz. Widziałem, jak na mnie patrzyłaś  
na podwórzu.

Odsunęła się, oszołomiona i zakłopotana.

- To gładkie słówka, majorze. Widzę, że  
powrócił pan do dawnych obyczajów.

- Sądzisz, że traktuję cię jak zabawkę?

- Jak najbardziej, choć po części to moja  
wina. Niepotrzebnie przyszedłam tutaj pracować  
i zdałam się na pańską... łaskę.

- Coś podobnego. - Zaśmiał się z goryczą. -  
Wygląda na to, że jestem arcyłotrem.

- Takie pan sprawia wrażenie - potwierdziła.

- Kiedy robi pan posepne miny i się dąsa... -  
Urwała i przycisnęła dłonie do ust. - Nie  
powinnam była tego mówić. Przepraszam...

- A dlaczego miałabyś się hamować? Nie  
przeczę, że mam fizjonomię obwiesia.

- Nie o to mi chodziło.

- Doprawdy? Czyżbyś nie widziała we mnie  
nicponia? Nie uważasz mnie za groteskowego  
stworza, który cię osaczył i przyciąga do siebie  
wbrew twojej woli? Czy nie roztaczam  
złowrogiemu uroku?

- To nie tak... - Zrozpaczona, pokręciła  
głową. - Celowo przeinacza pan moje słowa.

Nie zostanę tutaj... Pójdę do domu i nigdy nie wrócę.

W tym samym momencie rozległ się donośny huk pioruna. Zela krzyknęła z przestraczem i przytuliła się do Dominica, który odruchowo ją objął.

- A zatem grom przeraża cię bardziej niż ja - zauważył półgłosem.

Zela oswobodziła się z jego objęć.

- Nigdy nie twierdziłam, że mnie pan przeraża - oświadczyła z godnością. - Po prostu chcę jak najszybciej opuścić ten dom... i pana!

Cichy stukot kropli deszczu nasilił się gwałtownie. Dominic zamknął okno.

- Oberwanie chmury - stwierdził. - Musimy poczekać, ale nie obawiaj się, nie będę narzucał ci swojej obecności. Gdy tylko powróci moja siostra, Sawley odwiezie cię do West Barton.

Okręcił się na pięcie i wymaszerował.

Przekłeta kobieta! - pomyślał. Czy naprawdę sądziła, że jestem z kamienia? Nie zamierzałem jej całować, ale wyglądała tak kusząco z zaróżowionymi policzkami i błyszczącymi oczami...

Tylko dlaczego tak bardzo boi się przyznać, że jest mną zainteresowana?

Sally wróciła dopiero po godzinie. Dominic wyszedł jej na powitanie, po drodze rozkładając parasol, ale gdy poinformował Sawleya, że trzeba przewieźć pannę Pentewan z powrotem do West Barton, stangret pokręcił głową.

- Nie tym zaprzęgiem, jaśnie panie - oznajmił. - Konie dowlekły z powrotem, ale nie chcę ich przemęczyć.

- Gdy wyjeżdżaliśmy z Lesserton, doszło do drobnego wypadku. - Sally wsparła się na wyciągniętej dłoni Dominica i zeskoczyła z dwukółki. - Koń doktora uciekł z kuźni i zaatakował. Kopnął jednego z naszych koni w udo.

- A drugi okulał - dodał Sawley. - Mógł dostać kopytem w pęcinę.

Dominic wręczył parasol siostrze i poszedł obejrzeć konia.

- To prawda - przyznał, delikatnie wodząc rękami po nodze zwierzęcia. - Pojawiła się opuchlizna.

- Tylko nie wiń Sawleya - poprosiła Sally na widok chmurnej miny brata. - Dobrze się spisał, dzięki niemu powóz się nie wywrócił. Możesz sobie wyobrazić, jaki zapanował zamęt. Dopiero czeladnikowi kowala udało się uspokoić biednego konia.



Dominic wyprostował się i wziął głęboki oddech.

- Zaprowadź konie do stajni i zajmij się nimi - zwrócił się do stangreta. - I każ zaprząć do dwukółki moje siwki. Sam pojedę do West Barton.

Kiedy Zela wyszła z budynku, ujrzała, że wodze trzyma major; pokrótce wyjaśnił jej, co się stało.

- Obawiam się, że Sawley musi zostać i zająć się końmi, a ja nie pozwolę powozić nikomu innemu - dodał, widząc jej wahanie.

Przez moment myślała, że to podstęp, ale Coale sprawiał wrażenie równie niezadowolonego co ona, więc szybko wsiadła do dwukółki.

- Ma pani dokument? - spytał niespodziewanie oficjalnym tonem.

- Tak. - Zademonstrowała zwinięty pergamin, który dla bezpieczeństwa otoczyła nieprzemakalną tkaniną.

Przez pewien czas jechali w milczeniu, ale napięcie między nimi stało się tak wyczuwalne, że Zela nie mogła już dłużej tego znieść.

- Panie majorze - odezwała się, nerwowo zaciskając ręce - to, co zdarzyło się wcześniej, jest w jednakowej mierze moją jak i pańską

winą. Wstyd mi, że mówiłam tak okropne rzeczy. To było niesprawiedliwe... i proszę o wybaczenie.

Coale w żaden sposób nie dał jej do zrozumienia, że usłyszał jej słowa. Zela zwiesiła głowę. A zatem nie chce mi wybaczyć, pomyślała, co nie powinno jej dziwić. Zamierzała go zranić i udało jej się to doskonale. Doszła do wniosku, że stosowną karą byłoby wyrzucenie jej z Rooks Tower.

- Moje zachowanie było naganne - oświadczył major, nie odrywając oczu od drogi.

Zela odetchnęła głęboko.

- Och, gdyby pan wiedział, jak bardzo chciałabym cofnąć swoje słowa!

- To nie jest możliwe, ale skoro oboje żałujemy tego, co zdarzyło się dzisiejszego popołudnia, to proponuję, byśmy o tym zapomnieli.

Opuściła wzrok.

- Postanowiłam, że już nie wrócę do Rooks Tower.

- To byłoby bardzo smutne. Czy naprawdę właśnie tego pani sobie życzy?

Zamrugnęła powiekami, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

- Ani trochę - wyznała cicho.

Oderwał rękę od wodzy i położył ją na złączonych dłoniach Zeli.

- W takim razie bądźmy przyjaciółmi, Zelo - zwrócił się do niej serdecznie.

- Sądzi pan, że to możliwe?

- Mam paskudny charakter, moja droga, ale jeśli nie przerażają cię moje posępne miny i dąsania...

- Nie przerażają i nigdy nie przerażały.

- W takim razie myślę, że i owszem, możemy się przyjaźnić.

Zacisnęła dłonie na jego palcach.

- Bardzo bym tego chciała, panie majorze - szepnęła nieśmiało.

- Dominicu.

- Dominicu. - Z przyjemnością wypowiedziała jego imię.

Słońce wyjrzało zza chmur i Zela poczuła, że odzyskuje dobry humor. Kiedy więc Coale napomknął o nadchodzącym balu, odparła całkiem spokojnie:

- Cieszę się, że zostałam zaproszona. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać.

- Czy zarezerwujesz dla mnie choć jeden taniec?

- Ile tylko zechcesz - odparła bez zastanowienia. - Raczej nie grozi mi nadmiar partnerów. Prawie nikogo nie znam z grona

zaproszonych gości.

- Nie doceniasz się, moja droga.

Minęli bramy West Barton. Przed drzwiami frontowymi stał zamknięty powóz.

- Przybywamy w samą porę - zauważyła Zela. - Reginald jest już w domu. W ten sposób będziesz mógł osobiście przekazać mi dokument.

Dominic zatrzymał zaprzęg, a stajenny natychmiast podbiegł, żeby przytrzymać siwki. Zela zwinnie zeskoczyła i wygładzając suknię, zerknęła w kierunku powozu, przed którym jej szwagier czekał na wysiadającego ostrożnie dżentelmena.

- Reginald przywiózł gościa - powiedziała i wręczyła manuskrypt Dominicowi. - To bez znaczenia, i tak możesz mi przekazać umowę. Sprawa jest nazbyt ważna, żeby czekać i jestem pewna, że...

Słowa utkwily jej w gardle. Modnie ubrany jegomość u boku Reginalda uśmiechnął się i uchylił kapelusza.

- Moja droga Zelu - powiedział - jakże miło znowu cię widzieć.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Nie protestowała, kiedy przybysz uniósł jej dłoń i złożył na niej pocałunek, przytrzymując znacznie dłużej, niż nakazywałyby przyzwoitość. Gdy podniósł wzrok i popatrzył w oczy Zeli, nagle powróciła myślami do dawnych czasów. Znowu miała osiemnaście lat, była nieporadna i skrępowana. Stojący obok niej Dominic niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę, a wtedy nerwowo oswobodziła dłoń i skinęła głową.

Reginald promieniał.

- Moja droga - oświadczył z entuzjazmem - patrz, kogo spotkałem w White Hart. Panie majorze, oto pan Timothy Lerryn. Jego ojciec jest ziemianinem w Cardinham, rodzinnym mieście mojej żony.

Timothy powiódł wzrokiem po bliźnie na twarzy Coale'a, lecz ani na moment nie przestał się uśmiechać.

- Jadę do Bristolu i w drodze przyszło mi do głowy, że nie od rzeczy byłoby odwiedzić panią Buckland w West Barton - wyjaśnił. - Kiedy Reginald powiedział mi, że zatrzymała się tutaj

panna Zela, nie mogłem uwierzyć we własne szczęście.

Wzdrygnęła się mimowolnie, a szwagier zarechotał i poklepał go po ramieniu.

- Nie było wyjścia, musiałem go zaprosić na kolację. Panie majorze, pan również jest mile widziany, jeśli tylko ma pan chwilę.

- Dziękuję. Niestety, nie mogę zostać. Przyjechałem tylko po to, aby przekazać panu ten dokument. - Wręczył Bucklandowi manuskrypt. - Ma on związek ze sporem w sprawie podziału gruntów. Panna Pentewan zna szczegóły sprawy i wszystko objaśni.

Reginald zainteresował się żywo.

- Inny dokument? To może być ważne. Zapraszam do gabinetu, muszę poznać szczegóły. Stajenny zadba o konie. Lerryn, nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zostawię cię z Zelą?

- Przeciwnie. - Wyciągnął do niej rękę. - Znamy się od tak dawna, że z przyjemnością spędzę z nią chwilę sam na sam.

Zela chciała zaprotestować, ale Reginald pośpiesznie odciągnął Dominica. Lerryn zatopił w niej spojrzenie błękitnych oczu.

- Nie zmieniałaś się ani na jotę - oznajmił.

Wcześniej pomyślała to samo o nim, ale teraz dostrzegła, że minione cztery lata przydały mu

centymetrów w pasie i drobnych zmarszczek w kącikach ust oraz oczu.

- Czego tu szukasz? - rzuciła nieżyczliwie.

Popatrzył na nią z wyrzutem.

- Przyjechałem do ciebie. Doszły mnie słuchy, że bawisz z wizytą u siostry.

Niegdyś te słowa zachwyciłyby ją i oddałyby wszystko, żeby je usłyszeć. Teraz jednak wydeła wargi z oburzenia.

- Nie mamy sobie nic do powiedzenia - wycedziła.

- Jak możesz tak mówić? - Podążył za nią do pustego holu. - Nie pamiętasz, ile dla siebie znaczyliśmy?

Zatrzymała się gwałtownie.

- Nikt tutaj o tym nie wie! - syknęła. - Życzę sobie, żeby tak pozostało.

- Niczego się nie dowiedzą. Nie zamierzam postawić cię w kłopotliwej sytuacji, Zelo. Chciałem tylko spotkać się z tobą. - Ściszył głos. - Tęskniłem.

- Jesteś żonaty.

- Popełniłem błąd. Teraz to widzę.

Odwróciła się tyłem.

- Zaprowadzę cię do mojej siostry, zjesz kolację, ale potem musisz zniknąć, rozumiesz?

Z wysoko podniesioną głową wprowadziła go do salonu. Maria właśnie czytała książkę

Nicky'emu, ale umilkła, kiedy weszli. Z uprzejmą, choć nieco zdumioną miną wysłuchiwała wyjaśnień Timothy'ego. Było oczywiste, że przyczyny jego przybycia nie wydają się jej przekonujące.

Zela dygnęła i poszła się przebrać. Miała nerwy w strzępach i spodziewała się kłopotów. Zwlekąca najdłużej, jak mogła, ale kiedy wróciła do salonu, ze zdumieniem ujrzała Coale'a, który właśnie sącył wino. Widok Dominica pogrążonego w rozmowie z Lerrynem dodatkowo wytrącił ją z równowagi.

- Moja droga Zelo... panno Pentewan - poprawił się natychmiast Timothy, ruszając prosto ku niej. - Twój szwagier właśnie przybliżył mi szczegóły sporu w Lesserton. Jak rozumiem, odegrałaś kluczową rolę w odnalezieniu dokumentu, który zapewne przechyli szalę zwycięstwa na stronę chłopów.

- Taką mam nadzieję.

Chciała odejść, ale ujął ją pod łokieć.

- Czy mogę odprowadzić cię do krzesła?

Szybko oswobodziła rękę. Upewniwszy się, że Maria i Reginald są zajęci rozmową z Dominikiem, podeszła do oszklonego wykuszu, gdzie nikt nie mógł usłyszeć jej słów.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię - zaczęła. - Nie



jestem ci ani trochę droga i nie zamierzam odświeżać naszej znajomości. Życzę sobie, żebyś wreszcie znikł z mojego życia na dobre.

- Bardzo przykro mi to słyszeć.

- Doprawdy? Chyba powinieneś być zadowolony, że układam sobie życie sama. Bez ciebie.

- A tak, twoja siostra powiedziała mi, że pracujesz dla majora Coale'a jako jego bibliotekarka. Czy na pewno przemyślałaś tę decyzję?

Wpatrywała się w niego zimno.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Mam na myśli twoją... przeszłość.

Z trudem stłumiła gniew, kiedy posłał jej wymowne spojrzenie.

- Tutaj nikt nic nie wie na temat mojej przeszłości, jak to ująłeś, a moja praca w Rooks Tower jest jak najbardziej przyzwoita i godna szacunku - oświadczyła dobitnie.

- Ludzie mogliby dojść do innego wniosku, gdyby poznali prawdę o tobie.

- Ale jej nie poznają - wycedziła. - Chyba że...

Przyłożył rękę do serca.

- Moja droga Zelo, nie zamierzam mówić ani słowa. - Chciał ująć jej dłoń, ale się cofnęła. Zmrużył oczy. - Naturalnie, jeśli będziesz mi

nieżyczliwa, coś może mi się mimowolnie wymknąć.

Stał z wyciągniętą ręką i wyzywająco patrzył na Zelę tak długo, aż podała mu dłoń, którą przycisnął do ust.

- No proszę, nie było tak źle, prawda? - szepnął - Dopóki będziesz dla mnie miła, nikt nie pozna twojego sekretu.

Uniosła brodę.

- Mówisz o naszym wspólnym sekrecie - podkreśliła. - Jeśli go zdradzisz, skompromitujesz również siebie.

- To prawda. - Mocniej zacisnął palce. - Dobrze jednak wiesz, że reputacja mężczyzny może przetrwać niejeden skandal, za to kobieta traci dobre imię na zawsze.

Zela zmrużyła oczy, powstrzymując ostre słowa. Lekko skinęła głową i odeszła.

Nie miała ochoty dołączać do pozostałych, więc stanęła przy fortepianie pod pretekstem uporządkowania nut. Wkrótce podszedł do niej Dominic, niosąc dwa kieliszki wina.

- Wyglądasz na wytrąconą z równowagi - zauważył, wręczając jej kieliszek. - Przepraszam, jeśli nie chciałaś, żebym został. Pragnąłem jedynie złożyć wyrazy uszanowania twojej siostrze i sprawdzić, jak się miewa Nicky.

- Twoja obecność w niczym mi nie przeszkadza. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Boli mnie głowa.

Przeniosła spojrzenie na Tima Lerry, który do nich dołączył. Nie przestawała się uśmiechać, choć ani trochę nie podobała się jej bliskość tego człowieka.

- Biedna Zela zawsze bała się piorunów - odezwał się Lerry. - Dzisiejszego popołudnia rozpętała się wyjątkowo gwałtowna burza, prawda? Teraz jednak się przejaśnia i mam nadzieję, że przez resztę mojego pobytu pogoda będzie dopisywała.

- Jak długo zabawi pan w Lesserton? - zapytał Dominic.

- Och, co najmniej kilka dni. Cieszę się, że spotkałem starych przyjaciół. Mamy sobie sporo do opowiedzenia, czyż nie, moja droga?

Poczuła, jak jej policzki płoną. Nie cierpiała jego poufalego tonu, wprowadzał ją w zakłopotanie.

- Obawiam się, że jutro nie będę miał okazji nacieszyć się ich bliskością - ciągnął Timothy.

- Od pani Buckland wiem, że cała rodzina wybiera się na letni bal u pana majora. Oby tylko nie padało.

- Będzie pan mile widzianym gościem, jeśli miałby pan chęć przyjść - zapewnił go

Dominic.

Zela zamarła.

- Och, to niebywale miło z pańskiej strony. - Timothy promieniał z zachwytu. - Innymi słowy, będę miał okazję ponownie z tobą zatańczyć, moja droga. Odświeżymy wspomnienia.

Mruknęła coś niezrozumiale, Dominic skinął głową i odszedł, a zamieniwszy kilka słów z Marią, pożegnał się i ruszył w drogę powrotną do domu.

- Cholernie brzydki typek, co? - syknął Timothy. - Nie wiedziałem, gdzie oczy podziąć, jak zobaczyłem tę jego przekłątą szramę.

- Wystarczy kilka minut, żeby do niej przywyknąć.

- Może tobie, ale na pewno nikomu innemu, wierz mi. W Lesserton słyszałem o tym twoim majorze. Podobno trzyma z chłopami, pozwala im zbierać drewno w swoich lasach. To jasne, że chce się wkupić w ich łaski.

- Nic o nim nie wiesz! - oburzyła się Zela.

Uniósł brwi.

- Och, w przeciwieństwie do ciebie, tak? Mam nadzieję, że nie przywiążesz się do niego zbyt mocno, moja droga. Nie jest zainteresowany kobietami twojego pokroju, przynajmniej nie w honorowy sposób. - Pochylił się ku niej. -

Lepiej będzie, jeśli ja się tobą zaopiekuję...

Natychmiast odwróciła się do niego plecami i podeszła do Reginalda, który zjawił się, żeby poprowadzić ją do stołu na kolację.

- Nie sądziłem, że panią zastanę tu dzisiaj, panno Pentewan.

Zela podniosła wzrok, kiedy Dominic wszedł do biblioteki. Zwróciła uwagę na jego oficjalny ton, ale po uwagach Timothy'ego doszła do wniosku, że i ona powinna nabrać nieco dystansu do swojego pracodawcy.

- Dzień dobry, panie majorze - przywitała się. - Chciałam dokończyć katalogowanie książek o matematyce. Doszłam do wniosku, że biblioteka będzie pusta, gdyż planował pan przejażdżkę z gośćmi.

- W istocie, właśnie szedłem do stajni, kiedy usłyszałem tutaj hałasy - wyjaśnił. - Pani zaangażowanie w pracę jest godne podziwu, ale przecież dzisiaj odbędzie się bal.

- Mam tego świadomość. Siostra przywiezie moją suknię balową, przebiorę się na górze. Pani Hensley nie ma nic przeciwko temu, że pracuję - dodała pośpiesznie, widząc, że Coale marszczy brwi.

- Hm. - Podeszedł do okna. - Sądziłem, że spędzi pani dzień w towarzystwie swojego

przyjaciela, pana Lerrya.

- Pan Lerryn nie jest moim przyjacielem - obruszyła się.

- Doprawdy? - Odwrócił się do niej. - Wczoraj można było odnieść przeciwne wrażenie.

- Pan Lerryn to tylko stary znajomy, nic ponadto. Jest żonaty.

- Żonaty! Trudno było to wywnioskować z jego zachowania wobec pani.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc sięgnęła po kilka książek do skatalogowania i ruszyła z nimi do drzwi. Dominic zastąpił jej drogę.

- Poza tym niezbyt zdecydowanie odrzucała pani jego awanse - dodał.

To oskarżenie zabolęło, ale w duchu musiała przyznać majorowi rację. Mimo to posłała mu lodowate spojrzenie i spróbowała go wyminąć. Chwycił ją za rękę.

- Powinna pani zachować daleko idącą ostrożność - ostrzegł. - Nie życzę sobie, aby osoba zatrudniona przeze mnie była zamieszana w skandal.

W milczeniu strząsnęła jego dłoń z ramienia i odeszła chwiejnym krokiem. Była wstrząśnięta, lecz dopiero w pokoju na wieży dała upust rozpaczy. Cała roztrzęsiona, rzuciła

książki na biurko i opadła na krzesło.

Skandal. Jak niby miałabym go uniknąć? – powiedziała do siebie. Znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli pozwoli, żeby Timothy Lerryn tańczył i flirtował z nią tego wieczoru, ściągnie na siebie gniew majora. Jeżeli zaś odprawi stanowczo Timothy'ego, ten bez wahania wyjawি wszystkim ich tajemnicę.

Usiłowała kontynuować pracę, ale jej myśli zaprzętał bal. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że cokolwiek zrobi, będzie zrujnowana. Poprzedniego dnia major zaproponował, żeby zostali przyjaciółmi. A czy przyjaciele mają przed sobą tajemnice? Zela uznała, że sama powinna wyjawic mu o sobie prawdę, zanim pozna ją z ust Lerryna.

Zbiegła po schodach i skierowała się do holu, gdzie stali goście, którzy właśnie powrócili z przejażdżki po okolicy. Tak jak przewidywała Zela, nikt nie zwrócił uwagi na skromną dziewczynę w szarej sukni i lnianym fartuszk. Stała w drzwiach dużego salonu, a po chwili udało się jej ściągnąć na siebie spojrzenie majora. Spokojnie, bez pośpiechu, oddalił się od gości i podszedł do Zeli.

– Czy mogłabym zamienić z panem słowo na osobności? – zapytała, gdy popatrzył na nią

chłodno.

Lekko skinął głową i zaprowadził Zelę do gabinetu.

- Tak? - Zamknął drzwi, odgradzając się od hałaśliwego, roześmianego tłumu. - Jak rozumiem, chodzi o coś ważnego, skoro zdecydowała się pani opuścić swoje orle gniazdo i mnie odszukać.

- W istocie. - Wolała teraz nie myśleć o konsekwencjach.

- Proszę usiąść.

Wskazał fotel przy kominku, a gdy usiadła, przyciągnął krzesło i zajął miejsce naprzeciwko niej.

- Dzisiaj rano powiedział pan, że nie będzie tolerował skandalu... - Opuściła wzrok na dłonie zaciśnięte na kolanach. - Zanim wieczorem zasiądę przy pańskim stole, pragnę wyznać panu coś na swój temat. Powinien pan dowiedzieć się tego ode mnie, nie od kogoś innego.

- Proszę mówić - powiedział krótko.

Zela poczuła, że nie zdoła się już wycofać.

- W Cardinham poznałam pewnego mężczyznę, który sam siebie nazywał dżentelmenem. Był przystojny i uroczy. Pochlebiało mi jego zainteresowanie - wyznała. - Uwierzyłam mu, gdy obiecał, że



mnie poślubi, Pozwoliłam, żeby... wziął mnie do łóżka. To się zdarzyło tylko raz, ale i tak zaszłam w ciążę.

- Jak mniemam, potem odwrócił się od pani.

Obojętny ton Dominica sprawił, że Zeli łatwiej było mówić dalej.

- Właśnie tak. Moi rodzice bardzo cierpieli, ale nie odtrącili mnie, choć nie chciałam wyznać, kim jest ojciec dziecka. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli ten mężczyzna pozostanie nieznany, jeśli wszyscy będą myśleli, że chodzi o podróżnego z dorocznego jarmarku, który każdego roku latem odbywa się w naszym mieście. Nie chciałam, żeby ktokolwiek ponosił konsekwencje mojego czynu. Popełniłam błąd i byłam gotowa za to zapłacić. Rodzice wysłali mnie do ciotki, gdzie miałam pozostać aż do rozwiązania.

Urwała. Zrobiło się jej niedobrze, ale musiała dokończyć opowieść.

- Dziecko urodziło się martwe - wyrzuciła z siebie. - To chyba była sprawiedliwa kara za moją nieobyczajność. Przez pewien czas dochodziłam do siebie, aby potem wrócić do Cardinham. Rodzice powiedzieli wszystkim, że wyjechałam dla podreperowania zdrowia, ale sam pan wie, jak to jest na wsi i w małych miejscowościach. Wątpię, aby ktokolwiek

uwierzył w tę historyjkę. Pojawiły się spojrzenia z ukosa, szept. Nie mogłam znaleźć pracy u żadnej z miejscowych rodzin. – Spojrzała na Dominica, ale jego twarz nie zdradzała emocji. – Reginald poznał Marię przy okazji jej wizyty w Bath dwa lata temu i natychmiast się z nią ożenił. Zna moją niefortunną przeszłość, ale okazuje mi życzliwość i zgodził się, abym zamieszkała tutaj na pewien czas. Miałam nadzieję, że uda mi się ułożyć życie na nowo. Chciałabym, aby ludzie mnie szanowali. – Uniosła głowę. – Sama też chcę mieć dla siebie szacunek. Właśnie dlatego, kiedy pocałował mnie pan wczoraj, musiałam położyć temu kres.

Zapadła cisza. Zela nie miała śmiałości podnieść wzroku i dlatego tylko przeplatała nerwowo chusteczkę między palcami.

– Dlaczego mówisz mi to teraz? – spytał Dominic. Nie uszło jej uwagi, że porzucił oficjalny ton. – Ach, rozumiem. Wspomniałaś, że ktoś inny pewnie mi to powie, tak?

– Tak.

– Pan Lerryn.

– Tak.

– Był twoim kochankiem.

Wzdrygnęła się.

– Jak się domyśliłaś?

- Wywnioskowałem z tego, co mi powiedziałaś dzisiaj rano, i z tego, co zaobserwowałem wczoraj. Pewnie groził, że cię zdemaskuje, prawda?

- Tak - odparła.

Dominic wstał i kilka razy przeszedł od ściany do ściany.

- Nadal go kochasz? - spytał nieoczekiwanie.

- Nie. Chyba nigdy go nie kochałam. To było tylko głupie zauroczenie. Byłam bardzo młoda, a on bardzo doświadczony.

- Czego oczekuje w zamian za milczenie?

- Mojej... współpracy.

- Psiakrew! - rzucił; rozumiał, z czym to się wiąże. - Gdybym wiedział, nie zaprosiłbym go na bal.

Uniosła głowę.

- Dlaczego go zaprosiłeś? - zapytała.

- Twoja siostra chce, żebyś wyszła za mąż - odpowiedział i zmarszczył brwi. - Ja też uważam, że tak byłoby dla ciebie najlepiej. Lerryn wydawał się tobą zainteresowany. Wczoraj nie wiedziałem, że jest żonaty.

Zela nie wierzyła własnym uszom.

- Postanowiłeś wesprzeć go jako kandydata do mojej ręki?

- Dlaczego miałbym tego nie zrobić? To syn ziemianina.

Zerwała się na równe nogi.

- Czemu wszystkim tak bardzo się spieszy do wyswatania mnie?! - zawołała.

- Ponieważ to dla ciebie lepsza przyszłość niż życie guwernantki. Dobry Boże, nawet nie wiesz, co może cię spotkać! Uwierz mi, znam się na życiu. Po świecie krąży wielu mężczyzn z pozoru godnych szacunku, którzy nie zawahają się uwieść kobiety zatrudnionej przez siebie. Jeśli wyjdiesz za człowieka zamożnego, to będziesz korzystać z ochrony jego nazwiska, służby, powozu. Będziesz miała rodzinę.

- Nie. - Pokręciła głową, a oczy zasły jej łzami.

Dominic chwycił ją za rękę.

- Przeżyłaś już jedną tragedię i straciłaś dziecko, ale to nie musi być koniec świata. Istnieją jeszcze inni mężczyźni poza Lerrynem, niekoniecznie tak niegodziwi jak on.

Zamknęła oczy, lecz łzy i tak spływały po jej policzkach. Dominic objął ją ramieniem, a drugą ręką wyciągnął z kieszeni czystą chusteczkę.

- Nie powinnaś harować jak wół, dla nikogo.  
- Delikatnie otarł jej policzki. - Zaslugujesz, aby żyć otoczona szacunkiem i miłością.

Dotknął palcami jej brody, a Zela podniosła

na niego wzrok. Jego szare oczy nie wydawały się już zimne jak lód, dostrzegła w nich żar. Teraz mógłby bez trudu ją pocałować; ich usta zetknęłyby się, gdyby tylko pochylił głowę. Położyła dłoń na jego torsie i poczuła, jak mocno bije mu serce. Nagle uświadomiła sobie, że ponad wszystko na świecie pragnie poczuć smak jego warg.

- Nie - powiedział nieoczekiwanie, a płomień w jego oczach przygasł. - Nie musisz się obawiać Lerry. Nie odprawię go, w ten sposób wywołałbym plotki, których wolelibyśmy uniknąć. Dopilnuję jednak, żeby nie sprawiał ci kłopotów. A teraz proponuję, żebyś zakończyła pracę i zaczęła przygotowania do wieczoru.

Odwrócił się z uprzejmym uśmiechem, a Zela zrozumiała, że rozmowa skończona.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zela starannie zamknęła za sobą drzwi biblioteki, żeby nikt nie przeszkadzał jej w rozmyślaniach. Dominic zamierzał chronić ją przed Timothyem Lerrynem, ale dał jej jasno do zrozumienia, że nie jest nią zainteresowany. Spodziewała się tego. Lubił ją, szanował jej pracę i zależało mu na jej szczęściu, które w jego mniemaniu mogła osiągnąć poprzez małżeństwo... z innym mężczyzną.

Szkoda, że zakochałam się właśnie w nim, pomyślała z goryczą. Nic już nie miało być takie jak przedtem. Śmiech dobiegający z salonu przypomniał jej o przygotowaniach. Zela szybko przeszła do pokoju w wieży, gdzie sporządziła jeszcze kilka wpisów i zabrała się do zbierania książek, które należało odnieść do biblioteki. Wkrótce do drzwi zapukała wyraźnie zmęczona Hanna.

- Pani Graddon pomyślała, że panienka miałyby chęć napić się lemoniady. - Otarła spocone czoło. - Ale dzisiaj skwar, panienko. Pootwierałam okna w bibliotece, żeby napuścić świeżego powietrza.

- Dziękuję. - Zela uraczyła się napojem. - Przygotowania do balu muszą być dla ciebie bardzo wyczerpujące.

- Oj, tak, panienko - potwierdziła z westchnieniem Hanna. - Zatrudniliśmy dziewczyny ze wsi, bo jaśnie pan major chciał, żeby pani Graddon miała jak najwięcej rąk do pomocy. Przyjechał też z Londynu szef kuchni. Dobrze jest widzieć, jak jaśnie pan zajmuje się domem - ciągnęła. - Obiło mi się o uszy, że panicz Nicky przyjeżdża razem z braciszkiem, to i mam nadzieję, że będę mogła się nimi zająć. Kochane maluchy!

Gdy odeszła, Zela była w nieco lepszym humorze. W istocie, stary dom ożył wraz ze zjawieniem się tak wielu osób. Zeszła na dół, by ułożyć ostatnie książki, i wtedy przypomniała sobie z przyjemnością, że Dominic życzy sobie jej obecności na balu, chociaż wyjawiała mu całą ponurą prawdę o sobie. Niewykluczone więc, że mimo wszystko ze mną zatańczy, uznała. Ta myśl tak ją uradowała, że nie przerywając układania książek w bibliotece, zaczęła śpiewać.

- Proszę, proszę. Minerwa w swoim żywiole.

Gdy usłyszała niski, ciepły i nieco rozbawiony głos, odwróciła się natychmiast i powitała uśmiechem Dominica siedzącego na parapecie

okna, od strony tarasu. Od razu zauważyła, że wygląda bardziej elegancko niż zwykle, a starannie przystrzyżone ciemne włosy lśnią niczym skrzydło kruka w świetle słońca. Jego piękna, idealnie sklepiona twarz jest...

Zela zasłoniła dłońmi usta.

- Lord Markham - wyjąkała zakłopotana.

Sobowtór majora ze śmiechem wszedł do środka przez otwarte przeszklone drzwi i rzucił na krzesło kapelusz, rękawiczki i szpicrutę.

- Miło mi panią poznać... Och, proszę tego nie robić. - Chwycił ją za rękę i pomógł wyprostować się, kiedy nisko dygnęła. - To ja powinienem złożyć przed panią głęboki ukłon, piękna Minerwo.

Zachichotała, gdy pochylił się nad jej dłonią i złożył na niej pocałunek.

- Jestem tylko skromną bibliotekarką, wasza lordowska mość - odparła.

- Bynajmniej. Jest pani ważną osobą, ze wszech miar godną zaproszenia na bal. - Jego oczy jaśniały radością i beztroską, której na próżno by szukać w smutnym spojrzeniu Dominica. - Panna Pentewan, czyż nie? Moja siostra dużo mi o pani pisała.

Policzki Zeli zapłonęły.

- Nie bardzo jest o czym - powiedziała



skrępowana.

- Doprawdy?

- Ani trochę - potwierdziła. - Przychodzę tutaj do pracy.

- To samo w sobie jest niezwykle. Kobieta w bibliotece!

- Jestem ogromnie wdzięczna panu majorowi za powierzenie tylu cennych książek mojej pieczy.

- Sal ma o pani bardzo wysokie mniemanie.

- To wyjątkowo życzliwa osoba.

Zela nie wiedziała, co jeszcze mogłaby dodać, więc uśmiechnęła się ze skruchą i ponownie zajęła porządkami.

- Podobno mój brat ma się znacznie lepiej - zauważył Jasper Markham.

- Panowie jeszcze się nie spotkali?

- Nie. Dopiero co przyjechałem, a spacerując wokół domu, usłyszałem pani śpiew.

- Przepraszam, że zakłóciłam panu spokój.

- Nie zakłóciła mi pani spokoju. Przeciwnie, byłem wniebowzięty.

Komplement zabrzmiał tak naturalnie, że Zela ponownie zachichotała.

- Chyba usiłuje pan mnie zauroczyć - oświadczyła zuchwale.

- Czy miałaby pani coś przeciwko temu?

- To zależy od pańskich intencji - odparła po

zastanowieniu. – Gdyby chciał pan sprawić mi przyjemność, to nie. Jeśli jednak ma pan nieco bardziej śmiałe zamiary, stanowczo protestuję.

– Nie owija pani w bawełnę. – Uniósł brwi.

– To konieczność. Jestem tylko bibliotekarką, ale to nie znaczy, że można mi się narzucać. Nie chciałabym popaść z panem w konflikt.

Roześmiał się szczerze.

– Ani ja z panią, panno Pentewan – odparł. – Zamierzam traktować panią z całym należnym szacunkiem.

– Bardzo mnie to cieszy, wasza lordowska mość – powiedziała z ulgą Zela. – W takim razie prosiłabym, żeby pozwolił mi pan w spokoju dokończyć porządkowanie biblioteki.

– Mam rozumieć, że zostaję natychmiastowo odprawiony?

Zeli nie udało się ukryć uśmiechu. Bawiła się coraz lepiej.

– W istocie, tak właśnie jest – przyznała z humorem. – Z pewnością chce się pan przywitać z majorem Coale'em. W tym celu musi pan wyjść tymi drzwiami i minąć salon.

Roześmiał się i pochylił głowę.

– Doskonale, panno Pentewan – powiedział. – W takim razie zostawiam panią z książkami.

Odmaszerował, nucąc pod nosem, a Zela

w jeszcze lepszym humorze powróciła do pracy.

Kiedy przyjechał powóz z West Barton, Zela udała się do apartamentu przeznaczonego dla jej siostry i szwagra, by się przywitać. Jeden z lokajów zaniósł do wieży kuferek z rzeczami Zeli, która jednak nie od razu poszła się przebrać. Najpierw chciała spytać Reginalda o dostarczony dokument.

- Moim zdaniem przechyli szalę zwycięstwa na stronę chłopów, ale nie zamierzam nikomu o tym mówić do czasu przesłuchania w przyszłym tygodniu. Prawnik sir Oswalda to szczywany lis. - Reginald zmarszczył brwi. - Jak rozumiem, Evanshaw również pojawi się dziś wieczorem. Muszę przyznać, że trudno mi sobie wyobrazić towarzyskie spotkanie z owym jegomościem.

- A ja nie wiem, czy będę mogła spokojnie patrzeć na tego człowieka, wiedząc, jak okropnie traktuje każdego, kto wejdzie do Prickett Wood - dodała zdenerwowana Maria. - I do tego jeszcze pojmał Nicky'ego...

- To nie on, tylko jego zarządca, mamó, i nic mi się nie stało - sprostował chłopiec, który właśnie wbiegł i od razu rzucił się Zeli na szyję.

- Nic ci się nie stało tylko dlatego, że twoja ciocia i pan major byli na miejscu i od razu pośpieszyli ci na ratunek - wyjaśniła Maria.

- Evanshaw ma prawo strzec swoich włości - zauważył spokojnie Reginald. - Przyznaję, że trudno mi polubić tego człowieka, niemniej zgadzam się z majorem, że nie ma sensu kłócić się z sąsiadem, jeśli można tego uniknąć.

Zela nie mogła dłużej przysłuchiwać się rozmowie, bo Nicky zażądał, żeby obejrzała pokój przeznaczony dla niego i jego małego brata.

- Major Coale mówi, że mogę patrzeć z półpiętra na tańce - wyjaśnił Zeli. - I przyśle mi kolację.

- Pan major jest bardzo miły - podkreśliła Maria. - Dzięki temu apartamentowi będę mogła się wymknąć, nakarmić niemowlę i wrócić na parkiet.

- Będą lody? - spytał z nadzieją Nicky.

- Niestety, nie. - Zela zaśmiała się. - Ale nie zabraknie ciast i lemoniady.

- A zatem będziesz miał własne małe przyjęcie - podsumowała Maria, przytuliła Nicky'ego i ucałowała go. - A teraz musimy dać Zeli spokój, żeby zdążyła się przebrać. Już posłałam Bess do twojego pokoju, skarbie. Pomoże ci się wystroić.

Zela chciała zaprotestować , ale powstrzymała się. Tego wieczoru pragnęła wyglądać jak najlepiej i wiedziała, że bez pokojówki nie uda się jej tego osiągnąć.

Gdy wróciła do pokoju w wieży, okazało się, że Bess już opróżniła kufer i wyłożyła jego zawartość na łóżko.

- Och. - Zela zamarła. - To nie moja suknia.  
Bess dygnęła.

- Jaśnie pani kupiła ją dla panienki - wyjaśniła. - Powiedziała, że ten bal to największe wydarzenie lata, więc panienka powinna wystąpić w czymś nowym. To indyjski muślin - dodała, pomagając Zeli się rozebrać.  
- Jaśnie pani uznała, że zielony kolor będzie dobrze pasował do panienki. Panienka chyba nie jest niezadowolona?

- Jakże mogłabym być niezadowolona? - Dotknęła delikatnej tkaniny i nagle dostrzegła mały wazonik pełen różyczek. - Jakie piękne!

- Jaśnie pani zebrała je dzisiaj w ogrodzie - wyjaśniła Bess. - Mam je wpleść we włosy panienki.

Popatrzyła na pokojówkę i uśmiechnęła się pogodnie.

- W takim razie, Bess, zaczynajmy - poprosiła.

Bicie zegara w oddali przypomniało Zeli, że nadszedł czas, aby goście przyszli na kolację do jadalni. Opuściła zatem tymczasową sypialnię i skierowała się na dół. Przechodząc przez opustoszały duży żółty salon, mimowolnie zerknęła na swoje odbicie w licznych lustrach, a następnie podeszła do jednego z nich. Ujrzała w nim elegancką młodą kobietę z podpiętymi włosami. Szyja i ramiona wydawały się zupełnie białe nad krótkim zielonym stanikiem z aksamitu, zaś muślinowa spódnica spływała jej do kostek. W takim stroju wyglądała jak zwiewna boginka. Rozpostarła mieniący się wachlarz i przez chwilę eksperymentowała z różnymi pozami.

Szczęknięcie otwieranych drzwi sprawiło, że podskoczyła, a jej policzki zarumieniły się zdradziecko.

- Bardzo przepraszam, nie miałem zamiaru cię przestraszyć - powiedział Dominic od progu.

- W pokoju na wieży nie ma lustro... - Zawiesiła głos.

- Wyglądasz doskonale. - Odkasznął. - Wszyscy już czekają przy stole. Przyszedłem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Podczas kolacji przyjedzie orkiestra.

Wydawał się skrępowany, za to Zela nabrała

pewności siebie.

- Przed chwilą przechodziłam przez bibliotekę i zapewniam, że wszystkie książki co do jednej są na swoim miejscu - oświadczyła.

- Naturalnie. - Zawahał się, ale popatrzył jej w oczy. - Wobec tego... może dołączymy do innych?

Wyciągnął rękę, a Zela położyła palce na rękawie jego eleganckiego fraka. Tego wieczoru major był w każdym calu synem wicehrabiego.

- Miałam okazję poznać twojego brata - odezwała się, gdy mijali hol. - Przyszedł do biblioteki.

- Wiem. Kazałaś mu odmaszerować.

- Chyba nie uznał mnie za nieokrzesianą, prawda? Bardzo starałam się zachowywać jak dama.

- Nie, ale był zaskoczony - odparł z uśmiechem. - Nie przywykł do tego, żeby ktoś go odprawiał.

W jadalni było gwarно i Zela na moment wpadła w panikę, która jednak minęła w chwili, gdy Sally Hensley wyszła jej na spotkanie.

- Moja droga, wyglądasz uroczo - powiedziała. - Właśnie rozmawiałam z twoją

siostrą. Jest tam, przy oknie, ale podejdziesz do niej później. Najpierw chciałabym cię wszystkim przedstawić.

Na kolację zaproszono dziesięć par, co oznaczało, że Zela musiała poznać kilkanaście osób i zapamiętać ich imiona oraz nazwiska. Uświadomiła sobie, że Sally bardzo starannie dobrała gości - wszyscy byli bliskimi przyjaciółmi Dominica albo rodziny. Nie zjawił się nikt, kto mógłby gapić się na okaleczoną twarz majora albo komentować jego wygląd.

Przy stole Zela zasiadła obok jednego z towarzyszy broni majora. Pułkownik Deakin był jowialnym dżentelmenem z bokobrodami. Od razu zdradził Zeli, że służył z Dominikiem w Hiszpanii.

- Wróciłem do domu niedługo po nim - dodał i poklepał się po pustym rękawie. - Nie ma dnia, w którym nie dziękowałbym za to Bogu. Cieszę się, widząc Coale'a w dobrym zdrowiu. To był znakomity oficer. Bałem się, że już po nim.

- Czy był poważnie ranny?

- Ledwie dało się go rozpoznać - odparł pułkownik, racząc się pasztetem. - Na szczęście mieliśmy dobrych łapiduchów, którzy połatali go, jak należy. Mimo to nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś go



zobaczę. Szkoda jego twarzy, naturalnie. Kiedyś był z niego bardzo przystojny młodzian.

Zela zerknęła na miejsce u szczytu stołu, gdzie major prowadził rozmowę z bratem. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak wyglądał przed wyjazdem na wojnę. Teraz jednak niewiele to dla niej znaczyło.

Gdy goście opuszczali jadalnię, na podjazd wtaczały się pierwsze powozy. Zela i Maria poszły się odświeżyć, a Zela skorzystała z okazji, żeby podziękować siostrze za suknię.

- ...wachlarz, nowe buty i rękawiczki - wyliczała. - To zbyt wiele. Naprawdę, nie powinnaś była wydawać na mnie tyle pieniędzy.

- Och, daj spokój. Skoro nie chcesz myśleć o sobie, to weź pod uwagę moje odczucia. Reginald cieszy się tutaj poważaniem i nie chcę, by ludzie myśleli, że nie stać nas na odzież dla ciebie.

Zela przytuliła siostrę, a jej oczy zaszyły łzami.

- W takim razie przyjmuję to wszystko z ogromną wdzięcznością, kochana siostrze, i dziękuję ci z całego serca - wyszeptała.

Maria została nakarmić dziecko, więc Zela wróciła na dół samotnie. Hol i żółty salon były

już pełne gości, których witał Dominic, ubrany w czarny frak i obcisłe spodnie. Nie kulał ani trochę, poruszał się pewnie i z gracją, jak na mężczyznę w kwiecie wieku przystało. Zela z trudem oderwała od niego wzrok i wyszukała spojrzeniem Reginalda, zajętego rozmową z sir Arthurem Andrewsem. W głębi pomieszczenia stał sir Oswald.

Gdy pokonała ostatnie stopnie schodów, podszedł do niej Dominic.

- Szukałem cię - powiedział.

- Naprawdę? - Radość, którą poczuła, znikła bez śladu po jego następnych słowach.

- Lerryn jeszcze nie przyjechał, ale wydałem polecenie, by go zatrzymać przy wejściu. Zamierzam zamienić z nim słowo. - Dotknął jej ręki. - Nie obawiaj się. Ten niegodziwiec już cię nie skrzywdzi.

Podziękowała mu cicho i powiodła za nim spojrzeniem, kiedy odchodził.

- Wyglądasz na zasmuconą, Zelo - zagadnęła ją Sally. - Mam nadzieję, że wszyscy są dla ciebie mili.

- Ależ tak - przytaknęła. - W tym hałasie i zamieszaniu nikt nie ma ani czasu, ani ochoty zastanawiać się, dlaczego major Coale zaprosił bibliotekarkę na letni bal. Większość ludzi nie ma pojęcia, kim jestem, a goście

obecni na kolacji zapewne uznali mnie za ubogą dziewczę, które major otoczył opieką.

- O, nie, moja droga, jesteś kimś znacznie ważniejszym! - Sally się roześmiała. - Wszyscy przyjaciele Doma wiedzą, że stawał się coraz bardziej zdziwaczalym odludkiem. Gdy przeprowadził się do Rooks Tower, przepadł dla świata, a teraz, zaledwie pół roku później, wyprawia najważniejszy letni bal w tej okolicy.

- Ale ja nie miałam z tym nic wspólnego - zaoponowała Zela.

- Przekonałaś go, że nadal jest człowiekiem godnym uwagi - przerwała jej Sally. - Wiem to od niego. Wszyscy sporo ci zawdzięczamy.

- W takim razie, czy mogłaby pani napisać mi referencje? - poprosiła z nadzieją. - Jestem pewna, że pani dobre słowo wiele by znaczyło dla każdego przyszłego pracodawcy.

- Moja droga, wyglądasz dzisiaj tak cudownie, że na pewno nie potrzeba ci żadnych dodatkowych referencji.

- Ależ przeciwnie - zaprotestowała desperacko Zela. - Moja praca tutaj ma się ku końcowi i otrzymałam bardzo atrakcyjną propozycję od pewnej wdowy z Bath. Ma troje dzieci, które potrzebują guwernantki, ale muszę dostarczyć referencje. Mam już stosowne pisma od ojca i od Reginalda, jednak

obaj należą do mojej rodziny, więc ich opinie nie będą tak cenne jak pani.

- Ależ oczywiście, że napiszę ci referencje, jeśli tego sobie życzysz. - Sally uścisnęła jej dłonie. - Pod jednym wszakże warunkiem.

- Zrobię wszystko! - oświadczyła Zela, nie kryjąc wdzięczności.

- Na dzisiejszy wieczór musisz zapomnieć o swoich planach na przyszłość i bawić się na całego! - Pocałowała Zelę w policzek i pośpiesznie odeszła witać przybywających gości.

Gdy zagrała muzyka, Zela przesunęła się pod ścianę. Znała niewiele osób spośród zaproszonych i wątpiła, aby ktoś zechciał zaprosić ją na parkiet. Miała jednak nadzieję, że w którymś momencie wieczoru Dominic zdecyduje się z nią zatańczyć. Pozostało jej uzbroić się w cierpliwość.

- Zela? - Odwróciła się i ujrzała Timothy'ego Lerryna, który stanął tuż obok. - Nie musisz piorunować mnie wzrokiem - burknął. - Już ostrzeżono mnie, abym ci się nie naprzykrzał.

- W takim razie możemy zachowywać się uprzejmie wobec siebie.

- Zatańczysz ze mną?

- Nie, dziękuję - odparła natychmiast.

Lerryn zmarszczył brwi. Wokoło kręcili się

ludzie, a Zela wołała uniknąć kłótni w miejscu publicznym.

- Wiem od siostry, że twoja żona jest przy nadziei - powiedziała. - Z pewnością będzie co świętować.

- Zgadza się. Spodziewamy się trzeciego dziecka. - Nadal się uśmiechał, ale w jego głosie usłyszała nutę złośliwości. - Moja żona rodzi gładko jak maciora. W naszej rodzinie nie zdarzają się martwe noworodki.

Zela mimowolnie przycisnęła dłonie do brzucha, jakby chciała się osłonić przed brutalnym ciosem. Czując obrzydzenie, odwróciła się i z ulgą usłyszała tuż przy sobie pogodny głos szwagra.

- Jesteś, moja droga - ucieszył się Reginald. - Maria jeszcze nie wróciła, więc pozwolę sobie porwać cię do tańca.

- Bardzo chętnie - odpowiedziała i z entuzjazmem ruszyła na parkiet, zdecydowana zapomnieć o Timothy Lerryne.

Dominic zorientował się, że mimowolnie wodzi wzrokiem za Zelą. Najpierw patrzył, jak tańczyła ze swoim szwagrem, potem z pułkownikiem Deakinem, a na końcu z Jasperem.

Stojąca obok Dominica lady Andrews zauważyła jego skupione spojrzenie i zachichotała.

- Lord Markham wydaje się zafascynowany młodą panną Pentewan - zauważyła. - Nie znam jej zbyt dobrze, niemniej wydaje się miłym i dobrze ułożonym dziewczęciem. Jak rozumiem, jest zatrudniona jako pańska bibliotekarka?

- Tak, proszę pani.

- To niezwykle, a w dodatku bardzo śmiałe posunięcie.

- Doprawdy? - Zmarszczył brwi. - Dlaczego? Z jakiego powodu nazywa je pani śmiałym?

Lady Andrews nerwowo zatrzepotała wachlarzem.

- Och, może po prostu jestem staromodna - odparła, chichocząc. - Sir Arthur nie ma co do tego żadnych zastrzeżeń, niemniej panna zatrudniona przez kawalera...

- W moim domu pracuje kilka niezamężnych kobiet. Czy i to budzi pani wątpliwości? - spytał ostro.

- Ależ skąd, panie majorze, bynajmniej - zaprzeczyła z zakłopotaniem. - A poza tym zatrzymała się tutaj pańska siostra.

Dominic uśmiechnął się z wysiłkiem i odszedł. Od początku wiedział, że nie

obejdzie się bez plotek, niemniej zignorował głos rozsądku i zatrudnił Zelę, aby jej pomóc. Wolał nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby wyszło na jaw, że ją pocałował. Znał się na życiu i intrygantach, którzy nieustannie plotkowali. Z tego powodu nie chciał napisać referencji Zeli - im bardziej entuzjastyczna byłaby jego rekomendacja, tym głębsze panowałoby przekonanie, że uczynił z niej swoją metresę.

Skinął głową jednemu ze znajomych, zamienił dwa słowa z drugim, ale nie przestawał intensywnie myśleć nad sytuacją Zeli. Do licha, nie zamierzam zniszczyć jej reputacji, powiedział sobie w duchu. Już niemal całkowicie wywiązała się z umowy, więc równie dobrze mogli zakończyć współpracę jeszcze przed wyjazdem Sally z Rooks Tower.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Taniec z lordem Markham przypieczętował sukces Zeli i od tamtej pory nie mogła narzekać na brak powodzenia u dżentelmenów. Wirowała w objęciach kolejnych partnerów, lecz jej radość prysła, gdy po jednym z tańców drogę zastąpił jej Timothy. Ukłonił się szarmancko i wyciągnął rękę.

- Zatańcz ze mną choć raz - poprosił. -  
Przez wzgląd na dawne czasy.

Matrony na pobliskich ławkach zgodnie się uśmiechały, wyraźnie zadowolone, że młodzież tak dobrze się bawi. Właściwie mogła oświadczyć, że tego wieczoru nie będzie już tańczyć, lecz Dominic jeszcze jej nie poprosił, a ona miała desperacką nadzieję, że zrobi to przed końcem balu.

Uniosła głowę i posłała Timothy'emu wyzywające spojrzenie.

- Jeden taniec - poinformowała go krótko.

Jego oczy rozbłysły triumfalnie i poprowadził ją na parkiet.

- Czy mówiłem ci, jak wspaniale dzisiaj wyglądasz, moja droga? - spytał. - Jesteś



piękna.

Puściła jego komplement mimo uszu i odpowiadała półsłówkami na kolejne uwagi. Nie mogła się doczekać końca tej męczarni, ale kiedy dygnęła i chciała zejść z parkietu, Lerryn przytrzymał jej dłoń.

- Odprowadzę cię do siostry - zaproponował. Zela skinęła głową.

- Wielkie nieba - odezwał się po chwili i uniósł brwi. - Kim jest ten jegomość w limonkowym fraku? Ten, który rozmawia z Bucklandem?

- To sir Oswald Evanshaw - odparła.

W tym samym momencie Maria wstała, a Reginald ruszył z nią do drzwi.

- A niech mnie, potraktowali go jak powietrze - mruknął Timothy. - Skoro twoi bliscy wyszli, chyba nie ma sensu, abym cię odprowadzał pod ścianę. Co byś powiedziała na jeszcze jeden taniec?

- Powiedziałyby: nie. - Szarpnęła ręką, aby się oswobodzić. Bez skutku - Puść mnie - rozkazała.

- Skoro nie będziesz tańczyć, odprowadzę cię do stołu.

Gdy się pochylił, poczuła od niego brandy. Ponownie spróbowała wyszarpnąć rękę.

- Puść mnie - syknęła jeszcze raz. -

Ostrzeżono cię.

Lerryn wpatrywał się w nią pożądliwie.

- Coale nic mi nie zrobi, jeśli pójdziesz ze mną z własnej woli - zauważył.

- Ta dama nie życzy sobie pańskiego towarzystwa - odezwał się Dominic, który niespostrzeżenie stanął za plecami Zeli. - Proponuję, żeby się pan oddalił, panie Lerryn.

Mówił bardzo cicho, ale w jego głosie pobrzmiwała groźna nuta. Lerryn wpatrywał się w niego przez chwilę, a następnie wzruszył ramionami i zmieszał się z tłumem.

Zela odetchnęła głęboko.

- Dziękuję - powiedziała, podając Dominicowi rękę, którą krzepiąco uścisnęła.

- Nie spodziewałem się, że zostanie tak długo - stwierdził. - Wygląda na to, że jest do ciebie bardziej przywiązany, niż sądziłaś.

- Jego przywiązanie to jedynie urażona duma. Chce tego, czego nie może mieć.

- To grzech wielu z nas - zauważył. - Chodźmy coś zjeść. Moja siostra na ciebie czeka.

Timothy Lerryn opuścił salon, przeklinając w myślach Zelę. Jak śmiała tak mi się przeciwstawiać? Już ja jej dam do wiwatu, obiecał sobie w duchu.

Miał ochotę opowiedzieć jej historię komukolwiek, kto tylko zechce go wysłuchać, zbyt dobrze jednak pamiętał ciche groźby Coale'a. Major wypowiedział je rzeczowym zimnym tonem, który okazał się nieporównanie skuteczniejszy od wrzasków. Lerryn nie miał wątpliwości, że jeśli ludzie dowiedzą się czegokolwiek o przeszłości Zeli, major go dopadnie i zniszczy. Tak czy owak, dziewczka nie była warta ryzyka, pomyślał i kipiąc złością, minął hol.

Był już prawie przy drzwiach, kiedy mignęło mu przed oczami jasnozielone ubranie. Nagle zrozumiał, co powinien zrobić, i uśmiechnął się do siebie.

- Sir Oswaldzie? - Ukłonił się nisko. - Timothy Lerryn, do usług. Czy mógłbym zamienić z panem słowo? Jest coś, o czym chyba powinien pan wiedzieć...

W jadalni Zela zobaczyła siostrę w towarzystwie Sally Hensley. Reginald krążył niespokojnie w pobliżu.

- Mój mąż ciągle się denerwuje po rozmowie z sir Oswaldem - wyjaśniła Maria, gdy Zela i Dominic podeszli bliżej.

- A tak, do diaska. Ten przekłety osobnik miał czelność podejść do mnie i oznajmić, że

Giles Grundy wszedł na jego teren i został pojmany przez strażników, którzy odesłali go do domu ze złamaną ręką. Potem arogancko oświadczył, że wynik przesłuchania w przyszłym tygodniu jest już przesądzony. – Reginald pokręcił głową z oburzeniem. – Myśli, że ma sir Arthura w kieszeni, ale wszystko się zmieni, kiedy zaprezentuję im nowy dokument!

– Tak, tak, kochanie, a teraz usiądź i się uspokój. – Maria wskazała mu miejsce. – Ten człowiek to kanalia, w rzeczy samej, ale my nie zniżajmy się do jego poziomu. Jutro odwiedzę rodzinę Grundych i zaproponuję pomoc.

– Ja też pojedę – przyłączył się Dominic, podsuwając krzesło Zeli. – Mogę podesłać Grundy’emu kilku ludzi, których zatrudniam przy wyrębie, jeśli potrzebuje pomocy w gospodarstwie. A teraz muszę się oddalić...

– Nie przekąsisz nic z nami? – zapytała Sally. Pokręcił głową.

– Obiecałem pewnemu młodemu dżentelmenowi kolację i teraz zamierzam mu ją zanieść.

Ostatni taniec dobiegł końca i żółty salon szybko pustoszał. Dominic na próżno

wypatrywał Zeli. Przyszło mu do głowy, że może przeszła z Jasperem do innego pomieszczenia – gdy bracia byli młodszy, często wyszukiwali najładniejsze dziewczęta, by pod koniec zabawy odciągnąć je na ubocze i oddawać się flirtom.

Miał ochotę wybiec na poszukiwania, ale powstrzymał się i z pozornym spokojem zaczął czekać, aż ostatni goście opuszczą salon. Żegnał ich przy drzwiach, a gdy zapadła błoga cisza, doszedł do wniosku, że wcale nie ma ochoty przebywać w murach i postanowił zażyć świeżego powietrza.

Nim jeszcze bal dobiegł końca, Maria pogratulowała Zeli powodzenia, po czym wspomniała o urządzeniu małego przyjęcia w West Barton.

– Nie byłoby to nic wystawnego, naturalnie, ale moglibyśmy zaprosić jednego lub dwóch dżentelmenów z grona tych, którzy z tobą tańczyli... – rozmyślała głośno.

– Doskonale wiem, co ci chodzi po głowie – przerwała jej Zela. – Zamierzasz przekonać jakiegoś młodego człowieka, żeby mi się oświadczył. – Mimowolnie przypomniała sobie wykrzywioną twarz Timothy’ego Lerryana. – Nie chcę wychodzić za mąż.

Przeprosiła Marię i odeszła, a w salonie zauważyła, że do ostatniego tańca balu Dominic poprosił Sally. Ponieważ nie mogła już liczyć na to, że zaprosi ją na parkiet, cicho wymknęła się do pokoju w wieży, gdzie miała zanocować.

W oknach brakowało zasłon i okiennic, więc pomieszczenie było zalane księżycowym blaskiem. Wciąż jednak panował dokuczliwy upał. Samotny spacer w środku nocy nie był bezpieczny, szczególnie dla młodej damy, Zela postanowiła zatem wdrapać się na szczyt wieży.

Weszła po schodach i rozejrzała się zauroczona. Otaczał ją magiczny świat szarości, błękitu i rozedrganych cieni. Spacerowała pogrążona w rozmyślaniach. Świat codziennych spraw wydawał się odległy i mało istotny.

Tego wieczoru nie narzekała na brak partnerów do tańca i przez pewien czas czuła się jak beztroska dziewczyna. Choć liczyła na więcej. Chciała, żeby Dominic z nią zatańczył, prawił komplementy, a nawet z nią flirtował.

Skrzyżowała ręce na piersiach. Czuła, jak przetacza się przez nią fala rozgoryczenia. Żałowała, że letni bal się w ogóle odbył. Byłoby najlepiej, gdyby Dominic nadal

pozostawał samotnikiem. Wtedy miałabym go tylko dla siebie, doszła do wniosku.

Szybko odsunęła od siebie tę niedorzeczną myśl. Tak naprawdę wcale nie chciała, żeby Dominic był smutnym, zgorzkniałym odludkiem. Powinien zajmować należne mu miejsce w społeczeństwie. Zresztą książki zostały już uporządkowane i za kilka dni zakończy katalogowanie. Musiała tylko przypomnieć Sally o napisaniu referencji.

- Co tu robisz, do kroćset?

Podskoczyła wystraszona, słysząc pełne złości słowa Dominica.

- Ja... Najmocniej przepraszam - wydukała. - Nie sądziłam, że postępuję niewłaściwie...

- Na litość boską, wiesz dobrze, że gzyms nie został jeszcze wzmocniony. Natychmiast odejść od krawędzi.

Gniewny ton zirytował Zełę.

- Tak, wiem o tym - burknęła. - Przepraszam, więcej tutaj nie wejść.

Pospiesznie skierowała się do schodów, ale Dominic zastąpił jej drogę.

- Czekaj - rozkazał. - Masz łzy na policzku.

Odwróciła od niego głowę.

- Puść mnie, proszę - szepnęła.

On jednak przyciągnął ją bliżej. Lekko uniósł dłoń podbródek, żeby na niego popatrzyła,

i delikatnie otarł kciukiem łzy.

- Czy spotkała cię dzisiaj przykrość? - spytał.

- Nie... - odparła łamiącym się głosem, a do oczu znowu napłynęły łzy.

- Żałujesz odprawienia Lerryyna? - spytał ostro.

- Przecież wiesz, że nie!

- To dlaczego płaczesz?

- Bo... jestem bardzo zmęczona. To wszystko.

Nie umiała wyjawić mu prawdy. Spojrzał jej prosto w oczy, a potem podniósł wzrok na księżyc.

- W istocie, to był wyczerpujący dzień...

Nieoczekiwanie przytulił ją do siebie. Nie protestowała, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

- Dobrze się bawiłeś? - szepnęła.

- Tak, do pewnego stopnia. Miło mieć świadomość, że nie jestem wyrzutkiem. - Przytulił ją mocniej. - Zawdzięczam to tobie. Dzięki tobie przekonałem się, że nie wszystko stracone.

- I nie jesteś na mnie zły?

- Zły? - zdumiał się. - Ależ skąd. Obawiałem się, że mogłabyś oprzeć się o mur i wraz z nim runąć w przepaść.

- Rozumiem... - Zela się odprężyła. Czuła



ciepło jego oddechu na policzku. – Cieszę się, że mogłam ci pomóc – dodała.

– A teraz ja zrobię coś dla ciebie. Sally powiedziała mi, że poprosiłaś ją o referencje. Z jej wsparciem bez wątpienia znajdziemy dla ciebie odpowiednie miejsce. Rozmawiałem z nią wcześniej. Czy na pewno pragniesz zostać guwernantką? Oboje jesteśmy zdania, że mogłabyś znaleźć zatrudnienie jako osoba towarzysząca, co bardziej przypadłoby ci do gustu. Sally nie brakuje znajomości...

Zela zwiesiła głowę.

– To bardzo miło z twojej... z waszej strony. – Odsunęła się od niego. – Chyba na mnie już czas.

Dominic z trudem panował nad pożądaniem, ale pozwolił jej odejść.

– Naturalnie. Jest już bardzo późno. Dobranoc, panno Pentewan – dodał oficjalnym tonem.

Odeszła bez słowa i wkrótce zniknęła na schodach. Dominic pomyślał, że dobrze się stało, gdyż uratował ich przed wielkim błędem.

Dlaczego zatem nie odczuwam satysfakcji? – zastanowił się.

Zela długo nie mogła zasnąć, a gdy tak się

w końcu stało, nachodziły ją koszmarne sny, więc z ulgą powitała poranek. Szybko włożyła suknię i wyruszyła na poszukiwania siostry i szwagra. Jak się okazało, właśnie jedli śniadanie w towarzystwie Sally i lorda Markham.

- Dominic już wyszedł - oznajmił wicehrabia i wstał, aby wysunąć krzesło dla Zeli. - Moim zdaniem stanowczo zbyt poważnie traktuje swoje obowiązki. Powinien być zostać i zatroszczyć się o gości.

- Wie, że należycie go zastąpimy. - Sally uśmiechnęła się do Zeli. - Zatem opuszczasz nas tego poranka i wracasz do West Barton. Cóż ja pocznę bez mojej towarzyszki?

- Myślę, że moja nieobecność nie okaże się specjalnie dokuczliwa dla nikogo - odparła Zela. - Może zanim wyjadę, napisze mi pani referencje, tak jak uzgodniłyśmy?

- Jak najbardziej, skoro tego sobie życzysz. Zela pokiwała głową.

- Tak, właśnie tego sobie życzę - podkreśliła z przekonaniem.

- Mam sporo do zrobienia przed rozprawą w przyszły piątek - odezwał się Reginald. - Kiedy będziesz gotowa do drogi, Zelo?

- Hanna już spakowała moje rzeczy. - Odsunęła talerz. - Będę mogła wyjechać, gdy

tylko pani Hensley przekaże mi list referencyjny.

- W takim razie zaraz zabiorę się do pisania - zdecydowała z uśmiechem Sally.

- Przed wyjazdem muszę nakarmić niemowlę - wtrąciła Maria. - Nie będę gotowa wcześniej niż za godzinę.

Pomieszczenie nagle wypełniło się światłem słonecznym.

- No proszę, rozchmurzyło się. - Wicehrabia odłożył serwetę i skierował wzrok na Zelę. - Może panna Pentewan zechciałaby pospacerować ze mną do czasu przyrowadzenia powozu?

Zela zgodziła się z ochotą. Wicehrabia był miłym rozmówcą i dobrym kompanem. W jego towarzystwie mogła się odprężyć i cieszyć spacerem oraz pogawędką. Poruszyła temat Dominica i uważnie słuchała opowieści Jaspera o bracie. Informacje o majorze utwierdziły Zelę w przekonaniu, że to uczciwy, lojalny i honorowy mężczyzna, który powinność stawia na pierwszym miejscu.

- A teraz kieruje energię na Rooks Tower - dodał Jasper, kiedy zawędrowali przed oranżerię. Otworzył przed Zelą podwójne drzwi. - Z początku sądziłem, że szykuje sobie kryjówkę, aby odgrodzić się od świata, ale bal

dał mi do myślenia. Może to będzie jego rodzinny dom. Jak pani myśli, panno Pentewan, czy mój brat szuka żony?

Wstrzymała oddech i z trudem ukryła zakłopotanie. Na wszelki wypadek skupiła się na oglądaniu domku letniego, pełnego roślin i marmurowych ozdób. Dopiero po dłuższej chwili zdobyła się na ostrożną odpowiedź.

- Ostatniego wieczoru zjawilo się tutaj kilka bardzo atrakcyjnych panien na wydaniu - powiedziała.

- Wiem, tańczyłem z nimi wszystkimi - odparł Jasper. - Za to Dominic nie poprosił do tańca ani jednej. Może po prostu jest ostrożny i nie chce w nich rozniecać płonnych nadziei.

- W istocie, wydaje się na to zbyt rycerski.

Jasper nie zwrócił uwagi na przygnębienie brzmiące w jej głosie i tylko skinął głową, rozglądając się z podziwem.

- Muszę pani pogratulować - powiedział. - Stworzyła pani tutaj miejsce wyjątkowej urody. Tu jest nad podziw romantycznie, prawda?

Zela uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie w świetle dnia, milordzie - odparła. - Teraz widzę tylko puste kieliszki, których służba nie uprzątnęła, gdyż stoją ukryte za roślinami.

Popatrzył na nią zbolalym wzrokiem.

- Jest pani stanowczo zbyt praktyczna, moja droga.

- To moja wada - oznajmiła beztrąsko.

- Muszę przyznać, że jestem skołowany, panno Pentewan. Dlaczego opiera się pani wszelkim próbom flirtu?

Rozbawił ją jego stropiony ton.

- Próbuje pan flirtować z każdym młodym dziewczęciem - zauważyła trzeźwo. - Dobrze panu robi, jeśli któraś od czasu do czasu da panu kosza. - Ruszyła w kierunku drzwi. - Wracamy do domu?

Jej odpowiedź ani trochę nie zraziła Jaspera i oboje w idealnej zgodzie powędrowali przez trawnik. Gdy wrócili, drzwi wejściowe były otwarte; po kilku sekundach stanął w nich Dominic.

- Dzień dobry, braciszku - pozdrowił go radośnie Jasper. - Wyszedłeś z domu, nim jeszcze zdążyłem się ogolić.

- Udałem się z wizytą do Gilesa Grundy'ego - odparł zwięźle.

- A właśnie, jak się miewa? - zainteresowała się Zela.

- Jest nieco pokiereszowany, ale się wyliże. Doktor Pannell opatrzył mu rękę. Powiedział, że to proste złamanie, więc kość powinna się zrosnąć bez problemu.

- Podczas gdy byłeś zajęty odwiedzinami u dzierżawców, ja zabawiałem gości, co okazało się nad wyraz przyjemnym obowiązkiem - oświadczył Jasper i położył rękę na dłoni Zeli.

Dominic popatrzył na nią ciężkim wzrokiem.

- Właśnie kazałem podstawić powóz dla pani siostry - oświadczył sztywno.

Znała go już dość dobrze, więc było dla niej jasne, że jest wściekły.

- W takim razie pójdę po szal - odparła.

Minęła Dominica i weszła do budynku, zastanawiając się, czy otrzymał złe wieści. Może chodziło o kłusowników albo okazało się, że sir Oswald zabił kolejne jelenie. Zbliżała się do szczytu schodów, kiedy dobiegł ją gniewny głos majora.

- Na litość boską, Jasperze - mówił z wyrzutem w głosie. - Flirtujesz z każdą napotkaną kobietą! Czy musisz starać się zauroczyć również moją bibliotekarkę?

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Bibliotekarka. Tylko tyle dla niego znaczą, pomyślała ze smutkiem i pokręciła głową. Starła się nie zwracać uwagi na łóżko, które nadal stało w pokoju, przypominając jej o balu. Pogoda się pogorszyła i zaczął padać deszcz. Nie widziała nikogo z wyjątkiem pani Graddon, która w południe przyniosła jej tacę z przekąską i zaproszeniem od pani Hensley – siostra majora chciała, żeby Zela dołączyła do towarzystwa i wraz z nimi zagrała w szarady.

Zela poprosiła panią Graddon o przekazanie podziękowań i przeprosin, gdyż i tak straciła już za dużo czasu. Chciała zakończyć pracę w Rooks Tower, żeby móc w każdej chwili przenieść się do Bath, gdyby jej zgłoszenie zostało przyjęte. Dominic powiedział, że Sally znajdzie jej stanowisko u jednej ze swoich znajomych, ale Zela wolała zerwać kontakt z rodziną majora Coale'a i już wysłała referencje.

Z ulgą wróciła do West Barton, ale nawet tam mówiono tylko o balu. Dowiedziawszy się, że Maria jest w pokoju dziecięcym, pobiegła na górę i przekonała się, że Nicky opowiada

piastunce, jak cudownie spędził czas w Rooks Tower.

- Pan major przyniósł mi kolację, a ponieważ siedziałem na półpiętrze, mogłem wyraźnie słyszeć, co mówią ludzie, którzy zatrzymywali się pod schodami.

Maria uniosła rękę.

- Dobry Boże, podsłuchiwał! Teraz zna wszystkie tajemnice wsi.

- Prawie wszystkie, mamó - sprostował z uśmiechem Nicky. - Na przykład lord Markham powiedział jednej z dam, że jej oczy kojarzą mu się z gwiazdami, a potem przyszedł sir Oswald razem z...

- Dość! - Maria uciszyła go stanowczym gestem. - Podsłuchiwanie cudzych rozmów jest bardzo nieładne, Nicholasie, i nie wolno ci już nic mówić na ten temat. Nikt nie lubi, kiedy inni strzygą uszami. - Skierowała spojrzenie na siostrę. - Dobry wieczór, Zelo. Bardzo zmokłaś w drodze do domu? Miałam cichą nadzieję, że major Coale albo jego siostra ulitują się nad tobą i odesłają cię do domu powozem.

- Wymknęłam się, nic nikomu nie mówiąc. - Zela przypomniała sobie krzyki i śmiechy, dobiegające z głębi domu, kiedy przemykała się przez główny hol. - Nie umawiałam się



z majorem na to, żeby udostępniał mi powóz.

- Ale też nie umawiałaś się z majorem na to, żeby się przeziębiał w drodze z pracy - zauważyła Maria. - Mniejsza z tym, grunt, że dotarłaś bezpiecznie. Pan Lerryn przesłał wiadomość, że wznawia podróż do Bristolu, więc będziemy mogli spożyć cichą rodzinną kolację.

Zela zmówiła w myślach dziękczynną modlitwę. Co prawda, Dominic zapewniał ją, że nic jej nie grozi ze strony Timothy'ego, ale i tak odetchnęła z ulgą. Dobrze się stało, że ten osobnik wyjechał z Lesserton, miała jedno zmartwienie mniej.

Następnego ranka Zela zjawiała się w Rooks Tower w wyjątkowo ponurym nastroju. Wiedziała, że potrzebuje jeszcze tylko dwa, najwyżej trzy tygodnie, aby ukończyć pracę. Biblioteka była w takim stanie, w jakim ją pozostawiła, i nic nie wskazywało na to, żeby major sprawdził jej postępy. Pomyślała z przykrością, że celowo jej unika.

Ledwie wzięła się do pracy, gdy do pokoju wpadła Sally Hensley.

- Och, dobrze, że jesteś! - wykrzyknęła energicznie. - Przyszłam się pożegnać.

- Pożegnać? - Zela wstała i natychmiast

trafiła w objęcia Sally.

- Tak. Zamierzałam zostać jeszcze przez co najmniej dwa tygodnie, ale dzisiaj otrzymałam list od mojego ukochanego męża. Ben miewa się dobrze, jest w Anglii i jedzie do naszego domu w Fellbridge. Być może już dotarł na miejsce, gdyż jego list dostarczono do Markham, a stamtąd odesłano do mnie. Muszę natychmiast ruszać w drogę. Mam tylko nadzieję, że deszcz nie spowolni mojej podróży. Och, tak bardzo się cieszę, że znów go zobaczę!

- To bardzo dobre wieści. - Zela nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż Sally ponownie zamknęła ją w serdecznym uścisku.

- Dziękuję. Uważam cię za swoją przyjaciółkę i bardzo żałuję, że muszę wyjechać, ale na pewno napiszę do ciebie do West Barton.

- Właściwie... chyba nie zabawię tam już zbyt długo. Prawie skończyłam pracę w bibliotece i liczę na to, że wkrótce dotrą do mnie informacje z Bath.

Sally wpatrywała się w nią przez moment, jakby chciała zaprotestować, jednak ostatecznie tylko skinęła głową.

- Dobrze, ale jeśli przyjmiesz nową posadę, musisz koniecznie mi o tym napisać -

zażądała. – Nie chcę stracić z tobą kontaktu.

W następnej chwili wybiegła, jakby się paliło, pozostawiając po sobie ledwie wyczuwalną woń perfum.

Deszcz padał do późnego popołudnia i ustał dopiero około piątej. Niebo jednak nadal było pokryte grubą warstwą sinych chmur, więc Zela postanowiła iść jak najszybciej do West Barton, nim burza zerwie się na nowo.

Właśnie mijała hol, kiedy ktoś zawołał ją po imieniu.

Odwróciła się i ujrzała Dominica, który stał w drzwiach gabinetu.

– Czy zechciałabyś poświęcić mi kilka minut przed wyjściem? – zapytał.

– Jak najbardziej.

Odsunął się i wpuścił ją do środka.

– Doskonale spisałaś się w roli bibliotekarki – powiedział rzeczowo. – Należą ci się gratulacje.

– Dziękuję. Lista tytułów jest już niemal gotowa. Jutro zajmę się ostatnim działem.

– To nie będzie konieczne.

Zmarszczyła brwi.

– Przykro mi, ale nie rozumiem.

Odwrócił się i podszedł do okna.

– Zrobiłaś już wystarczająco dużo, i bardzo

ci za to dziękuję - oświadczył. - Dopilnuję, żebyś otrzymała resztę wynagrodzenia. Pieniądze jutro trafią do West Barton.

Skonfundowana Zela zamrużyła powiekami.

- Nie chcesz, żebym wróciła do Rooks Tower?

- Zgadza się.

- Przecież jeszcze nie skończyłam!

- Nie musisz robić nic więcej.

Zacisnęła dłoń.

- Czy jesteś... czy jest pan niezadowolony ze mnie... z mojej pracy? - spytała niepewnie.

- Przecież mówiłem, że ci gratuluję. Spisałaś się doskonale - podkreślił z naciskiem.

- To nie ma sensu - zaprotestowała. - Jeszcze tylko kilka tygodni, a...

- Nie! - Odwrócił się gwałtownie. - Nie rozumiesz? Usiłuję chronić twoją reputację. Obecność mojej siostry gwarantowała minimum przyzwoitości, ale teraz...

- Nigdy wcześniej pan się tym nie przejmował.

- Popełniłem błąd. Zatrudnienie cię było niedobrym pomysłem.

- Sam mnie pan tutaj zaprosił! - krzyknęła z narastającą złością.

- Wiem. Złe się stało, przyznaję.

Zela nagle zorientowała się, że pod jej

irytacją kryje się jeszcze jedno uczucie: panika. Była przerażona, że już nigdy nie zobaczy Dominica.

- Chciałabym dokończyć to, co zaczęłam – poprosiła cicho. – Jeżeli obawia się pan o moją reputację, to przez cały czas pracy mogę mieć przy sobie pokojówkę. Niech towarzyszy mi Hanna.

- Nie. Już postanowiłem. Jesteś w Rooks Tower po raz ostatni.

Popatrzyła mu w oczy, ale nie dostrzegła w nich zrozumienia. Dominic wydawał się wycofany, nieobecny.

Za drzwiami rozległy się głosy, ale ledwie zwróciła na nie uwagę.

- Nawet nie poda mi pan ręki? – spytała. – Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi.

Miał taką minę, jakby w wyciągniętej dłoni trzymała sztylet.

- Przyjaciółmi... – powtórzył i w tej samej chwili jego oczy zapłonęły. – Zelo...

Urwał, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Reginald.

- Majorze Coale! Zelo! – wydyszał. – Dzięki Bogu. Widzieliście Nicky'ego?

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dominic opuścił ręce, które wyciągnął do Zeli, i przez chwilę wpatrywał się ze zdumieniem w Bucklanda. Na jego twarzy dostrzegł olbrzymie napięcie.

- Co się stało? - spytał major.

- Mój syn zaginął. Padało, więc przysłałem po niego powóz do szkoły, ale Nicky już zdążył wyjść. Inni chłopcy powiedzieli, że poszedł do domu, lecz stangret nie mijał go po drodze. Postanowiłem sprawdzić, czy nie przyszedł tutaj.

- Nie widziałem go, ale mógł przejść prosto do kuchni

Dominic opuścił gabinet i wydał krótkie polecenie lokajowi, który natychmiast pobiegł sprawdzić. Po kilku minutach wrócił i szepnął coś do Dominica, który z chmurną miną oznajmił:

- Nikt go nie widział - oznajmił. - Czy mógł odwiedzić kolegę?

Reginald pokręcił przecząco głową.

- Już to sprawdziłem. Przepraszam, ale skoro go tutaj nie ma, muszę wracać.

- Tak, racja. Wracajmy jak najszybciej do

domu - zgodziła się pośpiesznie Zela.

- Zaraz! - Dominic złapał Reginalda za rękaw. - Przyjechał pan wierzchem?

- Tak.

- Zatem pojedziemy za panem dwukółką. - Rzucił okiem na pobladłą twarz Zeli. - Wiem, że to dłuższa trasa niż na przełaj, ale dotrzemy na miejsce niemal tak szybko, jakbyśmy szli pieszo.

Ścisnęło mu się serce. Zela wydawała się kompletnie zagubiona. Nie powinien się jednak dziwić. Przecież zaledwie przed chwilą dał jej do zrozumienia, że nie chce mieć z nią nic wspólnego. Posłał Reginalda w drogę i kazał zaprzęgać do dwukółki, a gdy wrócił do gabinetu, Zela nadal stała pośrodku pomieszczenia. Pomógł jej usiąść na krześle.

- Spróbuj się nie przejmować - poradził. - Kto wie, może Nicky jest już w domu.

- Tak, naturalnie.

Dominic nie oszczędzał koni, modląc się w duchu, aby na wąskiej drodze nie było żadnych przeszkód. Zatrzymał się tylko raz, żeby wysadzić stajennego w Lesserton - służący miał za zadanie zasięgnąć języka w okolicznych gospodach. Potem znowu pognął na łeb, na szyję. Gdy przypadkiem zerknął na

Zelę, zauważył, że jedną ręką kurczowo trzyma się poręczy, a drugą mocno przyciska do głowy kapelusza.

- Proszę mi wybaczyć, że tak pędzę - powiedział.

- Niech pan nie zwalnia z mojego powodu - odparła - Ja też chcę jak najszybciej dotrzeć do West Barton.

Gdy tylko zajechali na miejsce, z budynku wybiegł lokaj i przytrzymał konie za uzdy. Zela zeskoczyła na ziemię, nie czekając na asystę Dominica, i oboje pospieszyli do domu. Kiedy jednak ujrzeli kamerdynera, jego zboląta mina powiedziała im wszystko. Nicky jeszcze nie wrócił.

W salonie Reginald nerwowo krążył od ściany do ściany, a Maria siedziała na kanapie, z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy drzwi się otworzyły, zerwała się na równe nogi i łkając, rzuciła w objęcia siostry.

Dominic popatrzył na Reginalda, który przecząco pokręcił głową.

- Nikt go nie widział - rzekł z westchnieniem. - Wysłałem ludzi do wsi, żeby popytali miejscowych, ale nikt nic nie wie. Widziano, jak Nicky wychodził ze szkoły i szedł w stronę domu, po czym znikł.



- Kazałem przeszukać moje lasy - oznajmił major. - Wszyscy w Rooks Tower przepadają za Nickym, więc zrobią, co w ich mocy, żeby go odnaleźć.

- Moje biedne dziecko - jęknęła Maria. - Gdzie on może być?

Przez chwilę wszyscy milczeli, aż w końcu Maria odsunęła się od siostry.

- Zapominam o obowiązkach gospodyni. - Westchnęła i otarła oczy chustką. - Pan major pewnie miałby ochotę na herbatę.

- Moim zdaniem brandy byłaby bardziej adekwatna - zasugerował Reginald.

Dominic pokiwał głową, a Reginald zadzwonił na lokaja.

- A ja napiłabym się herbaty - oświadczyła Zela, licząc na to, że codzienne rytuały nieco podniosą siostrę na duchu.

Oczekiwali na wieści w milczeniu. Każde pukanie do drzwi zwiastowało powrót kolejnej ekipy poszukiwawczej, lecz wszystkie przybywały z niczym. Nadeszła pora posiłku, do którego zasiadł także Dominic, jednak apetyt nikomu nie dopisywał. Mijały godziny. W końcu Maria wstała apatycznie i oznajmiła, że musi nakarmić niemowlę. Korzystając z okazji, Dominic oznajmił, że wraca do Rooks

Tower.

- Nie, panie majorze, proszę zostać - zaoponowała Maria. - Niech pan zaczeka przynajmniej do mojego powrotu.

Nie mógł odmówić, ale męczyła go bezczynność. Gdy Maria wróciła do salonu, za oknami zapadał zmrok.

- Muszę już iść - powiedział stanowczo Dominic. - Stajenny czeka na mnie w Lesserton. Wrócę ponownie z rana, a jeśli nadal nie będzie nic wiadomo, obmyślimy plan.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i na progu stanął kamerdyner. Podszedł do Reginalda i wręczył mu złożoną kartkę papieru.

- Ktoś wsunął to pod drzwi, jaśnie panie - oznajmił. - Wyrząłem, ale nikogo już nie było.

- Wyjdź na zewnątrz i rozejrzyj się po okolicy - polecił ostrym tonem Reginald, przyjmując list.

- Na to już za późno - orzekł Dominic, gdy wyrzwał przez okno. - Ktokolwiek to jest, z pewnością natychmiast uciekł. - Stanął przy kominku i popatrzył pytająco na sposepniałego Reginalda. - No więc?

- Co to takiego? - zniecierpliwiła się Maria, przyciskając dłonie do piersi. - Powiedz wreszcie!

Reginald wręczył list Coale'owi.

- Gdyby mógł pan odczytać to na głos - powiedział cicho.

Dominic przebiegł wzrokiem kolejne wiersze, a potem przeczytał na głos:

- „Jeśli rodzice pewnego młodego człowieka chcą go ponownie ujrzeć całym i zdrowym, niech nie przedstawiają żadnych nowych dowodów w White Hart w przyszły piątek i niech nie podejmują żadnych kroków, żeby go znaleźć. Jeśli zastosują się do niniejszych wskazówek, rzeczony młody człowiek zostanie odstawiony nietknięty w następną niedzielę”.

- Och! - Maria zasłoniła usta dłońmi.

- Evanshaw - wycedził Reginald. - To na pewno on. - Zacisnął pięści. - Ale skąd wiedział? Podszedł do mnie na balu i wspomniał o przesłuchaniu. Przechwalał się, że nie może przegrać. Nie wierzę, że wówczas wiedział o nowym dokumencie.

- Nikomu o nim pan nie mówił? - spytał Dominic.

- Skąd. Oczywiście, że nie. Jak wspomniałem, woląłem zachować to w tajemnicy przed tym wrednym prawnikiem, którego zatrudnił Evanshaw.

- Ani ja nie poinformowałem o dokumencie nikogo w Rooks Tower - rzekł Dominic. -

Zatem nie wiedział o nim nikt spoza tego pokoju.

- Pan Lerryn. - Zela przyłożyła dłonie do pobladłych policzków. - Był tutaj Timothy, kiedy przynieśliśmy manuskrypt.

- Wielkie nieba, racja! - Reginald wzdrygnął się ze zgrozą. - Wieczorem przy brandy wypytywał mnie o proces.

- A ja na balu pokazałam mu sir Oswalda - wyszeptała Zela. - Z pewnością go ostrzegł. - Skierowała przerażone spojrzenie na Dominica. - To wszystko moja wina. W ten sposób postanowił się na mnie zemścić.

Dominic zauważył, że Reginald i Maria patrzyli na Zelę ze zdumieniem.

- Lerryn narzucal się Zeli - wyjaśnił szybko - a ja przywołałem go do porządku. Jeśli w ogóle można mówić o winie, to tylko o mojej. Wpuściłem tego człowieka do domu.

- Mniejsza z tym - stwierdził Reginald. - Lepiej pomyślmy, jak ratować Nicky'ego.

Maria zerwała się i chwyciła go za rękę.

- Musisz natychmiast jechać do sir Arthura - zażądała. - Odpowiada za prawo i porządek, więc może zebrać uzbrojonych ludzi i jechać do Lydcombe Park.

- Nic z tego nie będzie - orzekł Dominic. - Sir Oswald wszystkiemu zaprzeczy.

- Ale to na pewno jego sprawka - zaprotestowała Zela. - Moglibyśmy przeszukać Lydcombe...

Dominic westchnął ciężko.

- Z pewnością nie zabrali chłopca na teren posiadłości Evenshawa.

Maria powiodła wzrokiem po ich twarzach.

- Jak myślicie, czy ten niegodziwiec w ogóle dotrzyma słowa? - spytała z trwogą.

Reginald potarł dłonią czoło.

- Dlaczego nie? - odparł. - Po zamknięciu sprawy będzie za późno na jakiegokolwiek zmiany.

- Ale przecież nie możemy beczynnie czekać! - odezwała się zdenerwowana Zela.

Reginald wyrwał Dominicowi list i zamachał nim rozpaczliwie.

- Tutaj jest napisane, że jeśli spróbujemy go szukać... - Urwał i wyznał: - Boję się cokolwiek przedsięwziąć.

Wszyscy nagle umilkli, słysząc głosy w holu. Maria drgnęła, gdy drzwi się otworzyły, ale na widok Jaspera ponownie zwiesiła głowę. Był ubrany w strój do jazdy konnej, a jego ostrogi pobrzękiwały przy każdym kroku.

- Lord Markham! - wykrzyknął z nadzieją Reginald.

Jasper skinął głową zebrany i ściągnął

rękawiczki.

- Szukałem Nicky'ego i natknąłem się na Sawleya. - Popatrzył na stajennego, który wszedł za nim do pokoju. - Biegł tutaj, ile sił w nogach, więc wziąłem go na konia i przywiozłem, bo chodzi o coś ważnego.

Jem Sawley ściągnął czapkę i wykręcił ją w rękach.

- Pomyślałem, że spotkam jaśnie pana majora na drodze, bo jaśnie pan nie przyjechał do White Hart, a chciałem powiedzieć, com się dowiedział. - Otarł twarz czerwoną chustką. - Zrobiłem, jak jaśnie pan kazał, i poszedłem do gospody na piwo. Na wszelki wypadek naciągnąłem kaptur na głowę i usiadłem w kącie. W izbie było jeszcze ze dwóch ludzi sir Oswalda i obaj pili, jak wszedł jakiś jegomość, co to szukał Millera, zarządcy. Powiedział, że ma dla niego koguty do walki. Wtedy jeden z ludzi sir Oswalda powiedział, że Miller pojechał do brata, a na to drugi kopnął go w kostkę, żeby go uciszyć. „To dziwne”, mówi jegomość. „Jak go widziałem przedwczoraj wieczorem, to powiedział, że tu będzie, żeby odebrać ode mnie ptaki”. Potem coś tam szeptali i się rozglądali na boki, a mnie się wydawało, że to jakaś podejrzana sprawa musi być. - Jem potarł nos

i zmarszczył brwi. - Niedługo potem wyszli, więc się zabrałem na High Street porozmawiać ze starą Tawton, praczką. Plotkara z niej, jakich mało, i wszystko wie o wszystkich w Lesserton i okolicach. Wieczór był ciepły, to ją zastałem na progu, jak paliła fajkę. Powiedziała mi, że brat Millera prowadzi gospodę w Beston Quay, nad morzem. I że to właśnie on dostarcza sir Oswaldowi brandy i herbatę.

- Przemysłowcy - podsumował Reginald i potarł brodę.

- Raczej nie zawahaliby się przed porwaniem - dodał Dominic.

- Ale to będzie ponad sześćdziesiąt kilometrów stąd - zauważył Buckland. - Wywieźliby chłopca tak daleko?

- Jeśli maczał w tym palce Evanshaw... Nie zaryzykowałby ukrywania dziecka gdzieś w pobliżu - ocenił Jasper. - Powinniśmy tam jechać.

- Tak, tak! - krzyknęła Maria. - Jedź tam natychmiast, Reginaldzie!

- Tak, powinniśmy... - Reginald urwał, nagle przygnębiony. - Przecież to się nie uda. Widział pan list, Coale. Porywacz grozi, że zabije chłopca, jeśli będziemy go szukać. Mamy związane ręce.

Dominic wyjął list z rąk Reginalda i przekazał go bratu.

- Wy możecie mieć związane ręce - powiedział - ale ja nie. Nikogo nie będzie obchodziło, jeśli na dzień lub dwa wyjadę z Rooks Tower, a wy pokażecie się w Lesserton, żeby rozwiać podejrzenia.

Jasper natychmiast zareagował.

- Jadę z tobą - oznajmił.

Buckland pokręcił głową.

- Nie, nie - zaproponował. - Nie mogę na to pozwolić. Gdyby Evanshaw się dowiedział...

Zela położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie mamy wyjścia - zauważyła cicho.

- Jeśli przystaniemy na żądania porywaczy, Evanshaw zagarnie nienależną mu ziemię - powiedział łamiącym się głosem Reginald. - Wieśniacy stracą grunt, a ja wydam mnóstwo pieniędzy, których mi brakuje, na bezsensowne sądowe spory.

- Ale odzyskamy syna - zauważyła Maria i ponownie ukryła twarz w dłoniach.

- A jeśli Nicky jest w Beston i uda się nam sprowadzić go przed przesłuchaniem? - spytał Dominic.

Jasper skinął głową.

- Właśnie. Moim zdaniem warto spróbować - oświadczył.



- Łatwo panu mówić - rzucił nerwowo Reginald. - W grę nie wchodzi życie pańskiego syna.

- To prawda - przyznał Dominic. - Ale jaką mają państwo gwarancję, że Evanshaw dotrzyma słowa i uwolni chłopca? Spróbujmy odszukać Nicky'ego. Jeśli go tam nie ma, niczego nie stracimy. Natomiast jeśli jest...

- Och, tak - zaszlochała Maria. - Tak, musimy spróbować! Sama chciałabym tam pojechać. Mój biedny mały chłopczyk na pewno umiera ze strachu.

- Pojadę z panami, jeśli użyciecie mi wierzchowca - powiedziała cicho Zela.

Dominic był pewien, że się przesłyszał, a Jasper stanowczo zaprotestował.

- Nie, panno Pentewan - oświadczył. - To wykluczone.

- Nicky może mnie potrzebować - zauważyła. - To mały chłopiec, daleko od domu i od wszystkiego, co zna. Z pewnością jest przerażony.

Dominic przecząco pokręcił głową.

- Nie ma mowy - uciął. - To zbyt niebezpieczne.

Zela wbiła w niego spojrzenie pełne bólu.

- Bardzo proszę... - szepnęła. - Muszę jechać. Nicky jest dla mnie jak syn. Nawet nie

chcę myśleć o tym, co by było, gdybym go straciła.

Dostrzegł w jej oczach ból i nagle zrozumiał, że dręczy ją poczucie winy. Lerryn wyjawiał tajemnicę manuskryptu ze względu na to, że Zela go odrzuciła. Rozsądek podpowiadał mu, że nie powinien pozwolić jej jechać, ale decyzję podjął pod wpływem odruchu serca.

- Będziemy pędzić co koń wyskoczy - zapowiedział ostrzegawczym tonem.

Popatrzyła mu w oczy.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła. - Dzięki pani Sally nabrałam wprawy w ostatnich tygodniach.

- Sal zostawiła Porcję w Rooks Tower - odezwał się Jasper. - Każę ją osiodłać. Wyruszmy o świcie.

Zela skinęła głową.

- Mój strój do konnej jazdy nadal jest w Rooks Tower. Pojadę z panami już teraz. - Odwróciła się do siostry. - Ty i Reginald musicie utwierdzić sir Oswalda w przekonaniu, że wzięliście sobie jego żądania do serca. Bez obaw, jeśli Nicky jest w Beston Quay, na pewno go znajdziemy.

Maria uścisnęła ją mocno.

- Przywieź go do domu, Zelo - poprosiła z nadzieją w głosie.

Dominic odwrócił się do Reginalda.

- Czy może pan ufać swojej służbie?

- Mogę - potwierdził Reginald. - Wszyscy pracują u mnie już od wielu lat.

- Doskonale. W takim razie proszę ich uprzedzić, że nikt nie może wiedzieć, co robimy. Poza tym należy rozgłosić, że panna Pentewan źle się czuje i przez kilka dni zostanie w pokoju.

Zela popatrzyła na niego i Dominic dostrzegł w jej oczach ledwie zauważalne rozbawienie.

- Naturalnie, jestem wyczerpana po balu - przyznała.

- Zdążycie? - spytał Reginald. - Jutro jest czwartek. Zdążycie pojechać do Beston i wrócić przed rozprawą?

- Zrobimy, co w naszej mocy. - Dominic uściśnął mu dłoń. - Proszę trzymać dokument pod ręką, żeby mógł go pan okazać podczas przesłuchania. Jeśli dopisze nam szczęście, to wygramy z Evanshawem!

Dotarli do Rooks Tower po zmroku; Jasper zjawił się tam pierwszy i już czekał, żeby pomóc Zeli wysiąść z dwukółki.

- Wszyscy poszli spać - oznajmił, wprowadzając Zelę do holu. - Pozwoliłem sobie poprosić panią Graddon, żeby

przygotowała dla pani łóżko, panno Pentewan. Powiedziała, że pokój w wieży jest gotowy. Zamówiłem przekąski do saloniku. Chyba nie masz nic przeciwko temu, Dom?

- Ależ skąd.

Kiedy Jasper odszedł, Zela podążyła za Dominikiem.

- Obiecuję, że nie będę wam kulą u nogi - powiedziała.

Podszedł do okna i zamknął okiennice.

- Wiem - odparł krótko. - Widziałem, jak pani jeździ, panno Pentewan.

Wzdrygnęła się, słysząc jego oficjalny ton.

- Przecież już zwracałeś się do mnie po imieniu - przypomniała mu poufale.

Dominic zaklął pod nosem.

- Dokładam wszelkich starań, żeby panią chronić, a pani bardzo mi to utrudnia! Proszę mi nie psuć szyków!

Zela uniosła brwi w wyrazie zdziwienia.

- Naprawdę uważasz, że chcę psuć ci szyki?

Wzniósł oczy ku sufitowi i ciężko odetchnął.

- Nie... Wiem, że nie. Jednak nie mogę narażać cię na plotki - wyjaśnił.

Wzruszyła ramionami.

- To bez znaczenia. I tak wkrótce wyjeżdżam - zauważyła. - Poza tym dobro Nicky'ego jest ważniejsze od reputacji, choćby i najlepszej.

Wyruszyli o wschodzie słońca i skierowali się ku granicy Devon. Zela jechała między Dominikiem a jego bratem, zaś Jem Sawley podążał za nimi na dużym nakrapianym dereszku. Jasper wybuchł śmiechem, gdy stajenny wyprowadził go na podwórze przed domem.

- Wielkie nieba, Dom, masz w swojej stajni tylko brzydkie konie? - spytał.

- A jakże. - Dominic uśmiechnął się szeroko.  
- Doskonale pasują do właściciela!

Jasper mrugnął porozumiewawczo do Zeli, zanim wskoczył na swojego zgrabnego gniadosza. Pogawędka nieco poprawiła im humory.

Po kilku godzinach dotarli nad morze. Ominęli pobliską wieś i skierowali się prosto ku nabrzeżu, oddalonemu o niecałe dwa kilometry na zachód. Wkrótce zatrzymali konie nad stromym urwiskiem i rozejrzeli się po okolicy. Po obu ich stronach nierówne czarne klify opadały wprost do sienie wody, a bezpośrednio pod nimi znajdowały się zabudowania. Gospoda mieściła się w niskim kamiennym budynku z niebieskim szyldem; pod ścianą rzędem ustawiono beczki.

- Najlepiej będzie, jeśli pojedę tam sam - odezwał się Jasper. - Niewykluczone, że

w gospodzie są ludzie Evanshawa, którzy mogliby was rozpoznać.

Zela przyjrzała się małej osadzie.

- Tam mieszkają ubodzy ludzie i widać, że mało kto do nich zagłąda - oceniła sceptycznie. - Co pan im powie?

Jasper uśmiechnął się szeroko.

- Bez obaw, świetnie sobie radzę w roli ekscentrycznego podróżnika. - Wskazał palcem mały zagajnik. - Zaczekajcie na mnie tam. Spróbujcie nie rzucać się w oczy.

Po tych słowach ruszył w dół krętą ścieżką, a jego towarzysze skierowali się ku drzewom. Nie mogli wjechać do zagajnika, gdyż uniemożliwiały im to niskie gałęzie, więc zeskoczyli z koni, które Sawley odprowadził wąską dróżką. Zela cieszyła się, że gęsty baldachim liści chroni ich przed palącym słońcem. Dróżka prowadziła do małej polanki; tam stajenny zabrał konie na bok, a Zela i Dominic usiedli na dużym pniu drzewa.

- Przypomniało mi się, jak zobaczyłam cię pierwszy raz - powiedziała Zela i ściągnęła kapelusz. - Pracowałeś w lesie, a ze sobą miałeś wielką siekierę.

- A do tego wyglądałem jak dzikus. Musiałem napędzić ci stracha.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Nie - odparła w końcu. - Właściwie nigdy się ciebie nie bałam, choć faktycznie prezentowałeś się przerażająco.

- Nie bałaś się, nacierając na mnie z gałęzią w dłoni?

- To był tylko patyk. - Zachichotała. - Od razu mnie rozbroiłeś.

Serce Zeli zabiło szybciej, kiedy popatrzył na nią z uśmiechem.

- Byłaś bardzo dzielna - zauważył. - Zaatakowałaś nieznajomego, być może bardzo groźnego. Przecież nie mogłaś wiedzieć, czego się po mnie spodziewać.

- Nie mogłam opuścić Nicky'ego w potrzebie.

- Bardzo go lubisz, prawda?

- Jest dla mnie... - Urwała i pokręciła głową.

- Mów dalej - zachęcił ją łagodnie Dominic.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić.

- Jest dla mnie jak dziecko, którego nie miałam okazji przytulić, bo nie przeżyło nawet jednego dnia. Sądziłam, że uporałam się z bólem, ale moje wspomnienia odżyły, kiedy w West Barton ujrzałam pasierba siostry. Był taki pogodny, tryskał energią. Kogoś takiego nie da się nie pokochać.

Dominic roześmiał się cicho.

- Wiem, co masz na myśli - przyznał. - Nicky

szybko znalazł drogę i do mojego serca.

- A teraz ktoś go porwał... - Mocno zacisnęła dłonie na kolanach. - Jak sądzisz, czy Jasper go znajdzie?

Dominic poczuł ukłucie zazdrości, gdy nazwała jego brata po imieniu.

Pokręcił nieznacznie głową i skupił uwagę na jej pytaniu.

- Wątpię, żeby to było takie proste - odparł.  
- Jeśli mają chłopca, to z pewnością starannie go ukryli. Jasper może jednak zdobyć jakieś wskazówki.

Zela zadrżała i instynktownie przybliżyła się do Dominica, który objął ją ramieniem.

- Nie martw się - dodał. - Jeśli chłopiec jest tutaj, to go znajdziemy.

Oparła się o niego, a on opuścił głowę i dotknął brodą jej brązowych włosów. Sam nie wiedział, kiedy najważniejszą rzeczą na świecie stało się dla niego jej szczęście. Odetchnął głęboko, gdy zacisnęła palce na jego dłoni.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Tak dobrze mieć cię przy sobie. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Przyjacielem, powtórzył Dominic w myślach i poczuł ucisk w gardle. Zela upierała się, że powinni być przyjaciółmi, a tymczasem chciał



od niej znacznie więcej.

Siedzieli tak przez długi czas, wsłuchując się w cichy szelest liści i parskanie koni.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Słuchaj!

Zela podniosła głowę, słysząc szept Dominica. Zamarła w bezruchu. Najpierw do jej uszu doszło radosne pogwizdywanie, a po chwili pojawił się Jasper. Dominic wyszedł mu na powitanie.

- Czego się dowiedziałeś?

- W osadzie jest dom celny, trochę magazynów i kilka chałup na nabrzeżu oraz gospoda, naturalnie - odparł Jasper. - Nosi nazwę „Pod Kotwicą”. To przybytek mocno podupadły, w którym bywają głównie rybacy, więc chwilowo jest tam spokojnie, bo wszystkie łodzie wypłynęły. - Z uśmiechem ściągnął rękawiczki. - Gospodarz nazywa się Miller...

- To brat zarządcy Evanshawa - oznajmiła Zela.

- Możliwe. - Pokiwał głową. - Ani on, ani jego żona nie są przesadnie gościnni. Oznajmili, że nie mają wolnych pokojów, i zasugerowali, żebym poszedł sprawdzić, czy w gospodzie „Pod Okrętem” w Beston nie jest lepiej.

- Nigdzie nie widział pan Nicky'ego? - spytała Zela z niepokojem.

- Nie, ale wydawało mi się, że słyszę dziecięcy głos z jednego z pokoiów na piętrze.

- Musimy natychmiast wracać do gospody - oznajmiła. - Jeśli Nicky tam jest, trzeba go jak najszybciej uwolnić.

- Taki mam zamiar, ale nie powinniśmy się śpieszyć. - Dominic wskazał głową wybrzeże.

- Kiedy się rozpada, będzie mniej prawdopodobne, że nas zobaczą.

Z zachodu nadciągały ciemne chmury. Czas włókł się niemiłosiernie, ale chmury w końcu nadpłynęły nad pola, a gdy zbliżyły się do drzew, panowie sięgnęli po płaszcze. Jasper i Dominic ukryli mankiety i owinęli szyje grubymi szalami, by zasłonić białe koszule. Zela, otulona obszerną peleryną i z kapturem na głowie, pomyślała, że wyglądają niczym trzy upiory, wyłaniające się z kłębow mgły. Chwyła za wodze Porcji.

- Czy któryś z panów pomoże mi wsiąść na konia? - zapytała.

- Lepiej będzie, jeśli zaczekasz tutaj z Jemem - oznajmił Dominic.

- Jadę z wami.

- Absolutnie nie.

- Ale...

- Nie mamy czasu na kłótnie. - Uniósł rękę. - Musimy skupić się na uwolnieniu Nicky'ego, a nie na chronieniu ciebie.

Zela otwierała usta, żeby zaprotestować, jednak Jasper ujął jej dłoń.

- Dominic ma rację - powiedział. - Byłaby pani dla nas ciężarem. Obaj lękalibyśmy się o pani bezpieczeństwo. Ja i Dom uratujemy chłopca. A jeśli coś pójdzie nie tak, będzie mogła pani wszcząć alarm.

Zela ugryzła się w język. Gdyby zaprotestowała, jeszcze bardziej utwierdziłaby ich w przekonaniu, że jest kłopotliwą towarzyszką podróży.

Jasper skinął jej głową i wyprowadził gniadosza z polanki. Dominic stanął przed Zelą, zawahał się, po czym położył ręce na jej ramionach.

- Nie przejmuj się - powiedział. - Jeśli chłopiec tam jest, znajdziemy go i przyprowadzimy do ciebie.

W milczeniu skinęła głową i odprowadziła ich wzrokiem.

Dominic podążył wąską dróżką za bratem. Tuż za niewielkim wzniesieniem Jasper podjechał do rozpadającej się stodoły. Brakowało w niej drzwi, ale dach był niemal

cały.

- Zostawmy tu konie - zaproponował Jasper.  
- Gospoda leży po drugiej stronie nabrzeża, ale to niedaleko.

- W porządku. - Dominic wyciągnął pistolet z kabury przy siodle. - Idź do gospody i odwróć uwagę obsługi. Ja wśliznę się od tyłu i przeszukam pokoje.

- Będę grymasił i wybrzydzał, jak na lorda przystało. - Jasper popatrzył na Dominica. - Bądź ostrożny, bracie.

Po chwili zniknął między budynkami. Dominic odczekał kilka minut, po czym ruszył za Jasperem. Okolica była wyludniona, przy nabrzeżu nie spostrzegł łodzi. Trzymał się blisko budynków, więc woda z dachów spływała mu na kapelusz i ramiona. Po chwili skręcił w wąski zaułek, który prowadził na tyły gospody, długiego i niskiego budynku w kształcie litery L.

Słyszając, jak Jasper donośnym i naburmuszonym głosem domaga się przyścia gospodarza, Dominic ostrożnie ruszył ku otwartemu wejściu i po chwili znalazł się w wąskiej sieni. Uchylone drzwi z prawej prowadziły do kuchni; z lewej strony znajdowały się schody. Wszedł na nie cicho i odetchnął z ulgą - na szczęście nie skrzypiały.

Na podeście ujrzał kilkoro drzwi. Niewiele myśląc, nacisnął jedną z klamek i wkroczył do pomieszczenia, gotów przeprosić i się wycofać, gdyby pokój był zajęty. Postanowił zachowywać się jak gość, który się pomylił.

Pokój okazał się pusty i biednie urządzone, ale czysty. Stało w nim posłane łóżko. Za drugimi i trzecimi drzwiami również znajdowały się puste pomieszczenia.

- Hm - mruknął pod nosem Dominic. - Wcale nie mają kompletu.

Następne drzwi okazały się zamknięte i zaryglowane od zewnątrz ciężką zasuwą. Świeże drzazgi wskazywały na to, że zamocowano ją niedawno. Zapukał cicho i usłyszał łkanie. Natychmiast wyjął z kieszeni nóż i zabrał się do otwierania starego zamka, który wkrótce ustąpił.

Ostrożnie otworzył drzwi. Pokój nie różnił się od pozostałych. Na skraju wąskiego łóżka siedział Nicky. Od razu zerwał się z miejsca i rzucił Dominicowi w objęcia.

- Bogu dzięki. - Major westchnął, kładąc dłoń na ramieniu chłopca. - Chodźmy stąd...

- Nie tak szybko, przyjaciele.

Dominic gwałtownie odwrócił głowę. Na progu stał gospodarz ze strzelbą w rękach.

- Tak mi się wydawało, że słyszałem hałas na

górze - wycedził.

- Nie bądź głupcem, człowieku. Odłóż broń. Gra skończona, chyba że chcesz nas zamordować.

Gospodarz wzruszył ramionami.

- Morderstwo czy porwanie, jeden czort. I tak trafimy na stryczek, jak przyjdzie co do czego. Ręce wyżej - rozkazał, gdy major sięgnął po pistolet.

- Danielu, co ty wyprawiasz? - rozległ się piskliwy damski głos.

W drzwiach pojawiła się zaniedbana kobieta w zatłuszczonym fartuchu.

- Mamy gościa, Martho - sapnął gospodarz.

- Weź chłopaka i sprawdź kieszenie temu jegomościowi, bo może mieć broń.

Wytarła ręce o fartuch i podeszła do majora, trzymając się z boku, żeby nie stanąć na linii strzału. Następnie wyciągnęła pistolet z jego kieszeni, a gospodarz z satysfakcją pokiwał głową.

- Tak myślałem - mruknął.

- Zastrzelisz ich?

- Nie! - krzyknął Nicky i przywarł do majora.

- Spokojnie - powiedział szybko Dominic. - Nie bój się, chłopcze.

- Ano tak - wycedził gospodarz, wymachując

bronią. – Jeśli macie kapkę oleju w głowie, to będziecie się zachowywać, jak należy.

– A jeśli ty masz kapkę oleju, to ich puścisz – odezwał się chłodno Jasper, który stanął za drzwiami i wycelował w gospodarza pistolet.

– Czyżby? – Gospodarz splunął na podłogę. – Coś mi się widzi, że może i mnie ustrzelisz, ale już po tym, jak pociągnę za spust i poślę dzieciaka i tego jegomościa do nieba. Już nie mówiąc o tym, że moja małżonka ma pukawkę twojego druha.

Po plecach Dominica przebiegł dreszcz. Zastanowił się, czy zdąży osłonić Nicky'ego.

– No i jak? – zapytał gospodarz. – Nie będę tu sterczał cały dzień. Albo podejdziesz do przyjaciela i chłopaka, albo obu położę trupem.

– Nie bądź w gorącej wodzie kąpany, Dan. – Kobieta położyła dłoń na jego ramieniu. – Jak się wpakujemy w kłopoty, to będziemy mieli celników na karku.

– Co racja, to racja – zgodził się Jasper. – Jak wypalisz, huk sprowadzi tutaj wszystkich celników w promieniu paru kilometrów.

– No i co? – Gospodarz wzruszył ramionami. – Póki co, jakoś nic nie znaleźli, to i teraz mogą zaryzykować. A co do strzelania... – Wyszczerył w uśmiechu zepsute żółte zęby. –



Człowiek ma prawo bronić dobytku, nie?  
A teraz oddaj pukawkę mojej pani, nim palec  
mi się omsknie i zastrzelę chłopaka.

Dominic napotkał spojrzenie Jaspera  
i zrozumiał, co brat chciał mu powiedzieć.  
Ryzyko było zbyt wielkie. Jasper opuścił broń.

- No cóż, przyjacielu, chyba mnie masz -  
powiedział.

Gospodarz odsunął się od drzwi.

- Właż no tu, a stań tak, żebym cię widział.  
Martha, idź po kawałek sznura. Trzeba  
związać tych dżentelmenów!

- Wybacz, bracie - mruknął Jasper, stając za  
Dominikiem. - Może nadarzy się inna  
sposobność.

- Może. - Dominic wzruszył ramionami.

W takiej sytuacji mogli tylko czekać, aż  
gospodyni wróci z cienkim sznurem i zwiąże  
im ręce za plecami.

- Tylko mocno - rozkazał jej mąż. - To  
wielkie chłopcy, nie chcę się z nimi użerać.

- Dobra, i co teraz? - zapytała Martha, gdy  
skończyła. - Chcesz ich tu wszystkich  
zostawić?

- Nie, tylko chłopaka. Zamek zepsuty, ale  
zasuwa wytrzyma. - Nagle podniósł wzrok. -  
Ale, ale. Gdzie wasze konie?

- W wiosce - odparł Dominic. - W gospodzie.

- Tak jest - potwierdził Jasper. - Powiedzieliśmy, że chcemy malować tu pejzaże.

Gospodarz wykrzywił oblicze w okrutnym uśmiechu.

- No to nie nabiorą podejrzeń, jak się wam przydarzy wypadek - orzekł chytrze. - Do nocy potrzymamy was w piwnicy, a potem zabierzemy nad morze i...

- Nie! - krzyknął Nicky. - Nie może pan ich skrzywdzić, nie może!

Gospodyni przygarnęła chłopca do spódnicy poplamionej tłuszczem.

- Nie, nie, nic im nie będzie, mój malutki. - Spiorunowała wzrokiem męża. - Chcesz, żeby dzieciak wył przez całą noc? Will powiedział, że ma być bezpiecznie. Żadnych śladów. - Popatrzyła na chłopca. - Nie martw się, dziecko. Tylko ździebko potrzymamy twoich przyjaciół w naszej piwniczce, aż przyjedzie William i zabierze cię do domu. Dobrze mówię, Danielu?

- A jakże - przytaknął gospodarz. - Wy dwaj, zabierać się na dół i żadnych sztuczek, bo się z wami rozprawię!

- Jakie sztuczki, skoro związaliście nam ręce za plecami? - rzucił Dominic, po czym się odwrócił i skinął głową Nicky'emu. - Do

zobaczenia później, chłopcze.

Gospodarz znów poruszył strzelbą.

- Będzie tego dobrego - wycedził. - Teraz jazda na dół.

Drzwi pod schodami prowadziły do piwnicy. Gospodarz zagonił tam braci, poczekał, aż znajdą się na schodach, a następnie kopnął Jaspera w plecy, posyłając obu w ciemność.

Zela krążyła niespokojnie po polance. Powoli zmierzchało, Dominic i Jasper powinni już się zjawić, pomyślała. Nadal padało, ale mgła nieco się przerzedziła i widać było pustą dróżkę, prowadzącą do nabrzeża.

Zrobiło się jej słabo ze zdenerwowania; wyobrażała sobie najgorsze sceny. W końcu z determinacją ruszyła do stajennego, który pilnował wierzchowców.

- Pomóż mi wsiąść na konia, Sawley - zażądała. - Pojedziemy sprawdzić, co się stało.

- Nie, panienko, jaśnie pan major powiedział...

- Major powinien być już z powrotem - przerwała mu stanowczo. - A teraz wybieraj: albo jedziesz ze mną, albo sama udam się na nabrzeże!

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W piwnicy panowały egipskie ciemności. Siedzieli plecami do siebie na podłodze, próbując rozwiązać sobie nawzajem więzy na nadgarstkach. Dominic przesunął językiem po wardze i poczuł smak krwi. Pomyślał, że zapewne zranił się podczas upadku ze schodów, jednak zupełnie się tym nie przejął. Pomyślał o Nickym i poczuł narastającą złość. Oddałby wszystko, żeby ocalić chłopca – przede wszystkim ze względu na Zełę.

- Do diabła, Dom - zaklął cicho Jasper. - Ta przeklęta przekupa ma talent do mocnego wiązania sznurów.

- Odpoczniemy przez chwilę, a potem znowu spróbujemy - odrzekł Dominic. - Jak myślisz, ile mamy czasu?

- Bóg jeden wie. Chyba nie będzie chciał pozbyć się nas na oczach klientów, a sądząc z odgłosów, w gospodzie jest teraz pełno ludzi.

- Czyli najwyżej dwie godziny.

- Największą szansę na ucieczkę będziemy mieli wtedy, jeśli postanowią zaprowadzić nas na statek - zauważył Jasper. - Moglibyśmy rzucić się biegiem przed siebie i dotrzeć do

celników.

Dominic milczał. Obaj wiedzieli, że mieli znikome szanse powodzenia, ale żaden nie chciał się przyznać do porażki.

- Musimy oszczędzać energię i...

- Cicho! - wyszeptał Dominic. - Ktoś idzie!

Z trudem wstali i zamarli w pełnym napięcia oczekiwaniu. Dobiegł ich odgłos odryglowywanych drzwi, a wtedy Dominic poczuł ucisk w gardle. Gdyby tylko miał wolne ręce, ukarałby tego przekłętego gospodarza...

- Nicky! - krzyknął ze zdumieniem Jasper.

W łagodnym blasku świec ujrzeli, że po schodach zbiega chłopiec, a za nim podąża Jem Sawley. Za stajennym był jednak ktoś jeszcze. Dominik zamarł.

- Zela! - zawołał. - Na litość boską, co tu robisz?

Starannie zamknęła za sobą drzwi, po czym uniosła świecę i zeszła.

- Domyśliliśmy się, że coś poszło nie tak, więc pozostało nam tylko ruszyć na poszukiwania - wyjaśniła. - Nicky, potrzymaj świecę.

- Czy poprosiliście celników o pomoc? - spytał Dominic.

- Nie - odparła. - Było ciemno, nie chcieliśmy marnować czasu.

Dominic zaklął szpetnie i popatrzył na stajennego.

- Do czarta, Jem, nie trzeba jej było tutaj przyprowadzać!

Zela nie zamierzała czekać, aż przerażony stajenny zacznie się tłumaczyć.

- Przecież nie mógł mnie zostawić. - Wyciągnęła spod peleryny nóż o długim ostrzu. - Znalazłam to w kuchni i pomyślałam, że się przyda. Odwróćcie się z łaski swojej, a rozetnę wam więzy.

W okamgnieniu mieli wolne ręce. Dominic przez chwilę rozcierał obolałe przeguby. Nie wiedział, czy czuć ulgę, czy złość. Jasper nie zamierzał ukrywać uczuć. Objął Zelę i pocałował ją w policzek.

- Dobra robota, moja droga. - Spojrzał na brata z uśmiechem. - Nie wiem, jak ty, braciszku, ale ja mam już dość tej gospody. Idziemy?

- Jak najszybciej - przytaknęła Zela. - Zostawiłam konie razem z waszymi w starej stodole.

Trzej mężczyźni poszli przodem i ostrożnie otworzyli drzwi piwnicy. Śmiechy i pogawędki gości odbijały się echem w wąskim przejściu, ale w pobliżu nie było widać nikogo. Ruszyli dalej.

Nagle w drzwiach na zewnątrz pojawił się gospodarz i wybałuszył oczy na widok mężczyzn, którzy powinni byli tkwić związani w piwnicy. Zanim jednak zdążył zareagować, dosięgła go pięść Jaspera. Dominic i Jem w pośpiechu zaciągnęli nieprzytomnego gospodarza w cień budynku i dali znać Zeli oraz Nicky'emu, aby wyszli.

Szybko dotarli do stodoły i odwiązali konie. Dominic posadził chłopca przed sobą i wszyscy galopem opuścili wioskę. Odważyli się zwolnić dopiero po paru kilometrach.

Zela obejrzała się nerwowo przez ramię.

- Myślicie, że nas ścigają? - zaniepokoiła się.

- To możliwe - przyznał Dominic. - Powinniśmy odjechać jak najdalej, dopóki jeszcze nie zapadły ciemności.

- Zgadza się. - Jasper skinął głową. - Chociaż z bólem myślę o utracie dwóch porządnych pistoletów. Może jeszcze uda się nam je odzyskać. Nie zamierzam puścić tego płazem naszemu niespecjalnie gościnnemu gospodarzowi i jego paskudnej żonie. Najpierw jednak odwieźmy Nicky'ego do rodziców. Musimy zdążyć przed jutrzejszą rozprawą. Da pani radę, panno Pentewan?

Zela skinęła głową, a chłopiec, osłonięty płaszczem Dominica, podniósł zmęczony

wzrok.

- Tak - powiedział słabym głosem. - Chcę do domu.

Jechali w pośpiechu, aż wreszcie zrobiło się zbyt ciemno na dalszą podróż. Postanowili odpocząć w zajeździe, gdzie potrzeba było długiej przemowy i pełnej sakiewki Jaspera, żeby gospodarz zgodził się ich przyjąć.

Ruszyli ponownie o świcie, jednak potężna ulewa ich spowalniała i musieli kilka razy zmieniać trasę w poszukiwaniu bezpiecznej przeprawy przez wysoką wodę w strumieniach. Kierowali się prosto do Lesserton, bo rozprawa rozpoczynała się o dziesiątej. Zegar na dzwonnicy właśnie wybijał pełną godzinę, gdy zeskoczyli z koni przed White Hart.

- Twój szwagier tu jest - zauważył Dominic, wskazując gestem powóz po drugiej stronie ulicy.

- To dobrze. Mam nadzieję, że Maria przyjechała razem z nim. Nie wyobrażam sobie, że mogłaby siedzieć w domu w tak ważny dzień - oznajmiła Zela.

- Zatem chodźmy. - Dominic ujął jej dłoń.

Ich wejście wywołało natychmiastowe



zamieszanie. Sir Oswald, zwrócony twarzą ku drzwiom, pierwszy dostrzegł przybyszów i na jego policzkach pojawił się rumieniec gniewu. Maria krzyknęła cicho, a Reginald, który siedział obok pana Summersona, swojego prawnika, przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Maria podbiegła do Nicky'ego i chwyciła go w ramiona, podczas gdy reszta zebranych szeptała do siebie ze zdumieniem, nie mając pojęcia, co zaszło.

Dominic stanął pośrodku pomieszczenia i popatrzył na sędziego.

- Proszę wybaczyć to wtargnięcie - oznajmił.

- Przybyliśmy powiedzieć panu Bucklandowi, że jego syn jest bezpieczny.

- Tak - odezwał się Reginald, a jego oczy rozbłysły gniewnie. - Został porwany, sir Arthurze, i podrzucono mi to pismo z ostrzeżeniem, żebym nie prezentował nowych dowodów podczas tego przesłuchania.

Przez salę przebiegł głośny szmer, kiedy Reginald wręczał sędziemu list od porywaczy. Sir Arthur stuknął młotkiem w biurko i popatrzył na chłopca, który teraz uśmiechał się w ramionach macochy.

- Młody człowieku, zostałeś zabrany siłą? - zapytał sędzia.

- Tak, proszę pana. - Nicky z powagą skinął

głową.

- Wiesz, kto to zrobił?

- Tak, proszę pana. Jest tutaj. - Nicky wskazał na zarządcę sir Oswalda. - To był pan Miller, ten, który próbuje teraz wyjść.

Chłopi zaczęli wznosić gniewne okrzyki, a ci najbliżej Millera pojмали go, żeby się nie wymknął. Zarządca zaklął i próbował się wyrwać, jednak na próżno.

- To nie był mój pomysł! - krzyknął. - Sir Oswald kazał mi porwać chłopaka!

Sir Oswald zerwał się z miejsca.

- Milcz, głupcze! - ryknął.

Pan Summerson wstał i popatrzył surowo na zarządcę.

- Jeśli wie pan coś jeszcze, proszę nam to teraz powiedzieć - zażądał. - Stawiany panu zarzut jest poważny.

- Kazał mi to zrobić! - Strach rozwiązał Millerowi język. - Tak jak kazał mi pozbyć się starego Robina.

Zaszokowani ludzie na chwilę umilkli, a potem znowu rozległy się pełne złości krzyki. Giles Grundy wstał.

- Znaleźliśmy starego Robina w strumieniu Lightwater - powiedział powoli. - Starzec miał rozbitą głowę.

- Sir Oswald kazał mi go przestraszyć. -

Miller nie przestawał się wyrywać. – Mówił, że mam go wyrzucić, ale stary był uparty i pijany... no i trochę się poszarпалиśmy.

– A więc ogłuszył go pan i nieprzytomnego wrzucił do Lightwater – domyślił się sir Arthur.

Maria jęknęła, a Zela ujrzała, że siostra mocno tuli Nicky'ego i zasłania mu uszy.

– I tak w końcu by się utopił – wymamrotał ponuro Miller.

Sir Arthur ponownie uderzył młotkiem w biurko.

– Zabierzcie go i zamknijcie – rozkazał. – Później się nim zajmiemy. – Popatrzył na sir Oswalda. – Aż trudno mi uwierzyć, że uciekł się pan do takich metod.

– Oczywiście, że tego nie zrobiłem – oświadczył niecierpliwie sir Oswald. – Nic nie wiedziałem o żadnych nowych dowodach.

– Nieprawda, wiedział pan! – rozległ się głos Nicky'ego.

Na sali zapadła cisza. Wszyscy skierowali na niego spojrzenia, a on oblał się rumieńcem i wstał.

– A cóż ty o tym wiesz, młody człowieku? – spytał go sir Arthur.

Nicky nerwowo przełknął.

– To było na balu w Rooks Tower. Siedziałem na schodach, bo pan major Coale powiedział,

że mogę zostać i popatrzeć. - Zerknął na Dominica, który skinął głową, a wtedy Nicky dodał śmieiej: - Usłyszałem, jak pan Lerryn mówi sir Oswaldowi, że papa ma nowy dokument, dzięki któremu chłopci wygrają w sądzie.

- Co za bzdury! - krzyknął sir Oswald. - To dziecko bredzi.

Sir Arthur uniósł rękę i spojrzał z powagą na chłopca.

- Byłem na balu, młody człowieku, i pamiętam zebrany tam tłum. Jakim cudem usłyszałeś tę rozmowę?

- Podczas kolacji, kiedy prawie wszyscy sobie poszli - odparł Nicky. - Pan Lerryn zaprowadził sir Oswalda pod schody, dokładnie pod miejscem, gdzie siedziałem.

- I na pewno dobrze słyszałeś każde słowo? - upewnił się sir Arthur.

- Tak, proszę pana - potwierdził chłopiec. - Kiedy sir Oswald zapytał, skąd pan Lerryn to wie, pan Lerryn odpowiedział, że był tam, kiedy papa otrzymał dokument, i że chce... chce „rzucić Bucklandowi kłode pod nogi”. Powiedział, że papa nie chce nikomu mówić o dokumencie aż do przesłuchania.

Na sali znowu dało się słyszeć szepty. Sir Oswald trzasnął pięścią w stół.

- Moje słowo jest ważniejsze niż słowo tego dziecka, Andrews... Czy tak?!

- Teraz wiadomo, dlaczego ten człowiek porwał mojego syna! - krzyknął Reginald.

- Hańba! - zawołał ktoś na sali.

- Spokój! - wykrzyknął sir Arthur i popatrzył surowym wzrokiem na sir Oswalda. - Później zostanie pan przesłuchany w kwestii porwania, najpierw muszę zakończyć tę sprawę. Do tego czas nakazuję panu pozostać w zasięgu mojego wzroku.

- Niech się sąd nie przejmuje, już my dopilnujemy, co by pozostał! - rozległ się czyjś głos, a inni zebrani zareagowali wiwatami.

Reginald mruknął coś do prawnika, a ten wręczył sędziemu zwinięty pergamin.

- Mój klient poinformował mnie, że niniejszy dokument znaleziono wśród książek, które major Coale zakupił ostatnio w posiadłości Lydcombe Park. Przekona się pan, sir Arthurze, że to jest umowa sprzedaży Lydcombe Park. Transakcja doszła do skutku mniej więcej trzydzieści lat temu, a dokument szczegółowo opisuje granice między ziemią należącą do wsi a gruntami Lydcombe Park. Nie ulega wątpliwości, że granica ta, wyznaczona przez biały głaz, przebiega wzdłuż Lightwater, która płynie przy

zachodnim skraju Prickett Wood.

- I nie zamierzał pan poinformować mnie o istnieniu tego dokumentu? - spytał sir Arthur, spoglądając surowo na Reginalda.

- Myślę, że w zaistniałych okolicznościach da się zrozumieć wątpliwości mojego klienta - oświadczył pan Summerson. - Przedłożona umowa precyzuje przebieg granicy.

- Tak, ale z upływem lat rzeki zmieniają bieg - oświadczył sir Oswald, czerwony jak burak. - A poza tym nie ma żadnego kamienia w Prickett Wood. Gdyby był, ktoś na pewno by o tym wiedział. - Rozejrzał się po szczelnie wypełnionej sali. - Czy ktoś z was widział ten głaz?

- Wygląda na to, że nie. - Sir Arthur pokręcił głową. - Z braku kamienia granicznego...

- Ale przecież jest kamień! - Wysoki głos Nicky'ego wybił się z gwaru. - W Prickett Wood jest biały kamień. Widziałem go!

- Ten chłopak nie ma piątej klepki - zakpił sir Oswald.

Sir Arthur znowu nakazał zebrany zachować spokój, a Dominic podszedł do Nicky'ego i położył rękę na jego ramieniu.

- Niech chłopiec powie, co wie - zażądał.

- Widziałem go - powtórzył Nicky, otwierając szeroko oczy. - Stary Robin zabierał mnie na

tropienie jeleni i często chodziliśmy za nimi do Prickett Wood, gdzie roczniaki schodzą się do białego głazu.

- Roczniaki to młode jelenie - wyjaśnił Reginald panu Summersonowi. - Lubią pocierać nowymi rogami o ulubione drzewa i skały.

Dominic popatrzył z pogardą na sir Oswalda.

- To dlatego zabijał pan jelenie - wycedził.

Sir Oswald spiorunował wzrokiem Nicky'ego.

- Ty diabelskie nasienie, powinienem był kazać Millerowi pozbyć się ciebie, zamiast... - Urwał, gdy uświadomił sobie, co właśnie powiedział.

- Widzę, że chłopak załazł panu za skórę - oznajmił z ponurą satysfakcją Dominic.

- Pokażesz nam, gdzie znaleźć ten gład, młody człowieku? - zwrócił się sir Arthur do Nicky'ego.

- Tak, proszę pana.

- Ale nie dzisiaj! - wykrzyknęła Maria. - Mój syn za dużo wycierpiał. Musi odpocząć.

- Poradzę sobie, mamó - odparł buńczucznie chłopiec, ale nagle stracił odwagę i rzucił błagalne spojrzenie na majora Coale'a. - Pójdzie pan ze mną? I z papą?

- Oczywiście. A także z twoją mamą, cicią

i z lordem Markham. Wszyscy będziemy ci towarzyszyć.

- To było bardzo satysfakcjonujące - oznajmił Reginald, wracając z Marią na High Street. - Przyjemnie było zobaczyć, jak wszyscy idą zgodnie do Prickett Wood. Teraz już nikt nie może żywić wątpliwości, gdzie jest kamień graniczny. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że chłopcy wygrali, a Evanshaw i Miller czekają pod kluczem na proces. I to wydarzyło się w jeden dzień. Teraz jednak, moja droga, powinnaś zabrać Nicky'ego i Zelę do domu. Wydają się bardzo zmęczeni.

- Naturalnie - przytaknęła Maria. - Muszę wracać do niemowlęcia. Ty też przyjeźdź jak najszybciej, dobrze?

- Oczywiście, ale najpierw musimy zakończyć sprawę ustalenia granicy.

Odwrócił się i pomachał Dominicowi oraz Jasperowi, którzy właśnie przechodzili obok. Zela stała obok siostry. Była skrajnie wyczerpana i nie miała ochoty z nikim rozmawiać.

- Jak możemy wam podziękować, panowie, za zwrócenie mi syna? - spytał Reginald.

- Cieszę się, że mogliśmy służyć pomocą - odparł z radosnym uśmiechem Jasper. - Sir



Oswald nie powinien już nastroić wam kłopotów.

Maria wyciągnęła dłoń do Dominica, a potem do jego brata.

- Na pewno są panowie bardzo zmęczeni. - Uśmiechnęła się do nich łzawo. - Mimo to zapraszam do West Barton. Dołączcie do nas w porze kolacji. Przynajmniej tak możemy się odwdziżyć.

- Proszę nie zapominać o dzielnej pannie Pentewan - wtrącił major, a Zela poczuła, że zbiera się jej na płacz. - Bardzo dziękujemy, ale musimy tu zostać do końca przesłuchania. Potem wracamy do Rooks Tower. Nadal są tam niektórzy moi goście. Poślę Sawleya, żeby opowiedział im, co zaszło, ale na pewno będą pragnęli wysłuchać tej historii z naszych ust.

- Naturalnie. - Maria skinęła głową. - Rozumiem, ale proszę mi wierzyć, że zawsze są panowie mile widziani w naszym domu.

- Dziękujemy.

Jasper uklonił się jej i Zeli, a potem potargał Nicky'emu włosy.

- Do zobaczenia, Nick - powiedział. - Tylko nie wystrasz mamy opowieściami o swoich przygodach.

Zela stała obok, pozornie słuchając odpowiedzi chłopca. Wiedziała, że lada

moment Coale odjedzie, a ona uściśnie jego dłoń po raz ostatni.

Dominic stał obok i przyglądał się, jak Jasper z łatwością prowadzi niezobowiązującą rozmowę. Innego dnia pewnie dołączyłby do niego, ale dziś nie miał na to siły. Ponadto wciąż myślał o Zeli i czekał na choćby jeden zachęcający, przyjacielski gest z jej strony. Konsekwentnie jednak unikała jego wzroku, odkąd zjawili się rankiem w Lesserton. Teraz patrzył, jak uśmiecha się do Jaspera, i poczuł ukłucie zazdrości.

Nieznacznie skinął głową, odwrócił się i odszedł.

Zeli ścisnęło się serce. Czy naprawdę nic dla niego nie znaczyła?

- Udało się nam, braciszku - oświadczył Jasper, gdy wyjeżdżali z wioski. - Bezpiecznie odstawiliśmy chłopca do domu, złoczyńcy są pod kluczem, a zbrojni jadą teraz do Beston Quay po gospodarza i jego żonę. Wszystko poszło jak po maśle! Nie sądziłem, że Exmoor okaże się tak interesującym miejscem. Teraz jesteś tu bohaterem, Dom, a panna Pentewan bohaterką. Co za kobieta! Ze stoickim spokojem weszła do gospody i nas uwolniła. Bóg jeden wie, co by się stało, gdyby nie ona.

- Zachowała się nader niefrasobliwie - odparł Dominic. - Narazić się na takie niebezpieczeństwo! Gdyby miała choć trochę oleju w głowie, pognałaby do Beston po pomoc.

- I być może wróciłaby poniewczasie - zauważył Jasper. - Sam przyznaj, że to kobieta co się zowie! Od razu przyszło mi to do głowy, gdy ujrzałem ją w twojej bibliotece. Graddon powiada, że odkąd zjawiała się w Rooks Tower, dom zmienił się nie do poznania.

- Owszem, zmieniła go, a jakże - przyznał z ironią Dominic. - Postawiła wszystko na głowie, pootwieraała pokoje i zachęciła mnie do urządzenia balu.

- Ciebie również odmieniła, Dom - dodał Jasper. - Gdy Sal napisała mi o tym, nie chciałem wierzyć, ale to prawda. - Popatrzył na brata, który robił, co mógł, żeby zachować obojętność. - Ile z tego zawdzięczasz swojej bibliotekarce?

- Zgadza się, ucywilizowała mnie. - Major ostrożnie dobierał słowa. - Każda kobieta byłaby w stanie to zrobić.

- Nie każda kobieta byłaby w stanie znieść twoje humory i wybuchy - odparł Jaspers. - Wiesz, że od powrotu z Hiszpanii zachowywałeś się koszmarne. Cóż, miałeś po

temu powody. Dziwne, że w ogóle udało ci się wylizać z ran, ale o ile wiem, panna Pentewan z anielską cierpliwością tolerowała twoje fochy.

Dominic westchnął z frustracją, ale jego brat najwyraźniej nie zamierzał zmienić tematu.

- I jeszcze to, jak zniosła drogę do Beston Quay i z powrotem - ciągnął. - Ani słowa skargi! Wiesz bracie, chyba się zakochałem.

- Znowu! - prychnął Dominic. - Który raz w tym roku?

- Nie, mówię poważnie. - Jasper zatrzymał wierzchowca. - Zela Pentewan to inteligentna, dzielna, wspaniała... No cóż, może niekoniecznie piękna, ale z pewnością urocza kobieta. Na pewno nadzwyczajna.

Dominic obrócił się i zmarszczył brwi.

- Niech cię diabli, Jasper - warknął. - Zela to nie jest jedna z twoich wyrafinowanych towarzyszek z wyższych sfer. Nie pozwolę ci złamać jej serca czczym flirtem!

- Flirtem? - Jasper wydawał się autentycznie zaszokowany. - Dom, nie mam najmniejszego zamiaru z nią flirtować. Chcę ją poślubić!

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dominic poczuł się tak, jakby dostał cios w żołądek. Wpatrywał się w brata, aż ten oblał się rumieńcem.

- Och, wiem, że już zdarzało mi się uważać za zakochanego, ale teraz jestem pewien, że to prawdziwe uczucie - wyznał Jasper. - Zaczęło się, kiedy zatańczyłem z nią na twoim balu. Była taka wdzięczna i inteligentna... Naturalnie, trudno powiedzieć, czy mnie zechce, ale chętnie zaryzykuję. Jak myślisz, Dom, mam szansę?

Patrząc na przystojne oblicze brata, na jego gładką skórę, Dominic uświadomił sobie, że ma przed sobą jednego z najprzystojniejszych mężczyzn w kraju. Do tego należało dodać wspaniałomyślny charakter, tytuł szlachecki i wdzięk, którym czarował otoczenie.

- A niech cię - mruknął Dominic. - Która by cię nie zechciała?

Jasper zmarszczył brwi i uważnie przyjrzał się bratu.

- Braciszku? Czyżbyś sam był nią zainteresowany? Bo jeśli tak...

Dominic pożałował, że nie ugryzł się w język.

W myślach nieustannie porównywał się z bratem. Która kobieta zechciałaby okaleczonego mężczyznę o przyzwoitych dochodach, skoro mogłaby mieć nieprawdopodobnie bogatego, przystojnego wicehrabiego Markham? Jakby tego było mało, radosne i pogodne usposobienie Jaspera ogromnie różniło się od ponurego charakteru jego brata bliźniaka.

Dominic pomyślał, że najwyższa pora na szczerość. Przecież zorganizował ten bal dla Zeli, żeby mogła znaleźć odpowiedniego męża. Najwyraźniej poszczęściło się jej.

- Ja? - Zaśmiał się nieszczercze, po czym dodał z udawaną nonszalancją: - Mój Boże, człowieku, dlaczego tak pomyślałeś? Po prostu chcę, żeby była szczęśliwa. Oświadczyć się jej, Jasper, i oby ci się powiodło. To prawdziwy skarb.

- Dziękuję, bracie! - Jasper klepnął Dominica w ramię. - Wiesz, chyba powinienem kuć żelazo póki gorące. Pani Buckland powiedziała, że zawsze jesteśmy mile widziani w jej domu, prawda? Zatem pojedę tam już teraz. Przepróż ode mnie wszystkich. Jeśli mi się poszczęści, nie wrócę na kolację.

Major wykrzywił usta w karykaturze uśmiechu.

- Dobrze, jedź. - Skinął głową. - Ruszaj szukać szczęścia w West Barton i zostaw mnie w spokoju!

Dominic sięgnął po zegarek. Dochodziła dziewiąta, a Jasper nie wrócił. Zniknęły resztki nadziei na to, że Zela być może nie przyjmie oświadczyn. Nie miał pojęcia, jak zdołał przebrnąć przez kolację i nie dał do zrozumienia gościom, że jego myśli zaprzęta coś zupełnie innego. Nawet nie pamiętał, co jadł, choć kolację przyrządzał londyński kucharz Sally, przysłany do pomocy pani Graddon.

Gdy tylko panie wyszły, Dominic przeprosił i wstał od stołu. Goście już wcześniej poznali przebieg wydarzeń ostatnich dwóch dni. Rozmawiali o tym w Rooks Tower jeszcze przed powrotem gospodarza, więc nie mieli nic przeciwko temu, aby udał się spać.

Choć był zmęczony, nie poszedł do sypialni, lecz do pokoju w wieży. Stał przy oknie, obserwując różano-złoty zachód słońca. Nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi i do środka wszedł Graddon.

- Pomyślałem, że jaśnie pan miałby ochotę na odrobinę czegoś mocniejszego - powiedział i postawił na stole tacę z kieliszkami, karafką

oraz wodą, a także płonący knot do zapalania świec.

- Nie - warknął Dominic, choć Graddon zdążył zapalić tylko dwie świece. - Zostaw je i nie życzę sobie, aby mi ponownie przeszkadzano!

Jego szorstki ton uraził kamerdynera, który jednak bez słowa wyszedł z pomieszczenia, starannie zamykając za sobą drzwi.

Dominic z frustracją przeczesał włosy palcami. Doskonale wiedział, że niepotrzebnie wyżywał się na lojalnym starym słudze. Otworzył brandy i nalał sobie spory kieliszek. Naturalnie, przeprosi Graddona, ale dopiero następnego dnia. Liczył na to, że do tego czasu poprawi mu się humor.

Podszedł do okna i spróbował trunku, który rozlał się przyjemnym ciepłem po jego ciele. Pomyślał, że będzie pił na umór i dzięki temu poczuje ulgę. Z drugiej strony, musiałyby za to zapłacić rano i pewnością nie miałyby ochoty na rozmowę z gośćmi. Poczucie obowiązku kazało mu zachowywać się jak na idealnego gospodarza przystało.

Naraz jego uwagę przykuło zamieszanie przed domem. Na trawniku pojawiły się cienie dwóch jeźdźców. Nawet przy tak słabym świetle rozpoznał przybyszów i odskoczył od



okna, gdy podnieśli wzrok na wieżę.

Po diabła Jasper przywiózł Zelę do Rooks Tower? - pomyślał z goryczą. Było późno. Czyżby zamierzał wykorzystać ją już dzisiaj? Nie mógł poczekać do ślubu?

Dominic przysunął krzesło do stolika i sięgnął po brandy. Rozparł się na krześle, zastanawiając, kiedy będzie mógł bezpiecznie przejść do gabinetu. Nie chciał spotkać się z Zelą. Nie wiedział, czy Jasper zaprowadzi ją do rodziny i przyjaciół w salonie, czy też prosto do swojego pokoju.

Nagle usłyszał ciche pukanie.

- Niech cię szlag, Graddon - mruknął. - Mówiłem, że nie życzę sobie, aby mi przeszkadzano! - dodał głośno.

- Nie przypominam sobie, żebyś to mówił.

Zela weszła do pokoju, ani trochę nie przejmując się złym humorem gospodarza.

Zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że wyrzucił krzesło.

- Co tu robisz? - spytał.

- Zobaczyłam światło i postanowiłam cię poszukać.

- Skoro już mnie znalazłaś, to teraz możesz wyjść - burknął opryskliwie.

- Nie jesteś zbyt uprzejmy. - Podeszła bliżej i ściągnęła czarne rękawiczki.

- Nie jestem w nastroju na uprzejmości - odparł. - Jeśli chcecie mojego błogosławieństwa, to dostaniecie je jutro.

- Skoro tego sobie życzysz. - Wskazała na karafkę. - Czy to brandy? Może dostanę kieliszek? Bardzo się dziś zmęczyłam.

Zmarszczył brwi, ale napełnił jej kieliszek.

- Nie powinno cię tu być.

- Dlaczego nie? - Przyjęła od niego trunek. - W zasadzie traktuję ten pokój jak własny.

- Wkrótce będziesz miała o wiele większe pomieszczenia do swojej dyspozycji - odparł, raz jeszcze napełniając swój kieliszek.

- Ach, kiedy zostanę wicehrabiną Markham? - domyśliła się.

Podeszła tak blisko, że niemal mógłby jej dotknąć, ale się powstrzymał.

- Jasper jest bardzo bogaty, prawda? - zapytała.

- Ogromnie.

- Do tego przystojny i czarujący.

- Zgadza się.

- Dałam mu kosza.

Dominic zakrztusił się i ostrożnie odstawił kieliszek.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział ostrożnie.

- Naprawdę?

- Naturalnie. Dałby ci wszystko, czego byś zapragnęła.

- Niestety, to niemożliwe. - Pokręciła głową.

- Widzisz, ja go nie kocham.

- Jeśli nadal wzdychasz za Lerrynem, to jesteś głupia - oświadczył bez ogródek.

Zela tylko machnęła ręką.

- Ależ oczywiście, że nie wzdycham. Och, Dominicu, jesteś dzisiaj taki... taki mało lotny!

- Też miałem ciężki dzień. Daj Jasperowi czas, a zdobędzie twoje serce. Przekonasz się, że nie ma lepszego mężczyzny w Anglii.

- Być może to prawda. Jasper jest czarujący i przykro mi, że sprawiłam mu ból, ale nie jestem kobietą, która go uszczęśliwi, a on nie jest mężczyzną dla mnie. Nie jest tobą. - Uniosła rękę i pogłaskała go po okaleczonym policzku. - Do ciebie należy moje serce - dodała cicho. - Tylko z tobą mogłabym spędzić resztę życia, Dominicu.

- A Jasper? Jak przyjął twoją odmowę?

- Jak prawdziwy dżentelmen. Wątpię, żeby miał złamane serce.

Czekała w napięciu, nie spuszczać wzroku z twarzy Dominica. Jasper domyślił się, dlaczego odrzuciła oświadczenia. Zdradził jej, że brat jest w niej zakochany, więc powinna go skłonić do wyznania prawdy. Teraz jednak

zaczęła się obawiać, że się pomylił. Odwróciła się pośpiesznie, chcąc ukryć łzy.

- No cóż, beznadziejny ze mnie przypadek - oznajmiła lekkim tonem. - Wdowa w Bath się nie odezwała, więc pewnie i tam nie odniosę sukcesu. Myślisz, że twoja siostra mogłaby napisać mi nowe referencje?

Nagle poczuła, jak Dominic chwyta ją za rękę, obraca ku sobie i przyciąga zdecydowanym ruchem.

- Wolisz mnie od Jaspera? - spytał.

- Nie chcę nikogo poza tobą - odparła z powagą.

Dostrzegła w jego oczach pożądanie, ale i niepewność. Modliła się o to, by jej nie odtrącił.

- Jesteś pewna, że... nie kieruje tobą litość? - spytał szorstko.

Objęła go za szyję niepewnie.

- Nie, to nie litość - odparła. - To miłość. Kocham cię, Dominicu.

Pocałowała go w usta, jednocześnie niecierpliwie ściągając z niego surdut, a następnie kamizelkę. Nie potrzebował innego zaproszenia. Dygotała z podniecenia, kiedy ją rozbierał, obsypując pocałunkami każdy odsłonięty fragment skóry.

Po dłuższej chwili podniósł wzrok

i uśmiechnął się przebiegle.

- Teraz wiesz, co czuję, gdy mnie dotykasz - zauważył.

Objęła go pośpiesznie i pocałowała namiętnie. Stali naprzeciwko siebie nago. Pożądanie w oczach Dominica sprawiło, że Zela poczuła się, jakby miała nad nim władzę.

Zdecydowanym ruchem wziął ją na ręce i położył na chłodnej jedwabnej pościeli.

Minęło dużo czasu, nim zmęczeni, ale w pełni usatysfakcjonowani opadli na materac. Dominic mocno przytulił Zelę.

- Mam nadzieję, że w takiej sytuacji mi nie odmówisz i zgodzisz się zostać moja żoną - wyszeptał.

- Jeśli tego chcesz, Dominicu.

- Nie mam wyjścia. Za bardzo cię kocham, żeby pozwolić ci odejść.

- Och. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Proszę, powtórz to.

- Co?

- Że mnie kochasz. - Nagle się zawstydziała. - Od bardzo dawna chciałam, żebyś to powiedział.

- Naprawdę? Zatem będę mówił to codziennie. - Przyciągnął ją do siebie. - Kocham cię Zelo, całym sercem. Dałaś mi

powód do życia.

Pocałował ją delikatnie i się uśmiechnął. Zela westchnęła z zadowoleniem, a następnie ułożyła się w jego ramionach do snu.

Rankiem obudził ją śpiew ptaka. Zela otworzyła oczy i zobaczyła, że podparty na łokciu Dominic się jej przygląda.

Dotknęła jego policzka, po czym zarzuciła mu rękę na szyję.

- Ależ mam szczęście - powiedziała.

- Zatem nie żałujesz? - Przytulił ją.

- Ani trochę. - Pocałowała go namiętnie. - W głowie mi się kręci. Może nie powinnam była pić tyle brandy.

- Przyniosę ci wody. - Wstał z łóżka i podszedł do szafki. - Dlaczego wróciłaś? - spytał, nalewając wody do dwóch szklanek. - Myślałem, że zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby cię odstraszyć. Taki ze mnie głupiec...

Zela wstała i sięgnęła po swoje rzeczy rozrzucone na podłodze. Szybko się ubrała, ponieważ jeszcze nie czuła się na tyle swobodnie, aby paradować nago przed Dominikiem.

- Jasper powiedział mi, jaki byłeś zły na myśl, że on lekko mnie potraktował. - Przyjęła od niego szklankę. - Wyjawiał mi, że pragniesz

mojego szczęścia, więc wyznałam, co mnie uszczęśliwi. Nie chmurz się, Dominicu, proszę. Doszłam do wniosku, że jeśli ktokolwiek może dać mi choć cień nadziei, to właśnie twój brat.

- I co powiedział?

- Domyślił się, że nie jestem ci obojętna, ale oboje zgodziliśmy się, że jesteś... Jak on to ujął? Zbyt szlachetny, aby myśleć o własnym szczęściu. - Uśmiechnęła się. - Zgodził się zabrać mnie ze sobą, żebym mogła odkryć, co do mnie czujesz.

- Cóż za lekkomyślność - oświadczył porywczo. - A gdybym cię odtrącił? Albo zabrał cię do łóżka, a potem nie chciał mieć z tobą do czynienia?

Wzruszyła ramionami.

- To niemożliwe - odparła. - Nie zrobiłbyś tego.

Wziął ją w ramiona.

- Do licha, nie zasłużyłem na ciebie - rzekł z westchnieniem, obsypując ją pocałunkami.

- Masz absolutną rację. - Oparła głowę na jego torsie. - Będę ci to przypominała przy każdej okazji.

Zamknął jej usta pocałunkiem, a gdy wreszcie się od siebie oderwali, oznajmił:

- Po wyjeździe naszych gości będziemy się kochać w każdym pokoju Rooks Tower. Teraz

jednak musimy się zadowolić tym pomieszczeniem.

- Przy tobie zawsze będę zadowolona - odparła i tym razem ona pocałowała go w usta.



Tytuł oryginału: Beneath the Major's Scars  
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Ltd, 2012  
Redaktor serii: Dominik Osuch  
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch  
Korekta: Barbara Syczewska-Olszewska

© 2012 by Sarah Mallory  
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o.,  
Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Romans Historyczny są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-276-1341-7

ROMANS HISTORYCZNY - 422

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)